



33

9.

GRZECHY KRÓLEWSKIE.

1000
1000
1000

GRZECHY KRÓLEWSKIE.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

WINCENTEGO RAPACKIEGO.

TOM I.
IN STYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
Biblioteka
ul. Nowy Świat Nr 72
00-330 Warszawa
Tel. 26-68-69, 26-52-31 w. 42

WARSZAWA.

NAKLAD MAURYCEGO ORGELBRANDA.

1886.

<http://rcin.org.pl>



Дозволено Цензурою.

Варшава, дня 24 Сентября 1885 года.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, Bednarska 20.

<http://rcin.org.pl>

Opowiadanie Jmć Pana Krzysztofa Scypiona Dworzanina Jego Kr. Mości

KSIĘGA PIERWSZA.

Było to jakoś w rok po śmierci królowej Cecylii Renaty, zaraz po sejmie, który się rozprzągł, nie nie zdziaławszy.

Bawiliśmy natenczas z królem w Kielcach, rezydencyi biskupa krakowskiego, którym został od lat kilku Piotr Gębicki, ex-kanclerz wielki koronny.

Zima była śnieżna. Mróz srogi, jak złapał na gromnicę, trzymał krzepko już trzeci tydzień.

Zdrowie pańskie, acz w czasie zapust szwankowało, bo przeleżał obłożnie ze dwa tygodnie na ów kamień niecnotliwy, który go trapił z wielkiem umartwieniem całego dworu, było kwitnące — i my też wszyscy dobrej myśli a wesela w duszy — bo nie było na świecie Pana dobroci większej, jak ongi nasz ukochany król, ś. p. Władysław.

Pan to był, co się tknie, Majestatu królewskie-

go, że trudno było znaleźć drugiego w Europie—mówiono, że nieboszczyk cesarz Ferdynand mógł się z nim tylko równać, aleć ja tego nie powiem. Widziałem go, będąc w Wiedniu z panem podskar bim, i zawsze mówię, że nasz król był królem, że tak powiem, i z ciała, i z duszy, a tamten tylko z ciała. bo zdawało mi się zawsze, patrząc na niego, że pod spodem tego majestatu, który udawał, inna jakaś persona siedzi—jak gdyby kawałek mnicha zeń wyglądał.

Nasz król miał królewskie serce, zdawało się, że wszystek animusz naszych wielkich antecessorów w nim się odbił.

Potężnej budowy ciała, o ile że w tuszę teraz rósł coraz bardziej, która ona bogdaj nie przyczyniła się najwięcej do jego śmierci, bo to chorobsko miało się gdzie gnieździć. Twarzy szlachetnej, pełnej dobroci, która nie raz i pioruny straszliwe umiała ciskać.

Gdy szedł w gronie senatorów, lubo i między nimi byli nie ułamki, jak kanclerz wielki lit. Radziwiłł, kanclerz koronny Ossoliński, Opaliński marszałek, Koniecpolski hetman i inni, zdawało się Atlas, który na barkach świat niesie. Stworzon był też, aby przynajmniej z ćwierć onego świata wziąć na siebie. Za młodu śmiała mu się korona moskiewska, szwedzka mu się z prawa należała, polską wziął z woli wolnego narodu, a w zamysłach pańskich co tam jeszcze było, o tém niżej się powie.

Świecił też wówczas ten tron polski lustrem nieporównanym.

Co tylko było w narodzie najprzedniejszego, ubiegało się w służby takiemu panu.

Dwór miał w posługach pacholęta największych imion, a od cudzoziemców roilo się w Warszawie i to od takich, co li z ciekawości, a z wielkiej rewerencyi i cześci dla króla Władysława odwiedzać Polskę bieżeli.

Siedziało też tego przy królu co nie miara, ze szkodą nawet naszym, co mu panowie nieraz naganiali, ale niesłusznie—chleba i dla nas nie brakło, a sławę imienia polskiego roznosili po świecie.

Dziś za to... żal się Boże!... Alem odbiegł od materyi głównej, bo do téj po staremu dość często wracać będę, oplakując całe me życie wielkiego króla, za którego panowania ojczyzna nasza używała błogiego spokoju, dostatku i szczęśliwości wszelakiej tak wielkiej, jakiej już po tém nie miała i chyba nigdy mieć nie będzie (co nie daj Boże).

Ta podróż nasza do Kielc przedsięwzięta nie tyle gwoli polowaniu, choć nie było do pogardzenia w taki czas przedziwny, ile raczej ku nawiedzeniu biskupa w jego duchownych dobrach.

Opuścił on kanclerski urząd pełen żalu do króla, że prawie gwałtem promował nań Ossolińskiego, jego wroga, i gdy się po Zadziku wakans

otworzył na biskupstwo krakowskie. pieczęć mu odjął i do Krakowa jechać zmusił.

Król szanował niezmiernie biskupa i czuł doń prawie synowski afekt— gryzło go, że gwoli polityki uraził starca, co od jego kolebki prawie cały żywot swój przy nim spędził, dla tego leżała mu na sercu ta obraza — więc niby dla zwiedzenia Kieleckiego zamku, który tylko co ukończony po Zadziku i obejrzenia cudnych malowideł, reprezentujących z nieporównaną sztuką wszystkie wojny królewskie, przez Piotra Danhörs'a, Holenderczyka malowanych, upozorowaną była ta podróż.

Wybrał się król z małym dworem, bo prócz mnie wziął tylko Fantoniego Sekretarza, Rylskiego, Zabickiego, Platemberga i Krafta swego medyka.

Ksiądz biskup przyjmował Pana z radością wielką — i nic dziwnego, tyle lat patrzył na swego ulubieńca, aż tu w starości rozstawać się z nim przyszło. Wdzięcznym też bardzo sercem przyjął biskup ten dowód królewskiej miłości i radzi sobie byli obaj wielce.

Piękną była persona księdza biskupa. Twarz ściągła, szlachetna, acz nieco surowa. Oczy mądre, a takie, że aż w głąb człowiekowi patrzyły. Nos kształtny, usta zamknięte, w których czytać mogłeś energią i siłę niezłomną. Wąs rzadki dosyć wargi mu nie przykrywał, a broda równo ucięta.

Było w tym człowieku coś z rycerza i księdza. Miasto infuły wsadź mu kołpak i daj szablę w rękę, a wtedy idź za nim choć do piekła, bo zwycięży pewnie. Taką dufnością człeka napępiał. Odbył on też z królem Zygmuntem i królewiczem nie jedną kampanią, a jak chwalebnie, jak zaszczytnie, gęsto o tém w kronikach.

A co to był za myśliwiec! Po królu Władysławie i po panu Niewiarowskim. leśniczym mereckim, położyłbym go na pierwszym miejscu. Lubo starzec lat sześćdziesięciu, siłę miał olbrzymą. Trzeba się przy nim było krzepko trzymać, żeby nie oberwać jakiego pogardliwego imieniska, bo szafować tém lubił.

Kapłan był czysty, praw. Surowych obyczajów. Temu też pięknemu życiu zawdzięczał te siły i zdrowie, któremi w nas młodych podziw budził.

Na jego dworze nie znalazłeś owego mnóstwa krewniaków, co się to zawsze rewerendy trzymać zwykli, albo owych białychgłów podejrzanéj kondycyi—było dworno ale czysto, ale bogobojnie a mądrze z taktyką wielką.

Płynął nam tu czas rozkosznie. Całemi dniami uganiał się po lasach i górach za dzikiem lub trapiąc lisów, których tu była moc wielka. Wieczorami miła gawęda lub francuzkie karty— a to wszystko przy kielichu przedziwnego wina i wybornéj biskupiej kuchni.

Tylko co się skończyła Msza Ś-ta z antyfoną do Najświętszój Panny, bo to było we Środę—

wybiegliśmy z kościoła — ja ubierać króla — inni przybierać się i parzyć sobie języki gorącą polewką.

Pan Platemberg po trzykroć kazał otrąbić siadanego, biskup już siedział w saniach.

Mróz skrzypiał pod nogami a słońce dyamentami usiało ziemię. Polowanie zapowiadało się fortunnie, ile że wczoraj leśniczy biskupi. Skorupski wytropił czterech dzików.

Już kładłem szubę na króla, gdy wszedł Fantoni sekretarz, nieodstępny dziś przy boku pańskim ex re nawału listów i ekspedycji.

Ten Fantoni był muzykantom na dworze nieboszczyka króla, ale że zręczny a do sekretu jedyny, użył go królewicz do korespondencji. Czasami grywał panu na flecie.

Wszedł prędko i słów kilka powiedział po włosku. Choć zawsze jego mowa z kilku tylko wyrazów się składała, bo Włoch był milczącym, jak ryba, tą jednak razą żywą gestykulacją dołożył.

Król się zdziwił, potem zafrasował nieco, narazie nagle rozchmurzył oblicze, zrzucił szubę i wskazał ręką ku drzwiom.

Włoch wyszedł na chwilę i wprowadził do komnaty dwie osoby.

Jedną z nich była niewiasta cała w czerni, lat średnich, pięknego kształtu i urody niepospolitej — drugi młodzian, wyrostek jeszcze z pięknymi czarnymi kędziory, co mu na ramiona spadały, w stroju dworskim, smukły, cery smagławej,

oczu ciemnych i dziwnie rozumnych. a tak do króla podobny, zem zdrętwiął z podziwienia.

Król dał znak Fantoniemu, aby wyszedł. a i ja też nie czekając rozkazu, wysunąłem się tylnymi drzwiami za kotarę, za którą już znalazłem kilka głów i uszu par kilka ciekawie łowiących wyrazy.

Cóż na dworze uszłoby, czego uszy dworskie nie pochwyciły a nosy nie zwietrzyły?

Nie było zwyczaju. aby się nas wystrzegać — największe sprawy odbywały się w komnacie, gdzieśmy przy panu obecni byli... a gdy ktoś zagadnął króla, że za wiele świadków tej rozmowy słucha. odpowiedział:

— To przyjaciele moi wierni.

I zaprawdę tém nas tak zobowiązał, że gdyby którego pieczono i smażono, języka nigdy nie popuścił, ale były sprawy natury delikatnej a tycheśmy byli ciekawsi, niż wszelkiej polityki. a że ta właśnie taką się być zapowiadała, zostałem z innymi przede drzwiami i słyszałem to, co wszyscy słyszeli.

— To wy Karolino?— rzekł król,— tak dawno was nie widziałem.

— Czekałam. aż się W. Kr. Mość przybliżysz ku mnie. Przeciskać się przez cizbę dworzan w Warszawie i nawijać na oczy nienawistnemu Marszałkowi nie chciałam, a gonić Was po Litwie nie mogłam.

Król odchrząknął mocno, co zwykł czynić. gdy mu coś nie po myśli było.

— Toż szczęśliwe fatum, że mi was oglądać pozwala. I Szymon z wami — czy się z nim co zdarzyło?

Na to młodzian padł do nóg królewskich i głosem, w którym łkanie czuć było zawołał:

— Przybiegłem służyć W. Kr. Mości i życie moje dać dla was.

— Wstań chłopczel! niech ci się przypatrzę dobrze. Wszak to mu szesnaście lat się dopiero liczy?

— Siedmnasty już rozpoczął.

— Jakich ze ja usług do ciebie spodziewać się mogę — tobie by trzeba bakałarza.

— Nie, Miłościwy Panie, mnie potrzeba dzisiaj łaski waszej. Wszystko, co w domu Kostków było godnego nauki, jam to już posiadał. Chcesz W. Kr. Mość usług moich w kancelaryi, czuję, że im podołam. Raczysz mnie umieścić przy poselstwie i tam nie przyniosę ci sromu, bo władam obcemi językami tak dobrze, jak rodowitym. W wojskowej służbie, która mi się najwięcej uśmiecha, gotowem dowieść, że krwi i życia dla Was, Miłościwy Panie, szczerzyć nie będę. Wszystkiem, czem wy zechcecie — zostanę, byłem tylko mógł patrzeć na oblicze wasze i mieć to wielkie ukontentowanie, że Wam kiedy miłym być mogę.

Król słuchał zdumiony téj mowy, co z ust dziecka wychodziła.

Myśmy za zasłoną spoglądali po sobie, bo mowa to była, jak gdyby dojrzałego już męża, na którego słowie polegać możesz.

Zagadnął go po francuzku, odpowiedział, jak Francuz i jakimś trefnym wyrazem okraślił tak, że król śmiechem parsknął. Po włosku wywiązał się przedziwnie. Po niemiecku to samo — a gdy na łacinę kolej przysłała, zdawało nam się Cyncerona słyszeć a ksiądz Wydźga, kaznodzieja królewski, co sływał z pięknej łaciny, wydał nam się zakiem — i tu już podziwienie nasze granic nie miało, bośmy wykrzykli jednym chórem wszyscy, jak staliśmy za drzwiami szkolnym zwrotem Cyncerona: *Latini sermonis elegantia*.

Król się wzdrygnął... ale po chwili, jak by mu jakiś namysł przyszedł, postąpił ku owej kotarze i wezwał nas do komnaty.

— Rekomenduję Waszmościom pana Szymona Bzowskiego, od dziś mego dworzanina.

Pokłonił nam się zlekka, jakby już zpoufalcony z nami.

Patrzyliśmy na to dziwo natury i oczom swoim zdawali się nie dowierzać. On zaś, jakby mu w niesmak była ta nasza lustracya, skrzywił się zlekka i spokojnie bawił piórem na kapeluszu. Wtedy Jój Mość dotąd milcząca, zbliżyła się do nas i odezwała w te słowa:

— Jam matką tego młodzieńca. Polecam go miłościwemu sercu Wasz Mość panów.

— On się już sam polecił tak, że niczyja instancya więcj by tu nie mogła, — odrzekł pan Żabicki, zdradziwszy siebie i nas wszystkich, żeśmy byli świadkami rozmowy królewskiej, co

było cale nie po dworsku. Złapał się potem i chciał poprawić, ale zagrzął nieborak więcej. Król się uśmiechnął. kazał zawołać Fantoniego. mnie zlecił. aby polowanie odłożono do jutra— potem zamknęli się we czworo w komnacie.

Wybiegliśmy do sieni, żeby złapać języka o tych dziwnych odwiedzinach. a tam już stał pan Rylski i opowiadał Platembergowi.

Pani Bzowska była wdową po Rotmistrzu Andrzeju Bzowskim, chorągwi królewicza Władysława. który poległ w okazji moskiewskiej. Był wielce lubianym przez ongi królewicza a dziś Pana naszego tak dalece. że po powrocie z Moskwy królewicz sam zajechał do wdowy. we wsi ich dziedzicznej Jurkowice w Sandomierskiej ziemi i tam jął pocieszać strapioną, a affekt cały. jaki miał dla nieboszczyka dostał się pani Bzowskiej i z onego affektu wyrosło chłopię. któreśmy tyle podziwiali przed chwilą.

Pani ta była dumna — nie przyjęła nigdy żadnych łask od królewicza a potem króla. Zezwoliła jedynie, że dziecko król zabrał i umieścił na edukacyi u Mikołaja Kostki. starosty malborskiego w domu słynnym z świątobliwości i nauki. zkąd właśnie powrócił. aby służby swoje nieść królowi.

Wiadomości te powtarzaliśmy sobie i nicowali na wszystkie strony, a cobyśmy wówczas dali za to. aby się wedrzeć choć szpareczką jaką do królewskiej komnaty.

Jej mość pani wyjechała jeszcze przed obiadem z Kielc. nie przyjmując gościny, choć ją król molestował bardzo. Wyszła od niego z zapłakanemi oczyma, smutna. Nam się skłoniła uprzejmie i raz jeszcze poleciła swego jedynaka a wejrzeniem tak błagalnym nas żegnała, że mi się srodze żal zrobiło niebogi.

Przystąpiłem tedy uprzejmie do niéj, całując rękę:

— Niech Wasz Mość pani będzie spokojną. Syn jéj, acz od kilku chwil tu bawi, tyle już zyskał u nas estymy i kolleżeńskiego affektu, że mu tu dobrze będzie.—Ja osobliwie, jeżeli jego wola, służby mu swoje ofiaruję.

— I my, i my!—dołożyli inni.

— Bóg wam odpłaci za sierotę.

Powiadano, że do króla czuła affekt wielki zawsze i przez to wszystkie partye, jakie jéj się trafiały odrzucała — a było tego bez miary, bo urody była nadzwyczajnej.

Pan zaś nasz nigdy przy jednéj miejsca nie zagrzeżał, ale jak na polowaniu, tak i w téj materji coraz to nowe przeglądał knieje i po staremu grzeszył— a grzechy to były nieraz ciężkie, które bogdaj mu były odpuszczone na wiekuistym sądzie i skasowane przez cnoty, jakiemi świecił w życiu.

Nie jedna płakała nań gorzkiemi łzami — a ile piekła, ile zgryzot, ile plugawych intryg i czarów zakłóciło bogobojne życie nieboszczki królowéj i śmierć jéj nawet przyspieszyło, Bóg jeden wie.

Dziś król stary i schorowany dał waletę temu szpetnemu nałogowi i nowych miłośnic już nie brał. ale dawne po staremu chował i dziećmi z nich się opiekował. osobliwie jedną, o której będzie w porę.

Największym sprawcą złego z tych, co otaczali króla i prowadzili po tej stromiej drodze, był pan Kazanowski Adam. Na jego sumieniu dużo win pańskich cięży. a za każdą lakoć taką płacić sobie kazał sownie — to też sypały się starostwa. królewszczyzny, pieniądze i kamienie drogie tak. że urosł w najbogatszego pana w Polsce. I gdzie się to dziś podziało? Ani dymu, ani popiołu. jak to bywa: Małe parta. do czarta.

Nimeśmy siedli do stołu a król jeszcze został z Fantonim i Bzowskim. wszedł biskup i zwracając się do mnie, rzecze:

— Cóż to za odwiedziny tak ważne. że przerwały nam dzisiaj zabawę?

Opowiedziałem mu o nich co do słowa. Zmarszczył brwi i mruknął przez zęby:

— Za wiele tych bękartów.

Przy stole król dość zafrasowany przedstawił biskupowi nowego dworzanina. Popatrzył on surowo na króla, jak by mu mówił: Wiem o wszystkim. Król spuścił oczy i jakimś żartem po francuzku powiedzianym zatarł wrażenie.

Obiad nam przeszedł dość kwaśno. jakby jakiś zły wiatr po nas powiał. Biskup przyglądał się Bzowskiemu, który wesół i swobodny opowiadał królowi o domu Kostków. gdzie młodość swoją

spędził a opowiadanie swoje szpikował gęsto dowcipem, nie szczędząc nikogo z ludzi, o których mówił.

Wstaliśmy od stołu, a ja stojąc za królem, słyszałem, jak mówił do niego biskup:

— Nie będzie z niego pociechy.

Skryte sądy twoje, o panie!—i trzebaż takiego fatum, aby ten sam człowiek..... ale idźmy porządkiem.

Za przybyciem do Warszawy, osobliwe czekały sprawy króla pana.

Żeniono go. Każdy mu chciał być dziewosłębem.

W sypialni pańskiej cały stół zavalony był konterfektami przeróżnych księżniczek i królewien, a jedna piękniejsza od drugiej, co łącznie można zdziałać, boć drewno albo płótno cierpliwe i daje się malować, jako wola, a dopiero oryginał kłam zadaje, jak się to i nam stało—o czém niżej.

Każdy z dziewosłębów rad był przy tym ogniu i swoją pieczeń upiec.

Król słuchał, potakiwał, a w duszy krył zamiary.

Nie gwoli serca szło mu teraz o małżonkę, bo nieboszczkę miłował i szanował wysoko za jej królewskie cnoty, a kochanie utrapione znowu chował na boku (oj utrapione to było kochanie), ale szło tu o wybór, coby przysporzył splendoru i korzyści tronowi i Rzeczypospolitej.

Krom doradców, co własne interessa mieli na uwadze, radzono się horoskopów. które układał królowi kapucyn ojciec Waleryan z baronów de Magni.

Mąż świątobliwy, teolog, filozof niezrównany i astrolog. Dziwnój pokory i zaparcia się świątowego. Gdy przechodził z oczyma wlepionemi w niebo, zdawało się, że wszystkie ziemskie sprawy nie mają doń przystępu — nie widział nic wokoło siebie, ale z Bogiem tylko rozmawiał, tymczasem czy mu jaki niewidzialny Anioł do ucha szeptał. czy mu gwiazdy bywały szpiegami, widział i wiedział wszystko. Słowo jego miało wagę u króla. Porównywano go z owym Ojcem Józefem Riszeliusa, co go Francuzi Eminence grise, albo jakby po polsku powiedział *brudną eminencyą* zwali.

Miał on pomocnika w osobie brata swego Franciszka barona Magni. Gdzie nie mogła wleźć brudna eminencya, tam snadno wlaził pan baron. a gdzie panu baronowi wleźć było trudno. tam pani baronowa się wsuwała. — A cudna to była Włoszka, piękna. niby Wenera pogańska. a przebiegła, jak Ulisses

Wszystko troje zamieszkiwali w zamku, w pokojach królewicza Jana Kazimierza. które się łączyły z królewskimi.

Do późnej nocy nieraz ta trójca obsiadała króla i radzono a radzono bez końca. a z narad tych miał wypłynąć kardynalski kapelusze dla brudnej

Eminencyi, dla brata jego tłuste kęski z pańskiego stołu a dla pani majordomstwo przy nowój królowej.

Kiedy się już król dobrze przyjrzał konterfektom aspirantek do tronu i łożnicy królewskiej, i kiedy horoskopy brudnej eminencyi wypadły na Francuzkę Maryą Ludwikę Gonzagę. wysłano zaraz pana Gerarda Denhofa, wojewodę pomorskiego, posłem nadzwyczajnym do Paryża z plenipotencyą pełną umówienia się o posag i zaślubienia jej w imieniu królewskim. a w parę miesięcy potem wyjechało poselstwo jeneralne po samą księżniczkę, składające się na czele z pana Krzysztofa Opalińskiego, wojewody poznańskiego, który to tak nas schłostał niemiłosiernie w satyrach swoich, choć sam był godzień chłosty największej, bo pełen grzechów, które innym wytykał, Waclawa Leszczyńskiego, biskupa warmińskiego, a my w domu zabawialiśmy się sprawami dyssydentów i heretyków.

Posadzano króla, że od czasu, jak wygnał Jezuیتów z swojego dworu rozgniewany na nich, że królewicza Jana Kazimierza do swego zakonu wciągnęli, zaczął sprzyjać różnowiercom.

Zwołać tedy kazał do Torunia na Listopad wiec z przeróżnych wyznań na dysputę, którą nazwano Colloquium charitativum.

Ruch się zrobił wielki między heretykami, osobliwie aryanie przełękli się straszliwie, że to tam na ich skórę bicz kręcić mieli, a między innemi

jeden z nich pan Niemirycz Władysław, podkomorzy kijowski, którego król łaską swoją zaszczycał — przybiegł do króla i w alarm uderzył. Człek to był piękny i rozumny, a tak zakamieniały w swoich błędach, że dałby się za nie posiekać w kawałki. I cóż się stało?

Oto, gdy był już blizkim skonu, zjawił się doń ojciec Kisanowski jezuita, który słynął z wymowy i sztuki nawracania, i jak go zaczął przekonywać, a po całych nocach sypiać na gołej ziemi przy jego łożu, tak się i nawrócił, ale pod warunkiem, że mu Kisanowski da rewers na piśmie, że w tej wierze zbawionym będzie.

Jakoż dał mu Kisanowski rewers taki, który umierając kazał sobie do trumny włożyć.

W pięć dni po śmierci, jezuita otworzyli trumnę i znaleźli przy zwłokach kwit napisany z datą: *In valle penitentia* świadczący, że zadość uczyniono rewersowi.

Obadwa te pisma rektor Jezuitów podał do oblaty w aktach trybunału koronnego w Lublinie.

Dopieroż to się zaczęła walka. Aryanie wystąpili z pismami, paszkwilami, wierszami, ośmieszając ów cud. Jezuita znowu ze swęj strony piorunowali. Niemirycze stali się jeszcze zaciętszemi wrogami prawdziwęj wiary.

Tak to jezuitckie praktyki nie zawsze trafiały celu.

Młody Bzowski zamieszkał w sercu pańskiém na dobre, i jak dawniej Fantoni był nieodstępny

panu, tak teraz on zajął całkiem jego miejsce, co Włocha gryzło niezmiernie. Wołano go tylko do większych dyplomatycznych kwestyj, a wszystkie listy i sprawy codzienne spełniał Bzowski z podziwem jednym, skrytą zawiścią drugich.

Miał ten człek dziwny animusz w sobie—przed nikim się nigdy nie uniżył. Osobliwie dla panów był cierpkim i kwaśnym tak, że my będąc świadkami, truchleliśmy ze zgrozy i już widzieliśmy nie raz miecz zawieszony nad jego głową — a on rozumną odpowiedzią jakąś tak potrafił zmieszać obrazonego, że zawsze mu usta zamknął.

Pomijano go też i przebaczano wiele, kładąc na karb i młodości, i względów królewskich.

Gdym go raz w rozmowie zagadnął, dlaczego zraza do siebie ludzi tak zacnych, że mu to może szkodzić w przyszłości, odrzekł:

— Ja zacność ludzi mierzę rozumem i sercem, a nie herbem. Nie cierpię tych wszystkich nadętych pęcherzy, co z wierzchu pozłacane a w środku puste. Nie cierpię ich głównie za to, że tyle zgryzot mojemu wielkiemu ojcu przynoszą.

Nie było co na to odpowiedzieć, ale przeczuwał zawsze, że wielkie a gorzkie ciernie czekają w życiu tego czleka.

Pierwsze jego zajście było z marszałkiem nadwornym Kazanowskim.

Marszałek, jak mi opowiadał Bzowski, rozmiłował się w jego matce i chciał ją gwałtem zniewolić ku sobie, aby duszką jego była. Dumna

pani ze wzdardą odtrąciła natrętnika, a nawet psami ze dworu kazała wyszczuć. Namotał on to sobie na wąż i prześladował, kędy mógł.

Teraz gdy się dowiedział, że młody Bzowski na dwór przyjęty, postanowił znęcać się nad nim — ale trafiła kosa na kamień.

Gdy go spotkał pierwszy raz na pokojach, zapytał: co to zacz? Dlaczegoś mi się dotychczas nie meldował? Kto ty jesteś?

— Jestem Dworzaninem J. Kr. Mości przez samego pana Miłościwego przyjętym do usług.

— A jam marszałek nadworny. Nie powiedziano ci, że obowiązkiem każdego, kto tu nogę postawi, przejść wprzód przez moją kancelaryą?

— Widać, że się bez tego obejść można, kiedyś tu.

— Wziąć go! Skinął na drabantów i zamknąć kazał do wieży na dwadzieścia cztery godziny.

Rumor się zrobił w zamku. Król kazał natychmiast uwolnić Bzowskiego i raz na zawsze wypisać z pod kontrolli marszałka, jako swego przybocznego, respektowego dworzanina — czém większy mu jeszcze uczynił zaszczyt, bo tylko senatorscy synowie tego splendoru dostępowali.

Bzowski tryumfował i szydził z niego głośno, a śmiał mu się w żywe oczy, gdy go spotkał, ale oddał on mu też z nawiązką.

Włoch tymczasem pracował i przemyślał, jakby go w oczach pańskich obmierzić i ująć mu tych łask, co się nań szciodrze sypały — jakoż stało się, jak zamysłał.

Lubo stary rozumem i talentami, był Bzowski w gruncie dzieciakiem i figlów a psot u niego nie kupić. Bywało, śmieliśmy się, jak waryaty. Udawać każdego udał tak. że przysięglbyś, iż to ta sama figura. Wymowę nawet ludzką imitował do złudzenia.

Był szatny królewski Sebastyan. który się jękał i jak się zaciął, pąsował cały, mlaskał językiem o podniebienie, pięścią o pięść bił. tupał nogami. co nieraz okrutnie niecierpliwiło króla.

Tego tedy szatnego imitował tak, żeśmy wszyscy za boki się brali. A gry, a zabawy przeróżne wymyślał. Zajęty i czynny zawsze.

Do hulank, do picia nie dał się wciągnąć — czuł wstręt — i luboć w tych czasach był prawie chłopięciem jeszcze, pozostał takim już do końca życia.

Dworskich obyczajów i tego wszystkiego, co wiedzieć trzeba z regulaminu, nauczył się tak prędko, że nam cenzorem bywał. Smutnego oblicza nie pokazał nigdy, choć kłuto go nieraz boleśnie — chował on to wszystko gdzieś głęboko.

Humor jednostajny u niego bywał — wesół, swobodny a szyderycy i zjadliwy prawie. Musiano dobrze ważyć słowa, mówiąc do niego, bo drwił niemilosierdzie a nicował ludzkie błędy. Nie lubiano go i unikano.

Za to między nami młodymi jednal sobie miłość bez granic.

Dwóch ludzi, można powiedzieć, było w tym

dziwnym człeku: jeden dla świata, któremu się stawał, jakby okoniem, szczerząc zęby, drugi dla tych, z którymi przestawał— chłopięciem wybor- nego serca, gotowym do usług wszelakich, choćby krwią własną i mieniem, którego nie ważył wca- le. bo gotów był koszulę zdjąć z siebie bez wa- hania, aby drugiemu pomódz.

Gdy przyszło prosić go o wstawiennictwo jakie do króla, można było być pewnym dobrego skut- ku—nie ustąpił, póki łaski pańskiej nie wyjednał, a trafiało się to gęsto.

Dla biedy ludzkiej był litościwym nad miarę, krzywda każda wywoływała w nim wzburzenie takie, że zdało się błyskawice z ocz mu tryskały, a z ust pioruny były.

Zaprowadził go król do królewicza Zygmunta; dziecko było chowane pod rygorem ścisłym i całą jego zabawą była karlica nieboszczki królowej— zlecił mu król zabawiać go w wolnych chwilach.

W toż mu graj! Chłopię tak polubiło Bzowskie- go, że bez niego potem chwili obejść się nie mo- gło. Przykrzył sobie i płakał, gdy go nie widział długo. Nieraz przy ważnej pracy zajętego Bzo- wskiego odrywano do małego królewicza.

Tu Fantoni wycelował dobrze. Szepnął królo- wi, że niebezpiecznie pozwalać Bzowskiemu zbli- zać się do królewicza, że Bzowski zakrawa na charakternika i może co złego wyrządzić przy- szłemu dziedzicowi korony—ile, że sam w sobie królewską krew czując, zawiść może go popchnąć do jakiego niecnego czynu.

Król się tak okropnie przestraszył tego, że natychmiast zabronił surowo puszcząć go do komnat Zygmunta, a potem i do siebie przystępu tak mu często nie dawał, wysyłając w rozmaitych sprawach z Warszawy.

Bóg wie, gdyby był przy nim pozostał, może właśnie cieszyłaby się korona dotąd potomkiem wielkiego ojca. A to chowany był tak, że nie ledwie oddychać mu wzbroniono przez troskliwość zbyteczną.

Do trójcy, która temi czasy wisiała u uszu królewskich przybyła jeszcze jedna persona—był nim Tiepolo, poseł rzeczypospolitej weneckiej, zaprzyjaźniony z naszym panem jeszcze za życia nieboszczyka króla, kiedy królewicz odbywał wędrówkę po Włoszech; dodawszy jeszcze kanclerza Ossolińskiego i Fantoniego, który temi czasy stał się królowi niezmiernie potrzebnym i ruchliwym, rozpoczęły się narady przy drzwiach zamkniętych bez obsługi żadnej dworskiej, aby ani jedno słówko nie przemknęło się po za obręb królewskiej komnaty.

Po takich naradach król bywał nad podziw wesół i dobrej myśli—zdawało się, rósł nam w oczach.

Wielkie to tam snąć układano plany, kiedy ta-kiem ukontentowaniem przejmowały osobę pańską — a jakie one były po wyjściu na dzienne światło, będziemy widzieli.

Zaden pono Monarcha w Polsce zycia tyle nie trawił w podróżach. co nasz król Władysław. Ilem to ja z nim kątown naszych zwiedził?

Dobrze poszukawszy, to niewieleby się miejsc znalazło takich, w którycheśmy nie byli.

Natura królewska potrzebowała tego ustawicznego ruchu. tych przygód, tych łowów. którym się król bez upamiętania oddawał.

Bóg obdarzył Polskę pokojem trwałym. Wokoło nas szalały burze, a my jako bezpieczny spektator patrzaliśmy spokojnie na te bałwany odmętu. co szamotały się, bijąc o skały naszego bezpieczeństwa.

Królowi z jego wojennym animuszem ciężko było prowadzić życie spokojne a gnuśne. On, syn Marsa wspaniały, miał-że, jak arkadyjski pasterz kwilić w cieniu drzew na fujarze?

W łowach topił ten nadmiar rycerskiego zapalu. i gdy się uznoił, utrudził — gdy własną ręką zasłał puszcę trupami, wtenczas dopiero czuł się szczęśliwie.

Skłonny do zbytniego tycia. które było przedmiotem ustawicznej jego troski, wynajdywał coraz nowe trudy, aby nie dać ciału zbytecznie się rozrastać. a największe zadowolenie pańskie było w ten czas. kiedy przy ubieraniu, haftki u kabata luźno się zapinały, lecz biada Szatnemu. kiedy go dopiąć nie mógł.

Ze wszystkich podróży pańskich najniefortunniej wypadła nam zawsze podróż do Merecza.

Jeździliśmy tam po trzy a czasem i po cztery razy do roku, a każdy powrót pański znaczył się zawsze jakimś ubytkiem, to zdrowia pańskiego, to humoru, to nawet szlachetności — przecież pomimo tego, jak gdyby niewidzialna siła, pędziło go tam coś zawsze—tak i dziś. Po odbytych naradach z brudną eminencyą, i z Włochami, postanowiono wyjazd do Merecza.

Starostą grodowym po moim ojcu ś. p. Mikołaju Eustachym, był Imć pan Jan Wypyski z Wypych, herbu Grabie. chorąży nurski — ożeniony z Jadwizką Lwowianką, miłośnicą królewską.

Chłop ogromny wzrostem i tuszą — twarzy dużej, okrągłej i jakby nalanej — oczu wyłupiających, patrzących tak dziwnie, jak gdyby nie widziały — niskiego czoła, które podgalał — dużych wąsów i brody skrzyżonej z szwedzka.

Nosił się dziwacznie. Jużto prawda, że suknia dużo mówi o człowieku. U niego rozmaicie bywało. Strój polski mieszał się z szwedzkim, to jest dworskim w dziwaczny nieraz sposób.

Na hajdawery i pół-zupanik wdziewał kolet i przykrywał się ferezyą, na którą brał duży kołnierz haftowany. Buty wywinięte i obszyte koronkami można było widzieć u niego przy kontuszu.

Słowem rad był bielaczysko obojgu panom służyć—i szwedzkiej, i polskiej koronie.

Głupoty był to solennej człowiek—a chorążstwo swoje, którym go tam w ziemi nurskiej udarżono

zawdzięczał swój wysokiój posturze i podarkom a traktamentom, któremi szafował szczodrze — bo nie było ofiary, której by nie zrobił dla dogodzenia swój głupiej ambicyi. Tak i to ożenienie się jego z metresą królewską miało być li szczeblem. po którym się dalej wspinać myślał.

Wyszukany też to był mąż dla niej w korcu maku. Wraz z jej ręką wziął zaraz starostwo mereckie, które po moim ojcu zawakowało i dostał w zarząd ekonomią olitską.

Uważał siebie, jak gdyby spokrewnionym z krwią królewską.

Pisarzom i podstarościm swoim płacił za to, aby go na listach tytułowano Wielmożnym — o co miał proces nawet, bo go pozwał pan kasztelan zmujdzki, że sobie senatorskie tytuły przywłaszcza.

Wymolestował się z tego processu i znów po staremu tytułować się kazał. Niezaczepiano go już. ale ruszano ramionami. mówiąc: Co z durniem robić?

Nie ruszył się nigdzie. aby dwóch pacholików nie było przy nim — jeden mu trzymał chustkę, drugi czekan, albo inny jakiś przedmiot. Łeb zawsze niósł do góry a nim mówić zaczął, chrząknął kilka razy niby dla skupienia całej uwagi w słuchających. ale cóż — gdy usta otworzył, sypały się z nich otręby.

Gdy zasiadał do sądenia jakiej żydowskiej sprawy, kazał trębaczowi grać w trąbę. że sądy

się zaczęły. prawdziwym zaś sędzią bywał podstarości, który robił, co chciał, ale odnosił się zawsze do pana temi słowy: Tak chce jego miłość— albo: Taka wola wielmożnego starosty... a on tylko chrząkał i po staremu łbem kiwał.

Gdy król zajeżdżał we wrota, on drugiemu wrotami wyjeżdżał do Olity, niby za ważnemi sprawami — a to już tak raz na zawsze z góry ułożonem było i paktami przypieczętowano.

Śmieli się mieszczanie, chłopci i żydzi, pokazując go palcami i wołając: ot wyjeżdża pan Starosta na grzyby.

Chował się przy nim i przy matce syn królewski, którego nawet król adoptował, i wolno mu się było tytułować de Waza — na imię mu było Konstanty.

Chłopak miał lat ośmnaście — rosły, cielisty, twarzy puciołowatej, całkiem jakąś gnuśnością i obojętnością tchnącej — ospowaty, oczu małych patrzących świdrem, w ruchach i w mowie ociężały, tylko jak gniew nim porwał, ruszać się umiał — a kłać a bić i łamać wszystko.

Tępego niezmiernie umysłu — prócz a, b, c, liznął trochę łaciny, zresztą uczyć się nie chciał.

Bakalarzom i professorom, których mu sprowadzano z Wilna dokuczał, szpetne wymyślając złośliwości, bo miał kocia naturę i gryźć a drapać lubił, napadając z nienacka, żaden też potem za złote góry nie chciał się podjąć jego nauki. Po całych dniach legiwał, zajadając łakocie. Rozu-



mienia o sobie wielkiego, że jest królewskim synem, któremu matka i głupi ojczym ustawicznie w głowę kładli.

Jadwizka dochodziła już czterdziestki. Nie wielkiego wzrostu—ni brzydka, ni ładna — w oczach tylko miała coś dziwnego. Były one duże, ciemne, ubrane gęstemi rzęsami, a jakby jakąś mgłą przysłonione, od czasu do czasu tylko ogień w nich błyskał.

Twarz miała śniadą, a włosy kruczój czarności. Było to tam podobno w niej coś krwi bisurmańskiej, bo o ojcu całe głucho, a matka córka piekarza z Tarnopola porwaną była w jassyry, odbita przez Wiśniowieckiego.

Naraił ją królowi Mniszech starosta lwowski.

Że była czarownicą, na to dużo dowodów stawić można, i wszyscy się téż na to zgadzali. Nosiła jakieś amulety na sobie; kąpała się w przeróżnych ziołach i w koziem mleku. Do alkierza, w którym się zamykała, nikt nie miał przystępu, bo dziwne tam jakieś wyprawiała praktyki.

A to przykucie króla do siebie, nie byłoż czarami.

Mówiono, że pieniędzy miała ze trzy beczułki, i to że skąpa okrutnie, a króla podbierała ustawicznie.

Przed przyjazdem nieboszczki królowej mieszkała w zamku warszawskim, ale ta święta pani w wzburzeniu wielkiem kazała ją ztamtąd wypędzić, i tak się zalterowała, że do Krakowa chciała wracać.

Ona też za to przysięgła królowej zemstę, bo gdy już była w Mereczu, a królestwo odwiedziwszy Litwę, zatrzymali się w Dangach, starostwie księcia kanclerza litewskiego, zakradła się cicho do komnaty królowej i tam jej podobno coś zadała tak, że od tego czasu cherlała ciągle nieboga aż i zmarła.

Niewstydu była wielkiego niewiasta, ze kształtne miała ramiona i piersi pełne a okrągłe, wystawiała je na pokaz, delikatnie tylko cienkim rąbkiem bielizny osłoniwszy.

Ubranie było na niej zawsze wyszukane, smaczkowite i bogate.

Gdy szła do kościoła, dwie karlice ogon sukni jej niosło, a paź książkę do nabożeństwa.

W dworcu swoim nie trzymała kobiet tylko stare i brzydkie.

Komnaty jej świeciły od zwierciadeł, dywanami i bogatemi kobiercami osłonione.

Światło do nich wpadało przez szkła kolorowe. Zapach pachnideł przeróżnych i perfum rozchodził się po domu. Pełno kwiecica i wodotrysków w komnatach z pachnącej wody, miękkie tureckie wezglowia.

A co za stół bywał w tym dworze!

Sześciu kucharzy i tyluż kuchcików uwijało się bez ustanku. Potrawy wszystkie gwoli królewskiemu smakowi, to co on lubił—a więc: rogu czys litewski, barszcz przedziwny, Czamanga marynowana w saetrze i ziołach różnych na sposób

ormiański, pasztety francuzkie, pieczeń z łosia, zwana *Magnabestia*, chruściele, cietrzewie, pardwy. Ryby wyrozęby, łokietnice, bliny z mąki i z prosa, jarzyny, owoce przeróżne zamorskie, a nie zliczyć owych melszpajzów niemieckich, które król bardzo lubił. Kapela doborowa przygrywała przy uczcie, osobliwy wodził rej Galot, lutnista z Wilna.

Na oko istny raj, aleśmy wiedzieli wszyscy, prócz króla, jaki to w tym rajy wąż siedzi.

Po wyjeździe pańskim znikąło to wszystko, jak w zaczarowanym pałacu, a natomiast jejmość stawała się sobą: kłótliwym, nieznośnym tyranem dla sług, skąpą a nieużytą dla męża, który pyszny a chciwy hołdów wobec świata, przy niej był lichym ciurą, którego ona nieraz po gębie biła.

Synek tylko pieszczony i cacany był jednako-wo, i gdyby wiedziała, że dlań na szklannój górze cudowne jabłka zerwać trzeba, pewnieby je zerwała.

Trzymała ona u siebie Czecha, a nazywał się Orzełek. Ten Orzełek pełnił przeróżne funkcyje—był marszałkiem domu pani starościny, jej sekretarzem, plenipotentem, strzelcem, leśniczym, kredencierzem, woźnicą, nawet kominy wymiatał.

Cichy, pokorny, nie dużego wzrostu, ale krępy i silny—włosów jezących się na łbie, jak szczeci-
na—patrzył z podełba i zawsze się znalazł tam, gdzie się go nikt nie spodział. Niby chodził czémś zajęty a ucha nadstawiał bacznie i łowił wszystko.

W takim to domu znajdował król wytchnienie i spoczynek po troskach panowania.

A jakże drogo ten *quasi* spoczynek okupywać musiał, bo oto drzwi się nie zamykały od suplikantów rozmaitego gatunku, którzy kupowali sobie u pani Jadwiżki przeróżne synekury i urzęda, co je był król sypał na jój prośby hojną ręką, a z których utrapienia rosły, bo Jadwiżka nie wybierała, nie patrzyła na człowieka co zaczął, ale na ręce co w nich, to potém król dopłacać musiał takiemu subjectum, aby go wyforować do czarta z zarządu lub ekonomii jakiej, bo pokazało się, że złodziej lub zdzierca.

Sarkania i wzburzenia było nie mało z tego powodu między panami szlachtą. Odgrazano się na czarownicę, co tak panem umiała władać.

Tą razą nie z ochoty wielkiej, ale raczej z naboju jechaliśmy do Merecza, powiedziałbym rzeziennym dyszlem, bośmy zatrzymywali się wbrew zwyczajowi w różnych miejscach. Król cały w myślach zatopion, nie wiedział nieraz, gdzie się znajduje. Koniuszy Platenberg parę razy musiał pytać o rozkazy, gdzie stanąć, lub gdzie król popasać zamyśla.

A był z nami Zięba, pokojowiec królewski, sprawny i ulubiony panu, cięty w języku. umiał układać piosneczki, któremi nas bawił przez drogę.

Król błaznów nie lubił—tłukło się od czasu do czasu przy dworze jeszcze za bytności królewicza Jana Kazimierza i Włochów kilku, i Polaków, jak Słobikowski, Gawełek, ale nie popasali długo. Żle im tu było i poszli po pańskich dworach szukać szczęścia.

Zięba ich wszystkich przez nogę przesadził.

Choć nie nosił oślich uszu i dzwonek, wolno mu było powiedzieć, co ślina na język przyniosła. nikomu też niedarował, a stanąć umiał w potrzebie. Bano go się i nie zaczepiano. Szanowano rozum i łaskę pańską.

Do Zięby się udawano po wszystko, umiał on do króla przemówić o każdej porze i w każdej materji.

— Czy WKr. Mość nie głodny?—pyta.

— Nie.

— Ani ja, ale u mnie kot za szczurem w brzuchu łazi, gdy mu nie rzucę jakiego ochłapa, to się gotów do jelit dobrać.

Król się uśmieł i kazał Platenbergowi przystanąć dla popasu.

Bzowskiego nie lubił dla jego dumy.

— Nie uchowa się ten człowiek, bo gdy pożyje, głową do księżycy dostanie.

Pierwszém miejscu, gdzieśmy się dłużej zatrzymali, był Liw.

Tu w zamku król oglądał armatę wszystką.

Komendant człowiek stary, Sierzputowski, żołnierz jeszcze z pod Żółkiewskiego buławy, utrzymywał go porządnie.

Niezdobyta to była twierdza, otoczona bagniskiem i błotami. jednak potem przez zdradę wpadła w moc Szweda.

Król wchodził wszędy — obejrzał kąć każdy, zagłębiał się do lochów, kędy były złożone prochy i amunicya. i gdy już strudzony przechadzką miał zasiąść do stołu, który mu na dziedzińcu pod namiotkiem nagotowano, odbił się o uszy nasze jęk straszny, jakby z tysiąca piersi i słowa: Ałłach, Akbar Ałłach! To jeńcy tatarscy wzięci przez Koniecpolskiego pod Ochmatowem.

Więził ich Sierzputowski w onych lochach, srogo się obchodził, mszcząc bez litości śmierci hetmana. Kazał król wprowadzić kilku. Okropny widok. Ciało opadało z nich kawałami—niepodobni byli do ludzkich stworzeń. Oburzył się król okrutnie na zakamieniałego starca.

— Waszmość przeszedł bisurmanów w srogości, a różaniec zatknięty zapasem. Pożywasz krew i ciało niewinnego baranka, bijąc się w piersi, a dla ludzi jesteś gorzej tygrysa krwiożerczego.

Kazał ich z lochów wyprowadzić i umieścić w górnych izbach zamkowych, zabronił karać pod utratą łaski i używać jedynie do robót lekkich, a zdał ich pod nadzór Kisielnickiego, młodego człowieka, porucznika i chirurga zamkowego Szmita; i tak wyjechaliśmy, nie jedząc nic w onym Liwie, zalterowani wszyscy.

W Węgrowie czekał na nas koniuszy litewski Bogusław Radziwiłł.

Wybierał on się właśnie w podróż do Paryża, aby być instruktorem poselstwa naszego po królowę, bo go o to król prosił.

Był to kawaler cale cudzoziemskich manier, po polsku mówił źle i niechętnie.

Przyjął nas szumnie i dwornie, ale jakoś nie było w tém wszystkiem ochoty i sentymentu. Wszystko jakgdyby sztuczne, jakgdyby wedle przepisów a paragrafów dworskich, bo to on tam na dworze francuzkim praktykował, a uczył się tych manier i strasznie niemiinponować lubił.

Przedrwiwał nasze suknie, że już ich moda minęła, królowi nawet zrobił przymówkę *ex re* kabata zanadto w górę stanem posuniętego, że już od dwóch lat noszą stan dłuższy, otwarty z przodu bez pasa. A mówił o tych rzeczach z tak wielką emfazą, jak gdyby *de publicis* mowę jaką w sejmie wygłaszał.

Wszystko u niego było z cudzoziemska, służbę nawet miał z Francuzów i Holendrów.

W ustawicznych podróżach po świecie, w domu tylko gościem bywał— cóż, kiedy potem uciekać musiał z Francyi jak niepyszny, bo go w Bastylii zamknąć chciano za znieważenie jakiegoś *duka*.

Król oglądał stajnie, które wówczas słyneły na całą Litwę.

Był dobór rzadkich koni.

Wprowadzono skarogniadego ogiera, dzianeta hiszpańskiej rassy w pięknym rzędzie drogiemi kamieniami sadzonym... i ktoby uwierzył, pocho-

dził on z knyszyńskiej jeszcze stajni króla Zygmunta Augusta. Gdy król się dziwił i z niedowierzaniem słuchał, wyniósł koniuszy książęcy księgę, i tam przekonaliśmy się o jego rodowodzie, który ręką Radziwiłłów ojca i dziada księcia koniuszego prowadzony był wiernie, nazywał się tak, jak wszyscy jego potomkowie, Almanzor. a był z rodu Almanzorów ośmnastym.

Cudne było zwierzę nad podziw. Bedew z grzywą i ogonem okazałym, plamką na czole jasną, z nozdrzy ogień się sypał.

Prosił księżę, aby go dosiąść. Wysforował się p. Platemberg, ale ku hańbie i ohydzie wieczystej całego naszego dworu wysadzony został... i kiedy się tak sromamy i podnosimy niefortunnego jeźdźca... aż tu coś dziwnego się stało— podszedł ku niemu Bzowski i jał się w niego długo wpatrywać swemi ognistemi oczyma. Zwierzę czuło na sobie ten wzrok. spuściło łeb ku ziemi i zaczęło lizać jego rękę. poklepał go po szyi, wziął lekko uzdę i w mgnieniu oka skoczył na siodło.

Zdawało nam się to wszystko snem. albo wizją jaką, dzianet posłuszny pod nim jak panienka, jał parskać radośnie i łbem rzucać. on znowu pogłaskał go po szyi, cmoknął i ruszył powoli.

Najprzód szedł grędą. potem rysiem posunął, dalej jednochodem, cwałem i przecwałem—objechał koło, wreszcie przed królem osadził go na miejscu.

Jak wprzód ze wstydu, tak teraz z radości

i podziwienia, staliśmy niemi. dopiero król uści-
snął go po dwakroć, a dalej my z kolei nacieszyć
się nim nie mogli, że naprawił tak dzielnie repu-
tacyą dworską.

Księżę chciał mu zaraz ofiarować hiszpana,
jak to w zwyczaju, ale podziękował. nie chcąc
psuć genealogii tak przesławnej.

Niech Almanzor znów rodzi Almanzory.

Wybrał sobie na prośbę księcia. cisawego bach-
mata Nuradyna.

Ztąd do Ciechanowca, mil pięć, jechaliśmy bez
popasu.

Tu spotkało nas iście królewskie przyjęcie, Ja-
nusz Kiszka na Ciechanowcu. wojewoda Połocki,
pan niezmiernej fortuny, bo siedmduziąt miaste-
czek i czterysta wsi posiadał, w sto kilkadziesiąt
koni wyjechał przeciw królowi.

Pierwszy to raz od lat dwudziestu, nawiedzał
król progi aryańskie.

Wystawiono tryumfalną bramę, nad którą uno-
siła się bogini mądrości Minerwa, trzymając por-
tret króla otoczony glorią.

W zamku zahuczały działa.

Przed bramą witały króla: pani wojewodzina
z córką, dalej cała kalwakata krewnych, przyja-
ciół i domowników wojewody.

Pokoje błyszczały bogactwem wielkiem. świetna
uczta, podarki, któremi nas darzono, kordyalność
gospodarzy, że choć żyć i umierać z niemi,
a przecież mierziło nas wszystko. Nigdzieś się nie

spotkał z Panem Bogiem ani Matką Najświętszą. Ściany gołe a puste.

W ogrodzie jakiś budynek szczelnie zamknięty. drzewami ocieniony... to ich świątynia.

Wojewoda człek leciwy, rozumny i prezenta-cyi pańskiej. uprzejmości i serdeczności niezrównanej.

Pani wojewodzina, matrona poważna i piękna jeszcze. córka jakby z obrazka, jednak na drzwi-śmy się oglądali i nazajutrz zrana mieliśmy ruszać dalej.

Kiedyśmy już siadać mieli do kolas przeprowadzeni pięknymi komplementami wojewody, rozruch się robi między służbą i domownikami, a od bramy wali czterech szlachty z żonami i dziećmi. To panowie Saczko. Raczko, Łyczko i Mleczko. possesyonaci Drohickiej ziemi. chudzięta. którzy fundowali szczęście swoje na tém właśnie, że tak śmiesznie się zwali— inaczej niktby o nich nigdy nie słyszał.

Pochodzili oni jeszcze od Jadźwingów, owych pogan okrutnych, co zamieszkiwali niegdyś Podlasie.

Gospodarowali w Łużkach za Drohiczynem. gdzie każdy z nich miał kawałek gruntu. Kłó-tliwi, zawistni. jeden drugiemu się worywał. Pełno ich było po grodach i sądach co niemało uciechy sprawiało jurystom, bo śmieszni byli nie tylko z podobieństwa nazwisk, ale i z postaci.

Wszyscy czterej niskiego wzrostu, krępej po-

stawy, z czarnemi na łbie włosy i zadartemi nosami. Snać, to skóra pogańska jeszcze na nich siedziała.

Królowi w podróżach swoich do Litwy, będącemu raz w Drohiczynie, pokazano ich przed kościołem.

Zawezwał tedy wszystkich przed siebie.

Przestraszyli się zrazu chodaczki, ale później ośmieleni dobrocią pana, dalej go prosić na kumotra.

Króla to bawiło okrutnie, więc na usilną prośbę pana Raczko, trzymał mu syna, a Mlecze znowu córkę do chrztu.

Potém zapomniał o nich, ale Łyczko i Saczko pamiętali dobrze, bo gryzła ich zazdrość, że i oni tego szczęścia dostąpić nie mogli, bo obaj jeszcze byli kawalerami. Dawajże tedy się żenić... i pożenili się. Panu Łyczko Pan Bóg pobłogosławił, bo mu dał syna, i tego król w zeszłym roku do chrztu trzymał w Wągrowie.

Pozostał biedny Saczko smutny i stroskany okrutnie... aż oto w tym roku i on z synaczką swoim czekał na króla, i gdy się dowiedział, że jedzie a stanął w Ciechanowcu, pospieszył na łeb na szyję, a za nim jego adwersarze.

Śmieszna była kalwakata tej mizeryi. Panowie na lichych szkapach, jejmoście w wózkach w jednym koniu z dziećmi, postrojeni i z fantazyą wielką, poślazili ze szkap i z wózków, zastępując panu drogę.

Król z początku odmawiał, ile ze chcieliśmy z tego Ciechanowca jak najprędzej wyjechać, ale jak nie rykną płaczem panowie Raczek, Mleczek i Łyczko, a za nimi ich żony, a pan Saczek, jak nie zacznie na kolanach włożyć się za królem:

— Panie miłościwy, ojciec nasz ukochany, nie czyni krzywdy temu ostatniemu!— tak pożegnawszy się we dworze wojewody, ruszyliśmy do miasteczka, i tam małego Saczka odprawiliśmy chrzciny.

Trzymał go król z panią Łyczko, a w drugą parę pan Pac z panią Mleczeko.

Darował im król na lat dwadzieścia dochód z ekonomii Łosickiej. Jak oni się tam dzielili, łącznie sobie przedstawić można, gdy powiem, że po kilkanaście spraw z tego powodu co rok było w grodzie, że wreszcie przysłowie o nich urosło.

Czego nam brakło w Ciechanowcu, tośmy sobie rzetelnie powetowali w Supraślu, opactwie ojców bazylianów. Tu wśród lasów i w ciszy klasztornej cały dzień oddaliśmy się nabożeństwu i rozmyślaniu. Bzowski wszystkiemu się bacznie przyglądał, o wszystko pytał i skrzętnie w raportularzu swym notował.

Platemberg od owej konfuzyi węgrowskiej stracił na fantazyi i przemyślał, jakby ugodzić bękartą, bo już tak go nazywał, który do wszystkiego się mieszał i we wszystkiem chciał prymdzierzyć.

Był to Inflantezyk znakomitego rodu, bo przo-

dek ich niegdy wielkie mistrzowstwo dzierzył. Kawaler do rzeczy, ale zapalczywy i ambitny a w sprawności i rzemiośle koniuszego wielce o sobie rozumiejący, tymczasem był ciężki, niezgrabny i dobrej tuszy. Chciwy awansów i łask pańskich, bo fortunki był mierniej.

Król obdarzył go niedawno starostwem czorsztyńskim. Chciał wycisnąć z onego starostwa jak można najwięcej i osadził na niem żyda Herszka z Nowegotargu, przez co stało się w przyszłości okrutne zgorzenie i wielka klęska, bo to był zamek straży granicznej (obyśmy jak najpóźniej do tego doszli).

Bywa zwykle między ludźmi, że kiedy który w czem pokpi, radby ów błąd naprawić i zamazać, i tu dobra i zła natura na jaw wychodzą, bo dobry będzie żałował i stanie się rozważniejszym a skromniejszym, zły zaś więcej wzrośnie jeszcze w dumę i zuchwalstwo, myśląc, że tem powetuje swą porażkę.

Tak i tu się stało.

Pan Platemberg gębę nadał i parę razy przyostro przyciął Bzowskiemu— ten udał, że nie słyży, czem go w większy gniew wprawił, że zawołał:

— Nie kawalerska to, ale hyclowska sprawa podejść zwierzę niespodzianie i jarmarczną sztuką go zażyć, nietrwałe to są one sztuki. Na co Bzowski:

— Panie koniuszy, po jarmarkach nie bywałem, anim hyclowskiego rzemiosła praktykowałem.

— A gdzieżeś bywał wywłoko jakiś? Nie uczyłeś się sztuk cygańskich, nim cię twoja pani matka do Kostków zaprowadziła, gdzieś błazeński urząd sprawiał i w czerwonym chodził spencerku, toć wiedzą ludzie.

Bzowski spąsował cały i przyskoczył doń zapalczywie.

— Słuchaj opasły wieprzu. pokażę ci, zem nie tylko w cygańskich sztukach biegły... ale nie tu pod bokiem króla. Teraz zamilcz! bom ci gotów pięścią wbić twoje słowa do gardła.

Posunął się ku niemu Platemberg, alem wszedł między nich.

— Wara!— rzekłem — pan Platember da parol panu Bzowskiemu, a my służym za świadki. Po przyjeździe do Merecza wybierzem się do Niemojnic albo Oranów i tam po kawalersku sprawa załatwioną będzie.

— Ja z tym? Czeladź moja z nim się sprawi.

— Jak pójdzie na czeladź, to i u nas nie brak pacholków... a teraz po staremu: wara!

— Mitygowali go tam niby Zabicki z Rylskim i Pacem, ale zdaje się, że jątrzyli więcej jeszcze, bo i im był solą w oku ten fortunny syn królewski.

Na noclegu dostała nam się celka razem z Bzowskim, bośmy już tak pobrali się z sobą.

ze jeden bez drugiego nic nie poczynał i ani na godzinę obejść się nie mógł.

Noc była ciepła.

Księżyc świecił nam wprost w oczy.

Otworzyliśmy okno, które wychodziło na ogród.

Zapach kwiecia i owoców napełniał powietrze.

Sen nas się nie imał, bo i jakże tu spać młodym, którzy tyle sobie powiedzieć mają o przebytych przygodach dnia całego, a w takiej zwłaszcza nocy myśli pędem biegną do głowy i serce się otwiera a wszystko, co w wnętrzu, dobywa na usta i czegooby człowiek nie powiedział przy jasnym słońcu dnia białego, to przy onym smętym księżycu wypowie.

Bzowskiemu zwłaszcza rozwiązał się język i dziwne rzeczy mi prawił.

Było w tym chłopięciu coś nadludzkiego prawdziwie. Wszystko, co mówił, dziwną grozą przejmowało człowieka, a przecież zniewalało go kochać po bratersku.

Gdym mu wspomniał o Platembergu, że to przeciwnik nie lada, i trzeba się krzepko trzymać przed nim—że warto pomyśleć i przygotować się na to zawczasu, wzruszył pogardliwie ramionami.

— Cóż ten nędznik zajmować mnie więcej może!... Wbiję mu w brzuch kawałek żelaza albo nosa obetnę i po wszystkiemu. Podobni ludzie są dla mnie jak natrętne muchy. przed którymi gdy zablizko się przysuną, opędzam się packą i tyle o nich, co i o muchach myślę.

— A o czem-że ty myślisz, człowieku?

— O czem ja myślę? o czem?... o mojej przyszłej wielkości—odrzekł, wpatrując się w tarczę miesiąca.—Oh, bo ja wielkim być muszę!

Mówił to tak dziwnym, tak zmienionym głosem, i tyle w tym głosie było męzkości, że się wzdrygnął i krzyżem świętym przeżegnał.

— Bój się Pana Boga, mówisz tak, jakgdyby jakie złe właśnie przez ciebie mówiło.

— To, co wam ludziom małego ducha złem się wydaje, jest właśnie znamieniem ludzkiej potęgi. Wreszcie niech to sobie i złem będzie, ale bez złego niema dobrego tak, jak niema jasnego dnia bez nocy.

Słuchaj Krzysztofie, jestem dziecieniem przypadku, nie mam prawa ani do nazwiska, które noszę, ani do tytułu mojego ojca. Otóż to nazwisko ja sobie stworzyć postanowiłem i stworzę je, a przed tém nazwiskiem drżać będą wszyscy i padać przed niem na twarze. Wątpisz? Zapisz-że sobie ten wieczór w pamięci.

Oh bogdajbym o nim zapomniał na wieki!...

— Pierwsze słowo złowrogie, które mi się obiło o uszy — mówił dalej — sprawiło przewrót w mojem wnętrzu... a to słowo straszne było: bezimiennik.

Powiedział mi je człowiek święty, który nie przeczuwał, że takie zarzewie włożył mi w serce, a przecież wdzięczność moja dla niego będzie trwać do grobu, bo on wzbudził we mnie duszę,

która Bóg wie jak długo byłaby jeszcze spała i zmarniała nareszcie.

Posłuchaj!

Matkę moję rodziła jedna z Zebrzydowskich, która wyszła za Komorowskiego, mojego dziada po kądzieli.

Komorowskich familia szeroko rozlana w Krakowskiem, dumna parentellą z największemi rodami w Rzeczypospolitej. Ztąd też mojej matce wolno było marzyć o Radziwiłłach, Ostrogskich lub Wiśniowieckich.

Dziad mój Mikołaj, pan na Żywcu, człowiek ądz niepoohamowanych warchoł i awanturnik wielki. Po kilkakroć zmieniał wiarę, był lutrem, kalwinem, arianem i znów do katolickiego kościoła powrócił. Zmarnotrawił majątek, potem chwycił się rozbojów i bił na Żywcu pieniądze podłe za co uwięziony został, ale z więzienia uciekł w bernardyńskim habicie.

Tułał się długo po świecie osądzony zaocznie infamią, aż trafił na jurystę, który go przed sądami obronił i wyrok unieważnił.

Tym jurystą był Bzowski, ojciec męża mej matki. Komorowski nagradzając jego zasługi, wydał swą córkę a moję matkę za jego syna.

Bzowski był dzielnym żołnierzem, ulubieńcem naszego króla, poległ mężnie w wojnie moskiewskiej, nie nacieszywszy się długo młodą małżonką.

W dwa lata po jego śmierci przyszedłem na świat.

Aż do sześciu lat chowany byłem w ukryciu u kobiety pewnej w Sandomierzu.

Matka wahała się długo, aby mnie przyznać za swęgo...

Dobrze mi tam było, na niczém nie zbywało. Kobieta była poczciwa. Mąż jej dzwonnikiem u fary.

Dzień cały siedział na wieży i mnie brał z sobą, uczył czytać z książki drukowanej ludzką ręką a i z drugiej księgi, którą Bóg pisał, bo oto z wysokości wieży sandomierskiego kościoła, jak okiem sięgnąć widziałem świat, widziałem ziemię, a na niej grody i miasta, siola, rzeki i lasy.

Wszystko mi tłumaczył i nazywał po imieniu. Znałem już ziemię tak na okół Sandomierza, że nigdziebym nie zbłądził. Wiedziałem, gdzie leżą Jurkowice, wieś mojej matki.

Odwiedzała ona mnie często, spłakała się zawsze przy odjeźdném, zalecała kobiecie staranie i troskliwość i znowu wracała.

Powtarzało się to parę razy na miesiąc, ale w miarę jakem dorastał zaczęła mnie korcić owa piękna pani tak dobra, tak tkliwa dla mnie i postanowiłem uciec za nią od moich dziadów.

Uwiesiłem się tedy z tyłu u kolaski i tak przyjechałem do Jurkovic.

Tu nie od razu dałem się poznać matce, zażyłem sztuki, bom się obawiał, że mnie do Sandomierza odeszle.

Przed wrotami zsunąłem się z poza kolasy

i chyłkiem skoczyłem do rowu, który w około dworzec okręzał wraz z dość wysokim wałem najeżonym gęsto palisadami.

Wdrapałem się na on wał i po przez palisady zacząłem się rozpatrywać w miejscowości.

Obszedłem ją całą.

Dworzec był piękny, modrzewiowy. na przodzie miał dość duży podworzec. na którym była studnia z zórawiem, po bokach dwie oficyny i lamus, dalej gumna. Od tyłu piękny ogródek, w którym ujrzałem mnóstwo kwiecica.

Drzwi z dworca na ogródek były otwarte.

Zatrzymałem się przy onym ogródku i postanowiłem tędy się wcisnąć. Ale nie łatwo to było. W innych miejscach palisady były gdzieś niegdzie uszkodzone, spruchniałe, tam bym wlaź bez przeszkody. ale bałem się służby, która chodziła ustawicznie i psów.

Tu była cisza i dworzec tak blisko.

Przeczuwałem, że matka lubi siadywać tutaj. że pewnie niebawem zejdzie. Jakoż wyszła, siadła na darniowej ławce i pograżyła się całą w smętnéj zadumie.

O czém ona myślała?

Przecucie mi mówiło. że o mnie.

Wpatrywałem się bacznie w tę twarz, będąc od niej o kilka kroków tylko, śledziłem na niej wszystkie odmiany.

Czy to pod wzrokiem moim. czy z innéj jakiej przyczyny dostrzegłem niepokój, jakby trwozę;

westchnienie głębokie wyrwało się z jej piersi, oczy łzami zaszczyły i zsunęła się na kolana, składając ręce do modlitwy.

Wtedy ja widząc ją taką piękną, a tak bolejącą, jak owe Matki Boże, które widziałem w ołtarzach, zadrzałem cały i jakgdyby mi serca więcej przyrosło, zawołałem:

— Matko!

Jakby w nią grom uderzył, zerwała się przestraszona bez upamiętania prawie. potem znów padła na kolana, wznosząc gorące modły.

Zląkłem się okrutnie, bom nie pojmowałem, co się z nią dzieje i łkając przemawiałem jak najciszej tak jednak, aby mnie słyszała:

— To ja mateńko droga. zbliż się do mnie, jam tu sam jeden... nie obawiaj się.

Podeszła przerażona, niepewna, jakby ją sen jakiś trapił dziwny. Powtórzyłem moją prośbę i przez szczelinę wyciągnąłem ku niej rękę. Pochwyciła ją prędko.

— Toś ty dziecko? Kto cię tu przywiódł? kto ci powiedział, że ja jest matką twoją?

— To ja sam. Nie odtrącaj mnie więcej od siebie. Weź mnie! Ja już tam więcej do tych ludzi nie pójdę.

— Tak, to ty moje dziecko. Śnać taka była wola boża, trudnoż się jej opierać więcej. Pójdź pójdź moje dziecko, pójdź przez wrota. Zjawiłeś się właśnie w chwili, gdy z obowiązkiem moim toczyła walkę. Oh, to palec boży!

I znalazłem się nagle w Jurkowickim dworze.

Matka moja, to nie zwyczajna niewiasta, śnać niedarmo krew Zebrzydowskich i Szafranców w jej żyłach płynie.

Wiedziano dobrze w okolicy o jej afekcie do króla i jego częstych odwiedzinach, popuszczano języka, jak to zwykle w takich razach, i to i owo, ale trzymano się w granicach, nie zachodząc tak daleko, aby z onych amorów miało się coś urodzić.

Aż tu na raz, za mem zjawieniem się we dworze, gdy matka w obec sług i domowników przyznała mnie za swego, skandal się zrobił wielki.

Przestano dwór nasz nawiedzać, chodziły paszkwile brzydkie i wiersze, których nie rozumiałem.

Matka wówczas nie uroniła jednej lzy, ale stała się jakąś dziwnie surową i milczącą, wymawiając te tylko słowa zcicha:

— Oto pokuta moja.

W parę tygodni potem zjechał do nas pan Michał Bzowski, stryjeczny brat męża mej matki, Skarbnik wolbromski—hołota—trzymał dzierżawą folwarczek Wielmożna od panien zakonnych na Skale.

Z wielkim rankorem wszedł do komnaty matki i jął wyrzucać jej hańbę, jaką całej rodzinie przyniosła.

— I czyżże ten pomiot!—zawołał, kończąc swą groźną reprimendę.

— Króla!—była odpowiedź matki.

To słowo dziwnie łagodząco podziało na skarbnika. W innym już tonie prowadzono rozmowę.

Uśmiechał się i słodkimi słowy jakby przeproszał za wyrządzone niedawno obelgi, a w końcu powziął decyzją zaopiekować się moim losem i zabrać do swego dworku w Wielmożnej.

Matka zrazu ani słuchać nie chciała.

— Pókim się sromała ludzkiej obmowy, chowałam go zdala od siebie, tęskniąc za nim, oblewając gorzkimi łzami ten nasz rozdział. Dziś, gdy kosztem mego honoru przyznałam go przed całym światem, miałabym się z nim rozstać?... nigdy!

Nie nalegał z początku, ale zaczął coraz częściej nas nawiedzać a dogadywać.

— Chłopiec dorasta. toć nie myślicie go obrócić do gęsi—trzeba mu się uczyć nie tylko z książki. warto żeby przecie i koniem zatoczyć umiał i szabelki a fuzyjki się nie sromał. Dajcie mi go. u mnie szkoła. Wykrzeszę z niego kawalera, aż miło!

Mnie oczy się śmiały na te specyały, Matka zaczęła mięknąć, aż wreszcie i zezwoliła.

Ten człowiek pierwszy nauczył mnie pogardzać.

On z sieroctwa mego ciągnął zyski.

Czego dumna niewiasta przyjąć nigdy od króla nie chciała, on brał pełną garścią.

Dzisiejsza jego fortuna to haracz płacony po dłości hojną ręką królewską.

I myślisz może, że mi to nagrodził staraniem i zyczliwością.

Opłakane lata przebyłem u tego nędznika.

Sprowadził dla mnie bakalarza z Olkusza, od którego w przeciągu paru tygodni dowiedziałem się, że więcej wiem od niego. Lecz Pan Bóg zawsze łaskaw dla takich, jak ja wyrzutków.

Posłuchaj.

Nie potrzebuję ci mówić, że czynna moja natura nie dała mi usiedzieć na miejscu; wszędziem być musiał— wszystko widzieć i wszystko zbadać—takim mnie już Bóg stworzył.

Niewiele się o mnie troszczono i z tegom był bardzo kontent.

Wąłęsałem się po okolicy, parę razy odwiedziłem Kraków, a zawsze sam swobodny, jak ptak i bezpieczny.

Znano mnie już z tego i często darzono pomocą, gdy mnie złe psy opadły, albo głód dokuczył. Kochano mnie pomimo, że byłem i wisusem nie lada, bo oto zaczajony gdzie w rowie albo wiszący na najwyższym wierzchołku drzewa płatałem figle spokojnie idącym chłopkom, baby wiejskie i dziewczęta nie miały odemnie spokoju. Powiem ci też, że chętnie przebywałem z prostym ludem, lubiłem słuchać baśni, których oni w tantrych stronach mają moc niezliczoną a w tych baśniach tyle prawdy miesza się z zmysleniem. Gadają oni dużo o Łokietku i o Kazimierzu Wielkim i kończą zwykle, smutno kiwając głowami:

— Czy też przyjdą panoczku jeszcze tacy królowie kiedy?

Między niemi było mi dobrze.

Nikt mnie tam nie pytał o ród ni nazwisko. Nie tak jak w domu skarbnika, gdzie nie mogli wykrztusić mojego imienia bez przymieszki szyderstwa, co mnie oblewało wstydem niezmiernym.

Wczasie takich to moich wędrówek trafiła mi się dziwna przygoda.

Tuż przy Skale leży Grodzisko, dzika i niedostępna ustron, którą zdaje się utworzyły Cyklopy. waląc głaz na głazie, pełna rozpadlin i jaskiń głębokich.

Ciszy tam nie ma, prócz szumu lasu i szemrzącego Prądnika, albo puszczyk się zerwie czasem i smutnym zakwili głosem lub od pobliskiej Skały zaleci echo ludzkie.

Na wierzchołku tych skał zbudowano przed laty gród potężny, a budował go Henryk Brodaty, księżę szlązki, dziś on w ruinach daje schronienie ptactwu i puszczykom ponurym.

Ustron ta nęciła mnie zawsze, wspinałem się na wierzchołki skał i widziałem, jak nieraz pierzchliwa łania przesunęła się w gęstwinie albo ostrożny lis—bawiłem się z echem, które mnie przedrzeźniało, byłem samotny, jak ptak, brakło mi tylko skrzydeł, aby ulecieć gdzieś w nieznane światy.

Po skałach, po nad urwiskami chodziłem swobodny, jak dzika koza, nie znając niebezpieczeń-

stwa, gdy razu jednego znalazłem się nad przepaścią, której głębia zdawała się nie mieć końca—czarna otchłań, jak piekło, a po drugiej stronie przepiękna łączka okryta kwieciem jakby mnie wabiła do siebie.

Szerokość téj rozpadliny mógł dobry chłop jedynym susem przeskoczyć, ale nie dziesięcioletnie pacholę—a jednak gotowałem się na to i gdy się odsadzam do onego skoku, czuję, jak potężna jakaś prawica chwyta mnie za ramię i osadza na miejscu.

Zgiąłem się, jak trzcina pod tą żelazną ręką i przykląknę na oba kolana.

Wtedy ta sama ręka wzięła mnie, jak piórko i postawiła przed sobą.

Ujrzałem starca potężnej budowy z długą białą brodą, co mu sięgała do pasa. Twarz była surowa, poorana zmarszczkami i bliznami. Wytarta, szara pielgrzymia oponcza, okrywała go całego. za pasem miał różaniec i muszelkę do czerpania wody ze źródła.

— Gdzieś to chciał uciekać mały dyabliku?... do piekieł jeszcze nie pora *inquam*? — Takie było jego przysłówko: *powiadam*, którem zawsze mowę swoją szpikował. — Dawnom cię chciał złapać w moje pazury, ale mi się wymykałeś, jak kot dziki. Gdzieś chciał biedz, odpowiadaj?

Patrzyłem się z przestachem na tę twarz marsową i zaledwiem wybaknął słów parę.

— Gadaj głośno *inquam*, bo ja głuchy!—a w rę-

kach wciąż mnie trzymał, jak w kleszczach. — Czyś się chciał zobaczyć z swoim ojcem Belzebubem?

— Ja nie mam ojca—wrzasnąłem już zniecierpliwiony i szarpnąłem się z jego uścisków.

— Inquam! masz go tam! — i wskazał na niebo—ale cię nie nauczono tam go szukać. Wolisz się oddać temu tam czarnemu, co otwiera swoją paszczę, aby cię pochłonać, ty madianito młody. Inquam! jak się zowiesz?

— Szymon Bzowski.

— Nieprawda, zwiesz się Szymon Bezimienik. Zna cię tu każda skała i drzewo, a ludzie prawią o twoich dyabelskich psotach, inquam. Pójdź, nauczę cię wielu rzeczy, o którychś jeszcze nie słyszał.

Patrzyłem się nań, jak na dziwo.

Pociągał mnie ku sobie ten starzec tajemniczy, szedłem już za nim posłuszny.

Prowadził mnie przez miejsca niedostępne i niewidziane jeszcze, aż zaszliśmy do grotty.

Tu uderzył mnie najprzód wielki krucyfix oświecony płonąca lampą. przy nim leżała dyscyplina, czaszka trupia, dalej stał klęcznik, na nim duża księga, obok niej inkaust, pióra, pergamin. W kącie łoże z suchych liści. Nad łożem wisiał pancerz, miecz i stalowa kolczuga.

Z grotty był widok na Prądnik, do którego się schodziło po schodach wykutych w skałę wła-

snemi rękoma starca. Tam on znajdował zawsze pożywienie, którem go litościwie serca darzyły.

Gdyśmy weszli, starzec kląkł przed krucyfikem i mnie to samo uczynić kazał — odmówił krótką modlitwę, po której zwracając się do mnie, rzekł:

— Nie chcesz się modlić poganinie, inquam więcej jesteś ciekawy świata i jego tajemnic, a gdzież znajdziesz ucieczkę od tych kolców, które cię w życiu czekają. Zbliź się tu inquam, zobaczmy, co z sobą wnosisz.

Otwórz tę księgę. Przeczytaj wiersz, jaki ci w oczy wpadnie.

Była to vulgata, trafiłem w niej na psalm Dawida i odczytałem cały.

Si oblitus fuero tui, Jeruzalem, oblivioni detur dextera mea. Adhaereat lingua mea faucibus meis, si non meminero tui; si non proposuerō Jeruzalem in principio laetitiae meae.

Ps. 136—w. 5.

— Tak zaiste inquam. Coraz więcej nam dziś potrzeba takich mężów, bo psuje się ona Jeruzalem i rodzić zaczyna wyrodków. A wiesz, co znaczą owe słowa. Patrz inquam! — i tu rozwinął swój pargamin, w którym dziwnie pięknym charakterem wyczytałem po polsku:

„Jeżeli cię zapomnę ojczyzno miła i Jeruzalem moje, niech zapomnę prawicę ręki swojej. Niech język mój przyschnie do ust moich, jeśli pomnieć na cię nie będę, a jeśli cię na czele wszystkich pociech moich nie położę.“

— Tu mądrość ludzka wszystka dyktowana objawieniem. Tu kres zaciekań naszych. Nie wartoż poświęcić życie, aby poznać owe prawdy. inquam? Czy ty to rozumiesz chłopcze?

— Jeżeli w tej całej księdze spotkać się można z tak wielkimi słowami, jakieście mi tu wyłożyli, to zaprawdę aby je zgłębić, życie poświęcić im warto.—I powtórzyłem mu raz jeszcze to potężne Dawidowe zaklęcie i dodałem: — Hańba wszystkim zdrajcom i odstępcom! Hańba tym, co prywatę wyżej cenią nad miłość ojczyzny! Hańba im wieczna!

Patrzył na mnie długo, ściągnąwszy brwi. dotrzymałem mu wzrokiem, bo czułem, że zdolen poznać i ocenić, co ona księga boska kryje. Zadużał się głęboko i rzekł po chwili:

— Pięknie uposażona głowa, ale co z niej wyjdzie? Co wyjść może? Potępieniec, jak oni wszyscy. Będzie łaszeniem i pochlebstwem piąć się po skalistych bezdrożach świata. Z pogardy, z urągania, jakie go w życiu czekają, zarazi duszę jadem.

Jeszcze raz spojrział mi bystro w oczy, potem kładąc rękę na ramieniu, rzekł uroczystym głosem:

— Chcesz się uczyć? Chcesz rozwinąć w sobie dary boże? Chcesz sobie zdobyć nazwę między najszlachetniejszymi? Chcesz iść w służby dobra na ziemi? Czy chcesz ty bezmieńcze zdobyć sobie piękną nazwę na świecie i rozpocząć szereg

tych, co życiem czystym potrafili się wznieść po nad herbowe szczyty?

— Oh tak chcę! chcę! — wykrzyknąłem z taką siłą, że sklepienie groty zadrżało, potem rzuciłem się do nóg tego starca, który wydawał mi się Mojżeszem, zastępcą Boga na ziemi, bo jak Bóg czytać umiał w mem sercu.

I cóż ci więcej powiedzieć mogę?

Ten starzec święty wyprostował ścieżkę mego życia. Bóg wie, jakimi manowcami biegłbym po świecie, dziś wiem. dokąd idę i gdzie zajdę.

Święte słowa pisma, którem chłonał w siebie przez te lat parę mego tam pobytu tłumaczone wymownymi słowami starca, weszły do duszy głęboko.

Wszystko, co tam było wielkiego, a cóż tam nie jest wielkiem? rozogniało mnie. Stawałem się kolejno to Dawidem, pragnącym zgnieść Goliatów, to Saulem lub Salomonem mądrym, albo przygodnym Józefem.

Nowy testament zapalił we mnie miłość potężną ku świętym wiary tajnikom i służbie Bożej poświęcić się pragnąłem.

Starzec te porywy duszy łagodził rozwagi chłodem.

— Nie tobie, inquam, myśleć o sukni duchownej, szaleńcze. Tyś do świata stworzony. Idź po nim—ale z miłością a prawdą w duszy.

Chcesz wiedzieć, zkąd się tam wziął ten człowiek?

Nazywał się Alexander Soboniewski, był obożnym hetmana polnego Koniecpolskiego. Odbył dwadzieścia bitew. Z ostatniej wracając do domu, domu nie zastał tylko gruzów kupe, a pod niemi popioły żony i dziecka.

Siadł na spalonej belce i tak zostawał, Bóg wie jak długo, aż zjawił mu się anioł, który go przywiódł do tej groty.

Gdy opowiada starzec tę chwilę, łzy mu płyną z oczu i jakimś cudownym zachwytem twarz jego płonie.

Gdym go zegnał wraz z matką, która na wyraźne żądanie króla odwoziła mnie do starosty malborskiego Kostki, dał mi skaplerz, w który zaszył owe słowa biblij przeczytane pierwszy raz w jego grocie; noszę go na piersi i nosić będę do końca życia, potem pobłogosławił i rzekł:

— Inquam! Prawdą a cnotą przez życie.

Brzask był na niebie, mnichy powstawali na jutrznią a myśmy oka nie zmrużyli.

Nie było już się kłaść po co.

Zbudzone ptactwo wabiło nas do lasu.

Odświeżywszy tedy twarze zdrojową wodą, wybiegliśmy poza klasztorne mury.

Ujrzelśmy w lesie istny obóz ludzi pieszych, pokładzionych pokotem na ziemi.

Było to chłopstwo z dalszych i okolicznych wsi, ekonomii, starostw ze skargami do króla na

zdzierstwo i uciemienienia od swych włodarzy, rządców, dzierzawców, podstarościch.

Zerwała się ta bieda cała na równe nogi, skoro nas zobaczyła i przypadła nam do kolan. prosząc zmiłowania.

Bzowski jakgdyby jeno czekał na okoliczność taką.

Przemówił zaraz gorąco do chłopstwa. napelniając ich dufnością w zmiłowanie królewskie. czém ich ośmielił tak, że wszystko wydobywać z pod serca zaczęli.

Zrobił się gwar, płacz, złorzeczenie nie do opisanania. Salomonowej głowy by trzeba było, aby to ująć w ład jakiś. Każdy był najwięcej pokrzywdzony, każdy najnieszczęśliwszy.

Ustawił w ordynku i kolejno egzaminował. spisując ich krzywdy, czego się zebrała moc wielka, bo jak powiadają na wołowej skórze nie spisać złości ludzkiej.

Nie jeden z nich widząc taką gotowość naszą w słuchaniu i potakiwaniu ich skargom, dołożył tego w dwójnasób, ale choćby nawet i w trójnasób dołożył, to odliczywszy to wszystko, jeszcze zostało tyle, że o pomstę do Boga zawołać można było.

Zabójstwa, więzienia, grabież dobytku, zdzierstwa i robocizny, bezprawia straszliwe i tyrańskie znęcanie się nad biednym ludem.

Słońce się już wzbilo dość wysoko i dzwonek klasztorny na mszę zawołał.

Król wstał, nam wracać trzeba było, a tu jeszcze daleko do końca.

Zrobiło się jednak, co można.

Po wysłuchaniu Mszy świętej, Bzowski opowiedział królowi, z czem przyszli chłopci i podał mu papier, który spisał.

Przejrzał go, popatrzał zdziwiony na Bzowskiego, potem go w głowę pocałował.

— Dobresz mi śniadanie zgotował, synku. Prowadź mnie do tych ludzi.

Stało to już potrwożone w gromadce, czekając ukazania się króla, bośmy im to zalecili.

Nie śmieli przemówić, ani postąpić kroku.

Król z papierem w ręku czytał imię każdego i kazał się zbliżyć do siebie, pytał ich z dobrocią i ośmielał. Wreszcie przesłuchawszy, zawołał:

— Ukarzę winnych i krzywdy wam nagrodzę dzieci. Wracajcie do domów waszych i miejcie ufność w opiece mojej.

Kiedy to nie ryknie wszystko płaczem wielkim, cisnąc się do nóg królewskich.

Nigdy nie zapomnę tej chwili, bo tutaj dopiero poznałem całą wielkość pomazańca pańskiego, tutaj dopiero obaczyłem majestat w całym blasku i w koronie najwspanialszej, najkosztowniejszej, w koronie miłosierdzia i łaski.

Łzy nam się zakręciły w oczach, i nieledwie, że sami chcieliśmy całować ukochaną rękę pańską, co tak zawsze chętnie dźwigała nędznych i maluczkich—a choć zdarzeń takich napatrzyłem

się już dosyć w podróżach królewskich, bo prawie kąta nie było, gdziebyśmy zazaleń i skarg biednych nie odbierali, tu jednak, w téj gromadzie zebranego ludu z najdalszych i bliższych okolic Litwy, w tym lesie cichym, oświeconym poranném słońcem, gdzie echa powtarzały łkania biednych chłopków i serdeczne słowa pańskie, tu nasz król ukochany przypomniał nam swego ongi antecessora, Kazimierza króla chłopków, który także siadał pod wielkim dębem gdzieś w puszczy, i sądził sprawy ludzkie, jak stare kroniki prawią.

Za rozkazaniem pańskim, ugoszczono ich hojnie ze spiżarni klasztornej, a nam dzień cały zeszedł na pisaniu listów do ciwunów, starostów, podwojewodzych, pisarzów i wszelakich urzędników.

Wzywano ich do Merecza pod najsurowszą karą za nieposłuszeństwo.

Reszta podróży płynęła spokojnie.

Ziamba nam spiewał i urządził popasy.

Bzowski jechał ciągle przy boku pańskim, wiedli z sobą długie rozmowy, których nam pochwycić było trudno, ale z twarzy królewskiej widniała dobroć i ukontentowanie, widniała miłość ojcowska, którą zdobywał coraz więcej ten dziwny młodzian, uposażon tylu bożemi dary, a przecież tak nieszczęsny w swém krótkim życiu.

W sam dzień wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny 15 Sierpnia zrana, stanęliśmy w Mereczu.

O niczem tu nie przepomniano, aby nam wspa-
niale zgotować przyjęcie.

Na pół mili już usłyszeliśmy bicie w dzwony
i huk armat.

Mieszczanstwo postrojone z chorągwiami. dalej
pan starosta i cała jego kalwakata wyszli na
spotkanie.

Wywalił on oczy, chrząknął parę razy i chciał
króla witać przemową, ale król zaraz na wstępie
zbył kwaśno całą czeredę, rozkazał przestać
wszelkich wiwatów, machnął ręką i co koń wy-
skoczy pędził nie do dworca starosty, jak to zwy-
czajem było, ale na stary zamek merecki do le-
śniczego, rotmistrza huzarskiego, pułkownika
królewskiego, którym był pan Paweł Niewia-
rowski.

Zamczysko to niegdy przez starych litewskich
książąt zbudowane, już powoli rozsypywało się
w gruzy. jedna tylko jego połowa od południa
była mocna i trwała i tam to obrał sobie siedli-
sko Imć pan Niewiarowski, najślawniejszy myśli-
wy w Koronie i Litwie, wraz z całą czeladzią
swoją, rynsztunkiem, psami, ptactwem i wszela-
kami przybory.

Człek był lat średnich, kawaler jeszcze. a dzi-
wniej urody i postury.

Żołnierz był z niego znamienity, od króla wiel-
ce lubiany, jeździł w poselstwie do Francyi z pa-
nem Krzysztofem Gosiewskim wojewodą smoleń-
skim, w sprawie o uwolnienie królewicza Jana

Kazimierza. gdzie rozkochał w sobie Francuzkę jedną w Paryżu na dworze księcia orleańskiego: udarowała go portretem, z którym rad się popisywał, z czego osobliwsza urosła historia. ale o t^ęm niżej się powie.

Śmiała mu się droga do wysokich dygnitarstw, bo to i głowę miał tęgą. tak jednak w t^ęm myślistwie umiłowany, że za całe zasługi wyprosił sobie tylko u króla owo leśnictwo mereckie.

Później dał się poznać światu w wojnach kozackich.

Miał wieś dużą na Podlasiu. ale rzadko w niej gościł, przebywał ciągle w Mereczu, albo jeździł po świecie, praktykując wszędzie swoje łowieckie rzemiosło, i zwożąc ustawicznie do Merecza, to jakiegoś rzadkiego sokoła albo orła, to psa przedniego gatunku lub broń osobliwszą. aby za przyjazdem królewskim, było się cz^ęm pochwalić; mówił prędko i dużo.

I zaprawdę było co widzieć w Mereckim zamku.

Siedziba jego istna siedziba Nemroda, gdzieś stąpił, toś zobaczył coś osobliwego.

Tu ptactwo różnopióre i różnobarwne. więc orły, sokoły jastrzębie, sokoły rarogi, krogulce, drzemliki, kobuzy, pustułki, pływacze, birkuty, sokoły duńskie, inslandzkie, maltańskie.

Tu znów psy rzadkie szledniki, farbotropy, kundle, pijawki, brytany, ogary, charty, jamniki, wyzły, brustbarty.

Gdyśmy weszli do psiarni, odezwało się to jak-

by na komendę i przedziwny chór sformowało, bo były basy, tenory, alty i dyszkanty, niby cała muzyka łowiecka. a wyuczone to wszystko tak, jak przez kapelmistrza najprzedniejszego.

A co za rynsztunek!

Ile to broni rozmaitej, dziiryty. łuki, oszczepy, kordelasy, tasaki, rohatyny. Strzelby bardebuchy, guldynki, półhaki, damasceny, dzwirówki, kantówki, szturmaki.

Dalęj szły przeróżnego rodzaju osobliwsze si-dła i sieci— stopice łapki na wilki — stępice, łapaczki na zające i lisy, samołówki, nasadki, nawiązki, sypełki, zręby, pastki, potrzaski i kto przeliczy te przeróżne nazwy i wymysły coraz nowsze, nad któremi pan Niewiarowski dnie całe trawił.

Ludzi u niego roilo się, jakby na jakimś wielkim dworze, a wszystko to czeladź myśliwska, a więc sokolnicy, psiarze, strzelcy, białozornicy, bobrownicy a najślawniejsi z nich Iwaszko, Sieklicki, Matyasz, Toporski — uradowane to wielce z przyjazdu pana, bo się teraz rozpoczynała ich służba i harce, a popisy nagradzane hojnie przez króla.

Żyć też tu, nie umierać w tych lasach, z takimi ludźmi.

Oddał się król cały panu Niewiarowskiemu, który go oprowadzał wszędzie i pokazywał osobliwsze rzeczy, wywodząc historie.

Czas schodził nam prędko.

Nagotowano posiłek i napitek, a tymczasem we dworcu starosty, od którego dzielił nas tylko strumień Stangwis zwany, na wzgórk, nad mierzanką istny sądny dzień się odbywał.

Podczas gdy król zajęty był Niewiarowskim myśmy wybiegli przed zamek i patrzyli na starostwo, które o jedną staję tylko widniało nam na oczach.

Bieganina ustawiczna sług, przekleństwa i wrzaski Jójmości. Słyszeliśmy oniemal każde jej słowo. a nawet razy, jakie od czasu do czasu wymierzała.

Orzełek fruwał, jak szalony do zamku i z powrotem. Pytał, czy król będzie jadł obiad, czy wieczerzę, czy Boże uchwaj, nie myśli zanocować w zamku.

Odprawiano go za każdą razą z kwitkiem, za co wzięwszy porządną admonicę od jejmości, znów wracał jak opętany. dopytując się. badając, wachając.

W głowę zachodzono na starostwie, co to się takiego wydarzyło, że król zajechał do zamczyska.

Kto to mógł działać?

Kto usposobił tak nieprzyjaźnie króla?

Kto z nim jedzie?

Zwączano widoczną nielaskę.

Nareszcie już pod wieczór zjawił się pan starosta z Konstantym.

Wydał nam się ten bękart lichym ciurą przy

Bzowskim (który sprawiedliwie synem królewskim mógł być nazwany i był nim od stóp do głowy).

Spasłe, ocieężałe chłopisko, nadęte niby powagą jakąś, z którą mu cale nie było przystojnie.

Patrzyliśmy nań i porównywali w duchu z tamtym, i dziwili, jak to na lichęj glebie najszlachetniejsze ziarno pięknego nie wyda plonu.

Popatrzył na nas z podełba i zamruczał coś pod nosem. Przyrzekliśmy sobie, że ich powitamy szyderstwem.

— Cóż to... tego... niby... Czy tu w tych pustkach zamysłacie? — wybąknął pan Wypyski, nie pozdrowiwszy nas, ani uchylwszy czapki.

— Uleciała od was łaska pańska, panie starosto—rzekł Rylski. — Trudnoż ją teraz już w po-trzask łapać.

— Uleciała... tego... Cóż bo aść prawi?—zrobił przytęm taką markotną minę, żeśmy parsknęli śmiechem.

— Czy tu nocować myślicie?

— Chyba przyjdzie nam i zanocować, bo to jutro do dnia polowanie postanowione. Pan Niewiarowski króla podejmuje wspaniale. Na niczem nam tu nie zbywa, a wyspać się to i pod gołem niebem dziś można.

— Któż jest ten chłystek, co się uwija przy królu--zagadnął Konstanty?

— Nie żaden to chłystek, ale kawaler światowego poloru Jmć pan Bzowski, dworzanin respe-

ktowy Jego kr. mości. Sekretarz i zaufany powiernik, w wielkich łaskach u pana.

— A zkadże on się tu znalazł?

— Przyjechał z królem z Warszawy.

Na to jakby wołany zjawił się Orzełek i szepnął coś Konstantemu do ucha. Ten poczerwieniał cały i jakby go tarantulla ukąsiła, pognął z powrotem do starostwa.

Domysliliśmy się, o co to tam już idzie, i zacierając ręce, czekaliśmy jakiej zabawnej krotochwili. Pan Wypyski przyglądał nam się tylko, oczy wybałuszywszy, nie wiedząc i nie rozumiejąc nic, nareszcie wybąknął:

— Cóż to tego... się tam... tego stało?

— Jejmość może zasłabła z alteracyi—odezwał się Żabicki.

— Jest bo i z czego — dołożył Ryłski — widocznie niełaska na dom wasz spadła, panie starosto.

— Ale tego... zkadżeby znowu!

— Ha! może nowe sitko na kołku.

— Nowe tego... jak to aszmość rozumie... niby...

— Uprzykrzył sobie król jegomość wasz dom, wasze melszpejsy i etcetera i szuka innej rozrywki.

— Niechże Bóg broni. Jadwisia-by tego nie przeżyła... A to dopiero... taki dyshonor dla nas.

Był tak ciężko głupi i śmieszny, że nas litość brała, trzeba mu było łopata kłaść w głowę, aby wytłumaczyć, że jego Jadwisia przestała już być magnesem przyciągającym

I my nie spodziewaliśmy się tak nagłej zmiany w chęciach królewskich. robili różne przypuszczenia, kładliśmy na karb Bzowskiego, dla którego król, znów tak żywe powziął przywiązanie.

Nigdy tego nie bywało; w zamku ani wygód, ani kuchni.

Orzełek przyleciał zadyszany i oświadczył mi, że jejmość starościna, uprzejmie mnie do siebie zaprasza na chwilę rozmowy.

Ze wszystkich dworzan pańskich posiadałem u niej największe łaski, choć nie wiem, czem na nie zasłużyć mogłem.

Mniej popuszczałem języka, jak inni, patrząc na to, co mnie otaczało obojętnie—ot i wszystko.

Czekała na mnie w progu wystrojona, świecąca, pachnąca, uśmiechnięta przyjemnie, uprzejma, słodka i dobrego humoru, jakgdyby nigdy nic — tak tam gdzieś wszystko skryła głęboko.

— Niechże mam to wielkie szczęście powitać waszmość pana. Czekaliśmy was, jak kania deszczu. I z waszmości pana nie dobry człowiek, żeby dopiero na usilne prośby przyjść do nas. Czyż to nie było pierwszym pospieszyć tu, gdzie was zawsze tak mile widzimy!

— Podobało się królowi nawiedzić najprzód pana Niewiarowskiego, gwoli wielkiego polowania, które dziś układają —nie wypadało od pańskiego boku oddalać się, bo nużby zapotrzebował.

— Proszę w komnaty. Czekaliśmy was naj-

przód ze śniadaniem. a tu i obiad przeszedł a was niéma. Snać pan Niewiarowski dobrze karmi króla jegomości.

— Po obozowemu. Znalazło się tam coś wędlin i wina trochę. boć nieprzygotowany na pańskie przyjęcie, jednak ze względu na myśliwskie efekta, jakich ma pod dostatkiem, tak rozciekawiał króla, że i o obiedzie zapomniał.

Nadrabialiśmy miną oboje i kłamali, jak mogli.

Babę paliła ciekawość, żeby mnie wymacać jak najprędzej. Zachodziła zdaleka. pomału. Pytała o drogę, jakąśmy przebywali, gdzie się król zatrzymywał? Musiałem jęj opowiadać wszystko. Wyliczyłem jęj dwór cały, wymieniłem Bzowskiego całkiem obojętnie i ona też przyjęła to zimno. Dopiero po chwili zagabnęła:

— Bzowski? z którychże to?... Znałam Bzowskiego strukczaszym sierakowskim.

— To całkiem inna rodzina, z sandomierskiego.

— Tak młody kawaler, i podobno w tak wielkich łaskach, słyszę.

— Ujął króla talentami i dwornością.

— A gdzież ich nabył tak młodym. chyba wojazował długo, ależ to gołowas, dziecko prawie.

— Był chowanym na dworze Kostki, starosty malborskiego.

— Przykro to musi być waszmość panom, kiedy się widzi być pominiętym w łasce pańskiej bez względu na zasługi dla jakiegoś przybłądy.

— Ha, są ludzie, którym już u kołyski gwiazda

szczęścia przyświeca, a do takich właśnie należy Bzowski.

— Hej, zagadkami mi mówisz panie Scypio, to chyba jaki ksiązę turecki.

— Może i ksiązę.

— No, czy pod przybraném nazwiskiem się ukrywa?

— To ja teraz znów powiem, waszmość pani starościnie, że zemną grasz w zagadki, choć sama wiesz najlepiej.

— Przyniesiono mi tu jakąś plotkę, to téż biorę ją tylko za plotkę.

— To prawda.

— Syn królewski?

— Tak.

— Wiem, że miał syna urodzonego z Dzierzgo-wskiej, ale ten umarł przed pięciu laty.

— Ten jest urodzony z Bzowskiej, wdowy po rotmistrzu chorągwi pancernej.

— I tak go podbić potrafił?

— I czemużby nie, król jest dobrym ojcem dla swych dzieci.

— Nie dla wszystkich, nie dla wszystkich.

I tu jakgdyby dla zadania fałszu słowom tej baby, wpadł Orzełek i zawołał radośnie:

— Król jedzie!

I wjechał pełen fantazyi z dobrotliwym uśmiechem, który jak słońce rozproszył wszystkie chmury, co zawisły nad starościńskim domem.

Z oblicza pańskiego widniała łaska, jak daw-

niej, a t \acute{e} m dro $\acute{z$ sz \acute{a} ona by \acute{a} teraz, gdy mniema-
no, \acute{z} e ju \acute{z} j \acute{a} straci \acute{c} przysz $\acute{ł}$ o.

Patrzyli \acute{s} my zdziwieni zn \acute{o} w tym kaprysem
kr \acute{o} lewskiego humoru.

Powita \acute{l} gospodyni \acute{e} uprzejmie, serdecznie na-
wet, Konstantego przygarna \acute{l} do piersi.

Staro \acute{s} cie, kt \acute{o} ry sta \acute{l} w k \acute{a} cie z g \acute{l} upowatym
u \acute{s} miechem, nie mog \acute{a} c ruszy \acute{c} si \acute{e} z miejsca, poda \acute{l}
r \acute{e} k \acute{e} , z kt \acute{o} r \acute{a} ten nie wiedzia \acute{l} co zrobi \acute{c} , wreszcie
poca \acute{l} owa \acute{l} , przypad \acute{s} zy do n \acute{o} g kr \acute{o} lewskich.

Nie umia \acute{l} si \acute{e} d $\acute{l$ ugo nosi \acute{c} z gniewem kr \acute{o} l nasz.

Wstr \acute{e} tn \acute{a} mu si \acute{e} wyda \acute{l} a z pocz \acute{a} tku ca \acute{l} a ta pa-
rada starosty przy powitaniu.

Uko \acute{l} ysany wspomnieniami lepszych czas \acute{o} w
i ludzi, maj \acute{a} c Bzowskiego przy swoim boku, kt \acute{o} -
ry by \acute{l} \acute{z} ywym jego obrazem, nie tylko z podo-
bie \acute{n} stwa twarzy, ale i z duszy, poczu \acute{l} odraz \acute{e} do
tych kajdan, w kt $\acute{o$ rych go trzymano lat tyle—
w zamku, w my \acute{s} liwskim gnie $\acute{z$ dzie Niewiarow-
skiego przykre wra \acute{z} enie si \acute{e} zatar \acute{l} o i zn \acute{o} w stary
na \acute{l} og wzi \acute{a} ł g \acute{o} r \acute{e} .

Cieszono si \acute{e} t \acute{e} z i ucztowano, jak nigdy.

Trzeba by \acute{l} o widzi \acute{e} ć Jadwi \acute{z} k \acute{e} , jak ura \acute{z} ona ni-
by troc \acute{h} \acute{e} na kr \acute{o} la za ten jego chwilowy kaprys
umia \acute{l} a nada \acute{c} sw \acute{e} j postaci i szczypt \acute{e} dumy i za-
lotno \acute{s} ci trzyman \acute{e} j na wodzy, a przecie dra \acute{z} ni \acute{a} -
c \acute{e} j i wyzywaj \acute{a} c \acute{e} j.

Oczy jej b \acute{l} yszcz \acute{a} ły, jak dyamenty, a usta drga-
ły lubie $\acute{z$ no \acute{s} ci \acute{a} .

Zach \acute{e} ca \acute{l} a do jad \acute{l} a i picia z takim wdzi \acute{e} k \acute{i} em

i gracyą, a tak słodkiemi słowy,— istna Dalila oplątująca Samsona.

Powabną i smakowitą być umiała okrutnie.

Snać to tam rozum w tej kobiecie pracował li nad tém tylko, aby umieć zawrócić głowę—a dziś chciała ją zawrócić koniecznie. Każdy jej ruch, wygięcie ciała. uśmiech, spojrzenie — podniecały żądzę. Jej oczy umiały być i smętne, rzewne, melancholiczne i znów tryskające życiem i uciechą. Głosowi swemu umiała nadać tony tak słodkie i pieszczące, jak syrena.

Niepamiętna, że syn patrzy na nią, jak gdyby go nie było.

I my też zapomnieliśmy o tém, widząc tę istną czarownicę.

Król już dobrze podochocony strzelał trefnemi słowy.

My wszyscy z całego serca wtórowaliśmy panu. jeden tylko Konstanty siedział zasepiony i wpatrzony w Bzowskiego, jak w tęczę. Dziś dowiedział się, że nie on jeden z tych, co z sercem królewskiem związani, że znalazł się drugi syn naturalny, którego król nad niego przeniósł, a ile to ich tam być może więcej po świecie!...

Nachmurzył się też chłopisko i przygryzał wargi.

Bzowski, jako kawaler światowy i obyty, znalazł się już tak w tym domu, jakgdyby zjadł w nim beczkę soli.

Zmiarkował od razu, że jego figura daje tu

duzo do myślenia i wcale nie jest widzianą mile. postanowił przełamać te lody. ale im więcej okazywał się uprzejmym dla starościny. im więcej popisywał dwornością. konceptami, tém większą kopał przepaść między sobą a niemi, bo jak powiada przysłowie:

 Nie wyfukasz na mnie tego,
 Abym cię miał za miłego...

tak i tu, im korzystniejszej talenta jego były w oczy. tém nędzniej przedstawiała się gburowata i gruba persona Konstantego.

Spostrzegł to król, przywołał go, i posadził obok siebie.

— Dlaczegoś taki zasepiony. chłopcze, kiedy wszyscy mają wesołe oblicze? Czyś co zgubił?

— Miłość waszę-m postradał.

— Któż ci to powiedział?

— Bo widzę, że inni szczęśliwsi.

— A ty chciałbyś sam. jeden wszystko posiadać. Miłość, miłością się płaci. Kiedy widzimy. że ten, którego kochamy jest szczęśliw i zadowolony, cieszymy się jego szczęściem i nie okazujemy dlań chmurnego oblicza. Zawieść, to najszpejniejszy z ludzkich grzechów. Dotąd cię tego nie nauczono.

Na to rzekł, za krzesłem królewskim stojący. Zięba:

— On w jezuickiej szkole nie bywał, miłościwy panie.

— Milcz Ziębo, tego w szkole jezuickiej nie nauczą.

— Ha, w tem ci i sęk. ze tego w żadnej nie nauczą szkole, gdy się samo w wnętrzu nie odezwie.

Na kamienną to rolę padały owe słowa. udał tylko, że przestroge przyjął do serca, bo po wyjściu króla nabrał humoru i zaprosił nas wszystkich do kielicha.

Bzowskiemu podał przyjaźnie rękę.

— Niechże wam będzie dobrze i wesoło w naszym dworze—rzekł.

— Mnie wszędzie dobrze—na to Bzowski.

— Snać mało ważycie sobie ludzi tak pospolitych, jak my.

— Ważę każdego o tyle, o ile sam siebie waży.

Nie wiedział, co mu na to odpowiedzieć.

Załagodziliśmy to małe starcie kielichem. wnosząc zdrowie starosty, który pomrukiwał tylko. a lał w siebie, jak w beczkę.

W tym młodym niedźwiadku coś się gotowało, patrzył z podełba na Bzowskiego. a pił na umor, niemożna było nadażyć toastom, które wciąż wznosił.

Bzowski tylko usta maczał w kieliszku, trącając się ustawicznie, nareszcie go odstawił.

— Gardzisz zdrowiem naszym marcypanowy paniczu — wrzasnął Konstanty już dobrze podcięty.

— Nie pijam.

— Kanclerski rozumek w tobie, ale zanim za pieczęć pochwycisz, z nami pić musisz. bo ci za kołnierz wyleję.

— Ciszéj!—zaczęliśmy go mitygować.—Wszakże król niedaleko.

— Jam królewskie dziecko, przyznane przed całym światem. a to wywłoka cygański.

— Zamknijcie panowie gębę temu warchołowi, jeżeli wam miła łaska królewska—rzekł Bzowski.

— Zamknij mu sam—dorzucił Platemberg.

— Mnie mają gębę zamknąć?!... A któżby się ośmielił?

Perswadowałem, jak mogłem i odciągałem na stronę rozjadłego młodzieńca, tamci podśmiewali a nawet podszczuwali go zboku.

Głupi starosta rad był téj awanturze.

Chciałem ich godzić. Chwyciłem Konstantego za rękę, odtrącił mnie z furią. Wybiegłem, aby dać znać jójmości.

Poleciał do niej Orzełek, tłukąc się do alkierza.

Gdym wrócił okropny mnie uderzył widok. Bzowski leżał na ziemi, brocząc we krwi.

Konstanty przytrzymywany przez Żabickiego i Platemberga, pianą miał zaszłe usta i rzucał się, jak tygrys.

Alarm się zrobił w dworcu.

Król nadbiegł na wpół ubrany ze szpadą w ręku, za nim starościna i co żyło we dworcu.

Podjęliśmy Bzowskiego, nie dawał znaku życia.

Ranę miał w głowie głęboką, zadał mu ją Konstanty czekaniem.

— Zaprzęgać do kolasy!—krzyknął król.—Na zamek! Ja z nim! Tego rozbójnika wzięść mi pod wartość. Płaszcz mi podajcie.—Pienił się z gniewu i oburzenia.

Starościna padła mu do nóg, odtrącił ją gniewnie.

— I wyście tu stali wszyscy i patrzyli na to, jak ten nędznik mordował to dziecko! Możecie z nim byli w zмовie.

Staliśmy wylękli, nie śmiejąc słowa przemówić, ci zwłaszcza, których sumienie gryzło.

Przybiegł Kraft, opatrzył ranę, była niebezpieczną.

Bzowski wciąż bez ducha; zalecił, aby go zostawić spokojnie, lecz król nie chciał słuchać o tém.

Zajechała kolasa, złożyliśmy w nią rannego. Król usiadł przy nim i popędził na zamek.

Tak się zakończyły odwiedziny nasze w tym domu osławionym.

KSIĘGA WTÓRA.

Wesele!

Jeszcze przed nowym rokiem zaczęliśmy się gęsto około niego krzątać.

Król rozdawał urzędy dworskie przyszłych dostojników swej małżonki. trzeba tu było lawirować nie lada, a ile ztąd sporów, kwasów, nieukontentowania, ile rankorów pańskich, które się odbić miały w niedalekiej przyszłości, ztąd znów z drugiej strony rozpromienione oblicza szczęśliwych. na których padł promień łaski pańskiej.

Wrzało, jak w kotle.

Warszawski zamek roił się wszelakimi ludźmi, a byli to kupcy, rzemieślnicy, sztukmistrze.

Skrobano, wietrzono. malowano, rzeźbiono. prano, szyto, myto—pokoje, sprzęty. obicia. szaty. Wesele było na ustach wszystkich.

Ciekawość nas paliła ujrzania co prędzej francuzkiej księżniczki, o której urodzie i bogactwie, opowiadano cuda.

Miała ona wieść fraucymer z samych bogiń. Siaki taki roił sobie niestworzone rzeczy.

Dwór nasz od śmierci Austryaczki sposepniał

strasznie, luboć i za niej wesołości nie było wielkiej, bo powagą a skromnością lubiła się otaczać, ale dziś prócz pani Przerębskiej ochmistrzyni małego Zygmunta i paru matron starych przy jej boku dla usługi, niewieściej gładkiej twarzy ani na pokaz.

Nic też dziwnego, że król tu bywał gościem.

Obiecywaliśmy też sobie raj ziemski. Przybywało to wszystko ze dworu najwspanialszego w Europie, wiozło do nas świat nowy — a taki piękny, tak nadobny, że ci, co go widzieli, mawiali nam, że chyba tylko w niebie może być lepiej i ładniej.

Liczono też skrupulatnie dni i godziny, kiedy między nami stanie nowa pani.

Zjechał do Warszawy hetman wielki koronny Koniecpolski, z całym swoim dworem, z całą pompą i przepychem, a był to drugi pan młody po królu, bo jechał na wesele swoje do Rytwian dla poślubienia młodziutkiej wojewodzianki poznańskiej trzeciej z kolei żony.

Zapóźno już trochę zapalił pochodnię hymenu pan hetman.

Starzec szóstego krzyżyka gonił, ale postaci wspaniałej—głowa wygolona pokryta na wierzchu niby czapką, kupą gęstych i nie bardzo jeszcze siwiejących włosów, brody potężnej i wąsa, który do ramion mu sięgał. W mowie był zająkliwy a w czynach prędki, ztąd mawiano o nim: „Pan Stanisław wpierw uderzy, niż wymówi.“

i luboć krew w nim grała jeszcze, a animusz rycerski nie wygasł, ale przy tak młodziutkięj a nadobnej zonie, trzeba było mieć na służbie i inne jeszcze przymioty, które tylko młodość posiada w pełnym rynsztunku.

Nie wróżono też szczęścia temu stadłu.

Zjechał pan kanclerz wielki Ossoliński z synem, świeżo mianowanym krajczym królowej, również dworno a szumnie.

Zjechał prymas Łubieński.

Zjechał podskarbi koronny Daniłowicz.

Podskarbi litewski Tryzna.

Bawił Tiepolo, poseł rzeczypospolitej weneckiej. poseł szwedzki, austriacki, hiszpański, francuzki, nuncyusz de Torres — bawili bracia Magni—zjeżdżali cudzoziemcy—rojno, gwarno.

Zapusty zaczynały się wspaniale.

Dwór się krzątał i bawił, a panowie z królem radzili.

Najbliżsi króla domacali się przecie prawdy i pocichuteńku szeptali:

Wojna!—Wesele!—Wojna!

Gdzie, z kim?

Z Turkiem!

Z Turkiem?

Wszak Turek spokojny.

Tatar po Ochmatowskiej przycichł, że ani go słyszać.

Ukraina płynie mlekiem i miodem. Kozactwo obrócone w chłopcy nie myśli o buntach, trzymają

ich w ryzie księżę Jeremi z Potockim. spokojnie uprawiają zagon.

Po cóż tój wojny? Wojna zaczepna z bisurmaństwem, nie bywałe to nigdy u nas rzeczy. At brednie!

Tak mówił ten i ów. gdy go wieści owe doszły, a jednak myśmy dobrze wiedzieli.

Zamysł królewski z zamkniętych szczelnie komnat zaczął powoli przez szpary. przez dziurki od kluczy wyzierać.

Dworskie uszy pochwyciły go w lot.

Bo też widząc takim króla, nie trudno było odgadnąć, że coś wielkiego wstrząsło nim całym. przeistoczył nam się w oczach.

Zdawało się, że wszystkie inne sprawy odpadły gdzieś w przepaść zapomnienia, a ta jedna w umyśle jego trwałą obrała siedzibę.

„Niech będzie, co chce. to fatum moje, mawiał. Gdzie ono mnie zaniesie nie wiem, ale nie cofnę się, choćbym głową nałożył.“

Przygotowania do zaślubin królowej szły swoim trybem, niby ordynaryjne sprawy. o które troszczył się niewiele, a ta jedna owładła nim, jak zmora.

Około tego czasu, zjawił się na dworze imćpan Krzysztof Arciszewski arianin, przybył do Polski aż z Ameryki. gdzie był generalissimusem wszystkich wojsk brazylijskich. Wojownik wielki. którego sława rozbrzmiewała po świecie szereko.

Monarchowie jeden przez drugiego ubiegali się, aby go zwerbować do swoich usług, ale on o tem słuchać nie chciał, bo tęsknota ciągnęła go do Polski.

„Milszy dach słomiany w ojczyźnie, niżli pyszne pałace wasze,“ mawiał.

Kołatał ustawicznie to do króla, to do sejmu, ofiarując swoje talenta i usługi, ale odprawiano go z niczém, bo niechciano cierpieć heretyka, dopiero teraz gdy w liście do króla przysłał wyznanie swój wiary, gdzie się zrzeka błędów dla miłości ojczyzny, za glejtem królewskim stanął w Warszawie.

Mianował go król generałem artyleryi, oddał mu amunicyą, armatę wszystką. Kazał werbować żołnierza, zaopatrywać arsenały.

Przybywało ciągle do Warszawy ochotnika przeróżnej nacyi — widziałeś Szwedów, Holendrów, Duńczyków, Niemców, Francuzów, Włochów a wszystko pocichutku niby w tajemnicy, pod pozorem przygotowań weselnych.

Skarbiec pański w oblężeniu wielkiem stękał, i ledwie już dyszał, tak że czyściuteńkie dno w nim zobaczono.

Podskarbi rwał sobie włosy z głowy. brakło nieraz na codzienne potrzeby dworu.

Do czwartej i później jeszcze na półzegarzu. czekaliśmy na obiad, a królowi przynoszono potrawy z kancelerskiej kuchni.

Mimo to fantazyja była u wszystkich, bo na

wielkie zanosilo się rzeczy. a wesele czekało nas z nadchodzącemi zapustami.

Tymczasem wśród tych weselnych przygotowań i marsowych zamysłów choróbsko kładzie króla na łożę, a jakby na dobitek przychodzi wieść, że królowa stanęła w Gdańsku i oczekuje na oblubieńca. jak to z góry ułożonem było.

Dziwnych zaprawdę napatrzyłem się rzeczy, i poznałem, jak to silne postanowienie w człowieku takim. jakim był pan nasz, potrafi się oprzeć cierpieniom wszelakim i nie daje zawładnąć niemocy, bo oto choróbsko robiło swoje, a król swoje.

Wśród szarpania onej nieludzkiej pedogry wydobywał straszliwe jęki. rzucał się na łożku tak, że trzaskało pod nim, a my truchleli z alteracyi, a przecież po staremu drzwi się nie zamykały, bo kazał wpuszczać wszystkich interessantów, dyktował listy, wydawał rozkazy, zbierał radę, wysłał posłów po królowę, z królewiczem Karolem.

— Oh poganko utrapiona, jakże ty mnie męczysz. Oh, nie wytrwać mi w tych męczarniach Zabierz swój plaster!... On mnie pali, jak żywy ogień. Zabierz swoje leki! Precz z niemi do czarta!—krzyczał. że się mury trzęsły! Potem zęby zacisnął.—Nie! nie dam się. wyrzekł krótko a odwracając się do przytomnych. mówił niby spokojnie, dygotając jak w febrze.

— Panie Arciszewski, zrobisz mi aspan tak tak. Panie Tymiński, wiele ci przybyło towa-

rzyszy? Niech wołają do mnie marszałka! Wyśłać do Jabłonny po królewicza.

Rozmawiał po włosku z Tiepołem, po francuzku z panem de Bregy.

Chciał przemódz chorobę i bywały chwile, że ustępowała przed obrzymią siłą woli królewskiej, a potem z większą zażartością wracała.

Nareszcie osłabł tak, żeśmy już o życiu zwątpili. aliści było to przesilenie, po którym zdrowie zaczęło powoli wracać.

O Bzowskim nie było wieści. Zostawiliśmy go w zamku Mereckim, pod opieką doktora Podchocimskiego burgrabiego wileńskiego, którego król z Wilna sprowadził.

Choroba była ciężka, bo przyszła maligna, i ta go niszczyła okrutnie.

Król zapołowawszy z niewielkim skutkiem, wracał dość skwaszony, z powrotem dawszy Niewiarowskiemu jakieś tajemne instrukcyje i kazawszy sobie o wszystkim donosić.

Mijały tak dni, tygodnie i miesiące, aż tu w czasie tej rekonwalescencyi króla, zjawiała się imćpani starościna z Konstantym.

Miała ona swoich szpiegów na dworze, którzy jój służyli wiernie, bo i płaciła sownie, i potrafiła promować, gdy się zdarzyła okoliczność, a co dziwniejsza, że miała przyjaciół i gorliwych popleczników między dostojnikami.

Pan Kazanowski był jój wielce życzliwy. pan krajezy Radziejowski Hieronim siedział u niój

w kieszeni, Platemberg, Pac byli jój serdecznymi przyjaciółmi. nawet nasz Ryszelius polski, Ossoliński nie wahał się wciągnąć jój do swych usług.

Nawa królowa zbliżała się do Warszawy; zanim w niój stanie, przyjechała ona zbadać grunt, wyzebrać napowrót łaskę królewską, bo nuż nowa małżonka nim owładnie.

Syn jój leżał na sercu zakasowany tak haniebnie przez tamtego, i dziś odepchnięty przez ojca.

Roila dlań choćby księztwo jakieś albo dygnitarstwo nadworne, a tu miało się skończyć na łaskawym chlebie w Mereczu.

Zamieszkała w domu Strzesza na Ś-to Jańskiej ulicy, ugaszczając każdego, co próg jój przestąpił i hojnie obdarzając podarkami.

Cisnęła się ciżba dworskich, wynosząc pod niebiosą jój cnoty i przymioty, a Konstantego ledwie ze nie na rękach nosili.

Wszystko im się w nim podobało.

Mrukliwość i małomówność, nazywano skromnością. Grube obyczaje, prostotą i otwartością. Wszystko, co zrobił godne było admiracyi. Gdzieś się obrócił, toś słyszał o pani starościnie i jój nie-szczęśliwym synu kawalerze przymiotów wielkich, którego król niepomny serdecznych krwi związków tak pokrzywdził niegodnie.

Bzowskiego odsądzono od czci i wiary.

Pewnego dnia, gdym się najmniej tego spodziewał, król rzecze do mnie:

— A tyż nic nie powiesz w obronie Konstan-

tego? Tyle mi tu nakładzono w uszy, prosząc za nim o łaskę, zem się już zrezygnował przyjąć go na dwór. Jak myślisz, zrobi się tu co z niego?

— Jak W. Kr. Mość zechce, to się i zrobi.

— Chłopiec jest dziki, nieokrzesany i ztąd ta jego gwałtowność, niehamowana rozwagą. Idźże mu zanieś moje przebaczenie i przywołaj go do mnie.

Jak z jednej strony pochlebiało mi to zaufanie królewskie, tak znowu ze wstrętem, przyszło mi spełnić to poselstwo. Król musiał to dostrzedz, bo od drzwi kazał mi się zawrócić.

— Słuchaj-no Krzysztofie, wiem, żeś przyjacielem tamtego, a i on kocha cię, jak brata. Bądź o niego spokojny, to młodzian, którego ja do wielkich spraw sposobię.

— Zasługuje on ze wszech miar na to.. Dziękuję W. Kr. Mości, za ten dowód łaski dla niego— rzekłem, całując dłoń pańską.

— Pewnieś ciekawy, co się z nim dzieje?

— O miłościwy Panie, niema godziny, abym nie tęsknił za nim.

— Jest zdrow i bezpieczny — wkrótce o nim dowiesz się więcej. A teraz proszę cię, abys rozwagą swoją i statkiem, miał pieczę nad Konstantym — zanim mu sustentacją i jakie dworskie zajęcie obmyślę; pragnę, abys go polerował—będę ci wdzięcznym za to.

Gdym się skłonił, król dołożył jeszcze.

— Jak pszczoła miodu szuka, tak człowiek dobry łąnie do dobrego i dobro w około siebie stwarza. Spraw, aby miłość braterska, związała ich kiedyś z sobą. Zgotujesz mi tём radość i wypełnisz szlachetny uczynek.

Pocałował mnie w głowę i kazał zawołać Konstantego.

Ta łaska królewska zaciężyła mi ołowiem; jakiegoż to rozumu potrzeba, aby połączyć dwa tak sprzeczne elementa — ogień z wodą, bystrość umysłu z głupotą, szlachetność z bydlęcnością. Rycerskość z gminnością.

— Złe mnie wybrał król—myślałem sobie przez drogę, idąc do mieszkania pani starościny.

Ha! dziej się wola Boża! będę robił, na co mnie stać.

Ledwiem się przecisnął przez ciżbę gości. Pani starościna zpoważniała nad podziw.

W ciemnych szatach, niby oddana dewocyi pokutnica. Na piersiach błyszczał jój krzyż, na złotym łańcuchu. Na głowie czepiec stateczny— a wszystko przecie ładnie i składnie— a z wdziękiem i sztuką, jak to zawsze umiała.

Gdym wszedł, bawiła kompanią i o dziwo! młody niedźwiadek, krzątał się przy niej dość szykownie, honorował gości, prowadził rozmowę wcale składnie, kłaniał się na wszystkie strony.

Przyjęła do niego metra Francuza, co był bieretarem u starego króla.

Powitał mnie uprzejmie i zgrabnie, a gdym

oświadczył, z czem przybywam, radość ich nie miała granic.

Ha! nauka nie poszła w las, pomyślałem sobie i już dobrodusznie zacząłem snuć najprzyjemniejsze plany.

— Wykołataliście krztę litości u króla, dla biednego dziecka—rzekła ze łzami—Bóg wam to odpłaci. Moja to, moja ciężka wina, zem go wychować nie umiała, to też dziś oddałam mu się całą duszą. Nie śmiem ja marzyć o tém, aby kiedyś dorównał tamtemu, aleć przy bożej pomocy i łasce was zyczliwych, biedne moje chłopię, nie przyniesie mi wstydu. Kostuś, poczcij pana Scypiona i prosz, aby ci był mistrzem w dworskiej kondycyi.

Kostuś poskoczył ku mnie i mało nie udusił w swoich łapach, a ślinił na wszystkie strony. Wydało mi się to tak, jak gdyby na komendę wszystko robionem było, bo szczerości i affektu tam nie widziałem.

— Kiedyż mnie zaprowadzicie do króla? — zapytał.

— Choćby zaraz, — odrzekłem — król dla was dobrej myśli, nie trzeba tracić czasu.

— On był zawsze dla mnie takim, dopóki ten Bzowski się nie nawinął.

— Kostuś pamiętaj, com ci mówiła. Kochać go i czcic należy.

— Pamiętam matuchno—rzekł, całując ją w rę-

kę, niby delikwent jaki, przybierając minę potulną.

Wzięła go z sobą na stronę, dając rady, jak się ma zachować przy królu. Uściskała rozrzewnioną, zegnając jakby w daleką drogę.

Wprowadziłem go, do królewskiej komnaty.

Król zajęty był przy stole czytaniem papierów, tak, że nie posłyszał naszego wejścia, a ten odrazu jak nie buchnie mu do nóg!. Zerwał się przestraszony, rozumiejąc, że wpadł niedźwiedź z dziecina, którego tam uwiązanego trzymano i parę razy się urywał, biegając samopas po zamku.

— Kto tu? wstań chłop cze!

Powstał, uderzywszy łbem o stół tak, że o mało go nie przewrócił.

— No, no zawiniłeś i odpokutowałeś, staraj-że się na miłość naszą zasłużyć. Słuchaj rad pana Scypiona—a zwracając się do mnie, dodał: zaprowadzisz go do marszałka, już on zna moją wolę.

Tamtego podziwiał, cenił wysoko, ale tego kochał. Cóż było na to radzić?

Drugiego Marca przyjechała królowa do Fałęt.

Król jeszcze chodzić nie mógł, czekano w Fałętach, czy mu się nie polepszy, aby mógł wyjechać z całym dworem, naprzeciw małżonki a tymczasem prymas Łubieński odwiedził ją z małym Zygmuntem.

Do dziesiątego przebywała pani nasza w Fałę-

tach, a gdy pedogra wciąż nie puszczała króla ze stolka, kazał się w nim zawieźć do kościoła a królowa odbyła swój uroczysty wjazd do Warszawy, po zamarzniętej jeszcze Wiśle.

Co Polska miała najprzedniejszego wprowadziło ją do stolicy.

Niepamiętano takiego przepychu i pompy monarchszėj.

Urosła plotka, jakoby król przy powitaniu małżonki swėj w kościele, kiedy mu wedle ceremonijału do nóg padła, miał się odezwać do posła francuzkiego: „To więc ta piękność, o której tyle opowiadaliście mi cudów“ — na co królowa miała się tak zalterować, że omal nie zemdląła.

Potwarz to jest niegodna, a wiedziałem zkąd wyszła.

Prędzėj ona się przestraszyła króla, który był schorowanym i zmienionym już wówczas bardzo a królowa młodą i wcale piękną niewiastą. Nie tak-wprawdzie, jak ją opisywano i malowano, ale i tu de gustibus...

Inna to rzecz stanęła im w drodze i skwasiała to małżeńskie, acz krótkie pożycie: oto złośliwe języki poszepnęły królowi o jēj miłostkach z Cinq-Marsem.

Zaczęły się tedy uczyty weselne.

Kucharz naczelny Wołyński, człek biegły w swój sztuce, wprawiał w podziw Francuzów.

Na jednym bankiecie, postawił dwie piramidy cukrowe, dziesięć stóp wysokości mające, złożone

i malowane w różne kolory, z figurami allegorycznymi i napisami.

Pani Guebriaut ochmistrzyni królowej, nie mogła im się dosyć nadziwić.

Król nie chcąc, aby obydwie podług zwyczaju poszły na łup paziów, kazał mi posłać jedną z nich tej właśnie pani de Guebriaut.

Niosło ją dwunastu pachołków i gdy ją ustawiam w pokojach ochmistrzyni, wchodzi jakaś Francuzka chora trochę i stękająca, ale młoda dość jeszcze i urody niepospolitej. Przyglądam się jej bacznie i poznaję ową ukochaną damę Niewiarowskiego, com się jej tyle razy na portrecie przyglądał.

Myślę sobie: ta nie ta—ale ta wykapana!

Mówię o tém królowi.

Pyta — bada delikatnie przez pannę de Guebriaut — ta sama.

Nazywała się de Motteville, od dwóch lat owdowiała, w drodze dostała febrę biedaczka i niepokazywała się przy stole.

Król powesalał okrutnie, bo swatać lubił, dalej tedy wysłał posłów do Merezca, co koń wyskoczy z rozkazem, aby natychmiast Niewiarowskiego przywieźli.

Przyjechał zdziwiony, tak nagłą dyspozycją pańską—dopieroż król do niego:

— Żonę ci przywieziono.

— Wolne zarty W. Kr. Mości.

— Kochasz tę, do której modlisz się ustawicznie i zanudzasz nią wszystkich?

— Kocham i kochać będę ją zawsze.

— Ożenisz się z nią, jeżeli ci dochowała afektu?

— Choćby dziś.

— Chodź-że, będę ci swatem.

Cały dwór i fraucymer, nastrojony już przez króla, czekał téj komedyi.

Pani ozdrowiała i wyładniała, przygotowała się na przyjęcie dawnego adonisa, a ten jak zaczął się jęj przyglądać, jak zaczął obliczać, ile to tam z nięj od tego czasu ubyło, boć to dziesięć lat z okładem, jak się poznali, jak zaczął kunktować, tak się i rozchwiało wszystko z wielkim całego dworu frasunkiem, bośmy szczerze tego pragnęli, a król wyposażyć sucie obiecywał... i tak Francuzka z panną de Guebriaut wróciła do Paryża.

Powtarzał potém z przechwałką:

— Król musiał wziąć to, co mu przywieźli, ale wolnemu szlachcicowi, nie tak łatwo narzucić byle podwikę.

Była to przymówka ex re tego, że i król przed dziesięciu laty miał się zenić z Maryą Ludwiką.

Poznaliśmy, że to chymeryk i fantasta.

Fraucymer naszęj pani był nadobności i wdzięków pełen.

Młodziutka, śliczna Marya Kazimiera d'Arquien szesnastu lat jeszcze nie miała, powabna Eugenija

Lascaris, de Lusse, Langeron, Gordon, Caillet, Mariniere, Choisy i tyle jeszcze innych, których dziś nazwisk nie pomnę.

Nie było gdzie oczu podziąć przed niemi, bo wszystko to śmiałe, szykowne, wdzięczne, słodkie, miłe—a ciekawe, a gadatliwe!...

Królowa za to pani rozumna i energiczna—to nie Austryaczka, co miłowała tylko, ta rządzić chciała.

Ochłódł król zrazu strasznie, bo nie lubił dzielić z nikim swój władzy, ale gdy się przekonał, że przybywa mu jeszcze jeden pomocnik w jego planach, bo królowa całą duszą oddała się wojnie tureckiej, i cały posag ofiarowała do dyspozycji, tak zgoda i harmonija zakwitły w najlepsze.

Nie było tam kochania, ale szanowano się wzajemnie i słuchano a radzono.

Jadwiżka wróciła do łask, i dawnych karesów, nieprzeszkadzona przez nikogo, bo królowa, patrząc umiała na wszystko przez szpary, a gwoli swój polityki wszystko do swego wozu zaprzęgać.

Nosiła się dumnie, i niby mały dwór stworzyła, u siebie.

Zabiegano do niej, z prośbami i podarkami, po staremu, jak w Mereczu, tylko że tu było większe po temu pole.

Spotkać u niej mogłeś ludzi różnych stanów, nawet jezuitów, bo ojciec Tyrawski, sławny z tego, że szczury umiał wyprowadzać, gościł u niej codziennie.

Knuto intrygi, układano kabały.

Konstanty krzesał się na gładkiego dworzannina.

Chytrym umysłem. pojął od razu, na czem tu ona dworność wygrywa: na łaszeniu się i pochlebstwie—to też w krótkim czasie, przeszedł wszystkich — jak w Mereczu był butny i zuchwały, tak tu znów, pełen pokory i unizenia. Nieledwie, że pył czupryną zmiatał, a po rękach całował byle kogo.

Wzgardę i oburzenie, budziło w nas, to chłopiśko — nie można mu było ze łba wybić, że grzechność graniczyć zawsze powinna z godnością. Uśmiechał się tylko chytrze, bo miał swój własny kodeks, którym trafiał niechybnie do celu. bo i komuż z tych, co górami głowę noszą, nie podoba się uległość i pokora taka. Był też w łaskach u możnych, a marszałek polubił go nie zartem.

Uczty weselne dalej trwały.

Król zbierał wojsko, coraz już głośniej i jaśniej, gdy spadł pierwszy grom, i pokrzyżował mu zamysły.

Umarł stary hetman Koniecpolski, przy młodej żonie, w Brodach.

Nie całe dwa miesiące nią się cieszył.*

Prawa ręka, przyjaciel jedyny i doradca, a tureckiej wojny inicjator.

Po królu Władysławie, był to prawdziwy opiekun i dobrodziej kozactwa, które go się bało,

i szanowało wielce, a do wojny z Turkiem garnęło się z całej duszy.

Uczuł król boleśnie tę stratę, bo hetman zaraz po miodowych miesiącach, miał ruszyć na Ukrainę—aż tu one miodowe miesiące, cykutą mu się stały.

Obawiano się buntu.

Pod srogim uciskiem, hetmana polnego Potockiego i księcia Jeremijusza Wiśniowieckiego, łącno można się go było spodziewać, czémprędzej więc wysłał król pana Radziejowskiego Hieromina na Ukrainę, dając mu instrukcyą, aby z poselstwem kozackim wracał.

Fama o wojnie rozchodziła się szybko, słuchano, niedowierzano — tymczasem do Warszawy szły wciąż zaciągi.

Ujazdów cały pokryty namiotami, roił się żołdactwem przeróżnej barwy i nacyi.

Wenecyanin Tiepolo czynny, ruchliwy biegał, jak fryga.

Pan Jan Denhoff utworzył dom przy krakowskiej bramie, gdzie werbował żołnierzy a przybywało tego dość gęsto. jakby z pod ziemi wylazili.

Nie słyszałeś po Warszawie, jedno szczęk oręża a przekleństwa i butę żołnierską.

Między ormiańskimi kupcami, ujęto szpiega tureckiego, jak o tém, co się dzieje donosił sułtanowi. Powieszono go też zaraz nad Wisłą, ale nie na wiele się to przydało — innych-by wieszać

trzeba było, mianowicie niektórych senatorów naszych, którzy prowadzili korespondencyą z Dywanem i o zamysłach królewskich znać dawali

Zjawił się temi czasy, niejaki Sebastyan Aders, mazur ożeniony z Hollenderką — ten pod przebraniem kupieckim i niby szukając swego brata w niewoli tureckiej, objechał całe państwo padyszacha i przywiózł królowi mappy, plany fortec, wiadomości wszelkie o sile zbrojnej tureckiej.

Niem mało też bodźca dodał królewskim zamysłom i wszystkim przyjaciołom wojny, rodowód królowej Maryi Ludwiki Gonzagi, sporządzony przedziwnie przez brudną eminencyą, co w gwiazdy patrzała, w którym to rodowodzie jasno było, że wywodziła ród swój od owych sławnych Paleologów, cesarzów bizantyjskich i jest jedyną ich dziedziczką do praw i korony, które to prawa przelewa na swego rycerskiego małżonka, aby ich orężem dochodził.

Wśród tej ciżby i krętaniny, nadepnałem na pana starostę Mereckiego.

— Czołem.

— Czołem waszmość panu. Czy z zaciągiem jakim do Warszawy, na Turka?

— Żartuj zdrów mój dobrodzieju... ja na Turka... tego... Przyjechałem się dowiedzieć, co tu słychać z jójmością moją. Nudno siedzieć tego... samemu w Mereczu. Niechby mi tu wyrobiła jakie dygnitarstwo nadworne.

Popatrzyłem nań zdziwiony. Czy kpi, czy drogi pyta!

— A o jakież dygnitarstwo tentowałby pan starosta?

— Podskarbi słyszę chory... tego...

— Eh podskarbi wyzdrowieje... i to nie dla was urząd — dużo roboty, a odpowiedzialność wielka. Ot łożniczym pańskim by wam zostać.

— A niechby tego i łożniczym.

Niepodobna było kpić z tego człowieka, bo wszystko brał za dobrą monetę.

Zdobił jakiś czas dom swój jejmości, ale jak widział, że go nikt nie ma za burą sukę, a w Merezcu mu się kłaniają żydzi i chłopci, dał za wygranę dygnitarstwu i zdjawszy pychę z serca, wrócił na swoje starostwo.

Między rycerstwem i żołdactwem, co zalegało ustawicznie dziedziniec zamkowy i przedpokoje królewskie, poznałem dwóch ludzi, których do końca życia nie zapomnę.

Jeden z nich, pan Strzemeski Krzysztof, człowiek poważny i milczący — wrócił niedawno z Turerek, z kąd kosztem całej fortunki swojej, wykupił z niewoli trupa matki i pochował w parafialnym kościółku.

Charakteru niezłomnego mąż.

On to, co potem w wojnach kozackich, gdy się dostał do niewoli u Krzywonosy, i gdy mu na urą-

ganie ręce obcięto, a dla większej męczarni, zostawiono je tylko, wiszące na kawałkach skóry—temi knykutami bił jeszcze nieprzyjaciół, czém podziw i grozę budził nawet w takich zwierzętach.

Gdy powiedział, że jutro pójdzie do piekła, mogłeś być pewnym, że poszedł i stoczył walkę z Lucyperem.

Mało mówił, ale co powiedział, było takie, że na kamieniu ryć mogłeś. Niedużego wzrostu, już szpakowaty, krótko ostrzyżony, z sumiastym wąsem.

Drugi pan Jan Tymiński, facecyonista, żartowniś.

Gęba mu ciągle chodziła, dykteryjki sypał, jak z rękawa, rębacz sławny. Gdy nie mówił, to pogwizdywał. Ulubieniec nieboszczyka hetmana Koniecpolskiego, ba i całego wojska,

W razach huczków, związków, konfederacyj, w razach głodu, niepowodzeń wszelakich, wszystko zażegnywał śmiechem.

Mogłeś go zamknąć o głodzie a pewnie humoru by nie stracił.

Gadał sam z sobą, gadał do kamieni.

Średniego wzrostu, dobrój tuszy z głową wygoloną.

I ktoby powiedział, że tych dwóch ludzi było przyjaciółmi od serca.

Obaj razem wstąpili do jednej chorągwi, zawsze nierozdzielni, zawsze z sobą.

Razem odbyli niewolą moskiewską, królowi oddani duszą i ciałem. Obaj żołnierze sprawni, wyćwiczeni w potrzebach wszelakich—wypróbowanych serc—jeden za drugiego w ogieńby skoczył.

Oni kompletowali chorągwie, ćwiczyli żołnierza, werbowali, szczególnie pan Tymiński miał namowy dar niepospolity.

— Szlachta się roztyła — mawiał—te kilkanaście lat pokoju, to plaga gorsza powietrza, głodu i wojny. Serca wam słoniną obrosły, ani się do nich domacać. Siedzieć doma, brzuszek pieścić, pieniążki w pończoszkę zbierać, tfu! Szable porzuciły, a brat szlachcic z rydlem i łopatą grzebie gdzieś w ogródku, piwko warzy, rzepkę skrobie, świnię karmi. Ojcowski pancierz muchy popstrzyły, gdzieś na poddaszu wala się razem z kulbaką. Wejdiesz do izby, a on pod pierzyną się wylega do południa. Jejmość mu grzaneczki przyrządza do łóżka i tak bez pacierza, nieumyty przeżuwa jak świnia w barłogu. Prawisz mu o wojnie, jakby o żelaznym wilku. Wojna. pyta. Kto, z kim? Pan Krakowski z panem Sieniawskim? Najechali—gdzie—kogo? On tylko takie wojny widział — a o tamtych prawi jak o potopie. Bywało to tam kiedyś, powiada, nieboszczyk rodzic, panie świeć nad jego duszą, dokażywał pod Smoleńskiem, pod Chocimem, za dawnych czasów, ale dziś co nam po tem. Siedzieć, a pana Boga chwalić, panom służyć, do fortunki

kołatać. Nasza miła Polska pokojem stoi. Niech tam sobie Niemcy, Francuzi się tłuką. Ha wyrodki! Będzie król miał ciężki orzech do zgryzienia. Piecuchy! Gębą szermować na sejmie za miłym spokojem będą. Racye stawiać takie, że srom uszom rycerskim, zające i lisy lwu przyganiać będą spętanemu. Tylko patrzeć, jak tu posuną ku Warszawie malkontenci. Najprzód grubsza zwierzyna wyruszy. Panowie senatorowie, statyści, co każdy na swoją rękę wycisnąć by chcieli z téj Polski jelita bodaj i w pakować w swój brzuch nienasycony, a dać dla niej pruszczyzny ze swego stołu nie chcą. Pełni rankoru do króla, że ich tłuste kęski minęły... Ci będą race puszczczać, a frakcye tworzyć, a panów bratów głaskać pod brodę.. a pieczenią im pod nos stawiać, aż i wygardlują jakie obrzydliwości — ale trafiła kosa na kamień...

I byłby tak gadał bez końca, gdyby pan Strzemeski nie przyłożył na to, jak zawsze, pieczęci.

— Nie łów ryb przed niewodem. Nie wyprzedzaj tego, co się stać niemoże. A toż by nam już z kamieniem do dna. Póki Władysława na tronie, nie rozpaczajmy o skutku dobrej sprawy. Prawda, że naród zleniwiiał i w dobrach ziemskich się zagrzebał, ale i duch rycerski nie wygasł ze szczeniem. Nie wygasła też cnota a roztropność u panów senatorów naszych, co dzieło boże dźwignąć pomogą. Od Krakowa do Stambułu, bieleje droga kośćmi naszych ojców usiana, przesiąkła

krwią męczeńską — ta droga to szlak, tą drogą Polska pójdzie i zgniecie odwiecznego wroga chrześcijaństwa a pójść musi, bo inaczej jęj biada! Oto na kresach naszych stoi dobór rycerskiej drużyny, zastęp bohaterów stoi stworzon do walki z pohańcem, i czeka skinienia pomazańca bożego, aby ją zaprowadził na pole chwały, a poprowadzić ją musi, bo inaczej jak mawiał nieboszczyk hetman, cała ta siła zerwie się i w pierś własnej matki ugodzi. Ci co o pokoju prawią, to małoduszni i głupcy. Nie nam pokój — nam bojowanie wieczne. My na rozdrożu, jak te herkulesowe słupy, stać będziemy i odpierać nawalę sił nieczystych, co w serce krzyża wdrzeć by się pragnęły — bo gdy upadniem, ona przejdzie po głowach naszych i wtenczas będzie koniec chrześcijańskiemu światu. Cześć więc i chwała wiekuista królowi, co chce pójść i w samo serce złego zanieść zniszczenie i zagładę. Wyrodny syn ten, co niepójdzie tam, gdzie matka ojczyzna zlamentem i ratunkiem go woła.

I tak zawsze jeden z nich, niby Satyr szczerzący zęby, nicował wszystko i przedrwiwał, drugi jak kaznodzieja z ambony grzmiał i nawoływał do poprawy.

Wśród takich to pogadanek, gdyśmy cali wsluchani, o bożym zapomnieli świecie, stanął jednego dnia między nami Bzowski i jakby kończył rozpoczętą przez pana Strzemeskiego filipikę zawołał:

— Tak! zatknijemy krzyż zbawienia na Mahometa minaretach. Polska spełni missyą, jaka jój w wyrokach Opatrzności zapisana.

Bzowski! jakież było zdziwienie nasze.

Co za przeobrażenie?

Co się z nim stało?

Zostawiliśmy go dzieckiem prawie, wyrostkiem jeszcze, a wracał mężem.

Na bladej twarzy, która mu się teraz przedłużyła nieco, wysypał się czarny wąsik, oczy gorzały blaskiem jak pochodnie, wyrósł, zmężniał, zdawało nam się, że go o dwa razy przybyło.

— Witaj przyjacielu mój—zawołał biorąc mnie w ramiona.

— Zkąd wracasz, gdzieś bywał?

— Pójdź! długie to sprawy. Wracam z kresów—przybyłem z kozackimi posły.

I nim mu się przypatrzeć, nim się opamiętać zdołałem—pochwycił mnie za rękę i poprowadził do swój izby, zawarłszy drzwi za sobą.

— No! wielkie sprawy dzieć się będą na świecie. Przygotuj uszy, abyś nie stracił i słówka z tego co ci powiem. Zanim zima białym swym płaszczem pokryje ziemię, będziemy z królem naszym w Stambule. Czy słyszysz: w Stambule! U nóg naszych islam podeptany w pyle. Polska najpotężniejszą z królestw świata!

— Daj Panie Boże! Ale mów mi gdzieś bywał Coś robił? Co się z tobą stało? Innym człowiekiem jesteś.

— Oh tak, innym. Bo też co ja przeżyłem przez te kilka miesięcy—gdzie byłem, czego nie widziałem. Oh gdybym żył wieki. już taki drugi obraz oczom mym się nie zjawi.

Chodził po izbie jak opętany. Tarł czoło, przystawał i patrzył gdzieś w dal, jakby goniąc myślą to wszystko co widział niegdyś.

— A wy tu coście robili? Francuzicę sprowadzili z całym serajem? ucztowali?

— Dowiesz się wszystkiego, potrochu teraz mów mi o sobie.

— O sobie mamci mówić? Jak związać to wszystko co mi duszę przepełnia w ład jakiś?

Ha, będę próbował. Siadaj! słuchaj!

Znów chodził po izbie wielkimi krokami.

— Zaraz po waszym odjeździe z Merecza przedko przyszedłem do zdrowia...

Cudowny doktor Podhocimski... a było ze mną krucho... rana była niebezpieczna... przyszła maligna...

Nic nie wiedziałem, co ze mną było, trapił mnie tylko sen jakiś dziwny i straszny.

Gdym przyszedł do siebie, zapragnąłem widzieć gwałtem matkę moją.

Jak ją sprowadzić było?

Wysłano do niej listy, donosząc o chorobie a tymczasem pocieszano, że niebawem stanie.

Czekałem i myślałem.

Co przez ten czas, biedna moja głowa nie napłodziła?

Jak tylko wstałem z łoża, powłóczęc jeszcze nogi za sobą zapragnąłem jechać do niej... wstrzymywano, proszono, perswadowano, nic to nie pomogło. Pogroziłem, że jeżeli mnie nie puszcza, rzucę się z baszty albo głowę o mur rozbiję.

Wtedy Niewiarowski oświadczył mi wolę królewską.

Miałem niebawem po wyzdrowieniu, jechać na kozaczyznę i zawieść starszyźnie listy, a zarazem bacznem okiem przyjrzeć się wszystkiemu, aby za przyjazdem zdać królowi relacyą.

Błaha mi się wydało to poselstwo całe, w obec pragnienia mego i oświadczyłem wręcz Niewiarowskiemu, że wolę królewską spełnię, ale wprzód muszę widzieć matkę moją. Jakby przecuciem tknięty, że ona pomocy mojej potrzebować musi. Trudno mi się było opierać — stałem niewzruszony, musiano przystać na wszystko. Zalecono tylko pośpiech i ostrożność, bo listy były tajne i wielkiej wagi.

Dano mi czeladź piętnastu ludzi i dwóch starych żołnierzy Chrzanowskiego i Kieżgajłę, za przewodników.

Pędziliśmy dzień i noc bez wytchnienia boczne mi drogami prowadzeni przez Chrzanowskiego.

Osmego dnia stanęliśmy w Sandomierzu.

Zajechaliśmy do gospody, by koniom wytchnąć nieco i rozpytać co się dzieje w Jurkowicach. bo już niepokój mnie trapił wielki, gdy w tém spostrzegam służącą mej matki Stefkę.

Klasła w ręce gdy mnie zobaczyła i krzyknęła:

— Panicz! panicz tu! toż to będzie!

— Co się stało? Co tu robisz? Gdzie matka?

— Pani nasza, mój Boże! — rzekła szlochając.

— Co? mów mi gdzie matka, wrzasnałem odchodząc prawie od zmysłów.

— Tu, tu paniczu.

— Tu w gospodzie?

— Spalili nas niecnoty—a pani chora—tam.

Jak piorun wpadłem do izby, którą mi wskazała. i zobaczyłem matkę—chorą, zgębioną, bez dachu.

Mówilem ci zapewne, że matka obleganą była wciąż przez konkurentów.

Byli jedni, którym się śmiała protekcyą królewską, byli inni którzy affektem do niej gorzeli, a których odrzucała kolejno.

Mszczono się na niej paszkwilami, obelgami—wymyślano ohydne potwarze, grabiono jej zbiory i inwentarz, znęcano się nad ludźmi.

Trwała ta walka lat dziesiątek—matka zносиła to wszystko dumnie, co ich w większą wprawiało wściekłość ale tego niedosyć było. Jeden z nich Żernicki bliski sąsiad, najzaciętszy z całej tej zgrai, postanowił się zemścić, i w biały dzień najechał z tłumem pijaków bezczeszcząc biedną kobietę, tłukąc wszystko, niszcząc a wreszcie paląc dwór i dobytek cały.

Co się ze mną działo, tego ci opisać nie mogę, wybiegłem jak wichur.

— Na koń! Za mną.

Opowiedziałem im przez drogę wszystko. Przysięgli iść w ogień i w wodę, szczególnież Kieżgajło.

W Jurkowicach zdrętwiałem ze zgrozy strasznej.

Dworzec w gruzach, gumna spalone stały jedną kupą pogorzeliska. Czeladka rozproszona i bez dachu.

Zebrałem wszystkich ludzi, jacy tylko zostali, a byli gotowi pójść do piekła, bo matkę kochali jak świętą i dalejże na Domoradzice Żernickiego.

Otoczyłem dwór dookoła, sam wszedłem na dziedziniec i zawołałem:

— Jam Bzowski! stawaj tu samotrzeć łajdaku, rozprawimy się z sobą. Patrz, mam siłę taką, że tu jedna dusza z was nie wyjdzie żywa—ale ja nie rozbójnik. Dalej, bierz szablą albo ci tu na wylot łeb przewiercę.

Zaskoczony tak niespodzianie, nie wiedział na razie co się z nim dzieje ale oprzytomniawszy prędko wybełkotał:

— Czego chcesz? jam nie zawinił—to Przyjemski, Skowroński, Ostaszewski.

Ty mi za wszystkich odpowiesz. Ty nędzniku, ty prześladowco wiekuisty, za wszystkie krzywdy mi odpłacisz.

Zawołał na ludzi, a sam chciał drapnąć do dworca, poczęstowałem go z pistoletu ale ręka mi

drzała i nabój poszedł. on też umknął drzwi zatarasowawszy.

— Stawaj łotrze. bo cię upiekę żywcem w twym dworcu.

— Piecz! ale nie ugryziesz tej pieczeni i plunął mi z garłacza przez okno.

Kula uwięzła mi w kapeluszu — ale kiedy nie krzyknę na moich chłopców, kiedy się nie rzuci wszystko na ono domowstwo—wdarli się oknami jedni, drzwiami drudzy. Wywlekli go pokaleczonego, bo się wziąć nie dał i dwóch moich ludzi tego nazaczył. Związaliśmy go w pień.

Służba jego potrwożona pochowała się w kąty, wybiegło kobiet kilka jak ciotka jego stara i siostry, rzuciły mi się do kolan, prosząc zmiłowania.

— A on miałże zmiłowanie nad biedną matką moją? Oto chora, znękana, bez dachu, bez przytułku.

— Oh Panie, nie on tu jeden zawinił. On załuje nieszczęsnego czynu, który się stał po pijanemu. Dziś oni sami nie wiedzą, jakim sposobem wszczął się pożar. Zmiłujcie się nad nami.

— Precz! oko za oko, ząb za ząb. Tak jak wy pozbawiliście matkę moją przytułku, tak ja tu kamień na kamieniu nie zostawię. Was puszczyć z życiem. Palić! krzyknąłem na moich ludzi. I byłbym dotrzymał słowa, gdyby nie nadjechała matka. Niespokojna, popędziła za mną, aby mnie wstrzymać w samą porę.

— Stój synu, sprawa się już pertraktuje—Sądy domierzą mi sprawiedliwość.

— Sądy nie wrócą twoich łez wylanych, goryczy i wstydu, jaki przecierpiałas. Palić!

— Wstrzymajcie się. Szymonie! Czyż na kolanach mam cię błagać, abyś porzucił swój zamiar okrutny. Prowadź do grodu tego nędznika a dom jego i krewnych zostaw w spokoju.

— Ja dom jego w spokoju! Nimes tu przybyła jeszcze, ten zbójca z po za ściany swego domu chciał mnie zycia pozbawić, w chwili gdym go na sąd boży wzywał. Oto ślad jego kuli.

— Zdaj na sądy wszystko mój synu. Nie-szczęście, które mnie dotknęło, jest niczem w porównaniu do tego, gdyby ciebie utracić przyszło. O mój synu, mój synu. Tyś był bliskim śmierci, a mnie nie było przy tobie.

Rzuciła mi się na szyję, zawodząc płaczem wielkim.

Przypatrywała mi się, oglądała na wszystkie strony tak jak ty przed chwilą.

Zmiękłem jak wosk przy sercu matki.

Żernickiego związanego dostawiłem do grodu w Sandomierzu.

Estymowano mnie tam wielce, wiedząc kto jestem i z czém jadę.

Przyrzeczono sprawę poprowadzić rychło, ile ze świadków zbrodni mieli tyle. że nie wiadomo których wybrać—ustanowiliśmy rzecznikiem Imć

Psarskiego i na drugi dzień zaraz puściliśmy się w drogę.

Matka miała dalekiego krewnego Krzysztofcwicza na Ukrainie w Koniecpolszczyźnie.

Był to stary szlachcic, dziwak wielki, oczajdu-sza—nakarbował sobie na skórę kondemnat kilka tak, że musiał sprzedać wszystko co tu posiadał, i zabrawszy żonę z dziećmi udawszy się pod skrzydła Koniecpolskich, hyłkiem tam powędro-wał i osiadł niedaleko Dymitrowki, gdzie nabył futur.

Do tego to krewnego jechać zachciała koniecz-nie byle być ze mną, byle mi towarzyszyć.

Zgodziłem się z radością na tę podróż — zdro-wie się jej polepszyło.

Pogoda zapowiadała się cudowna.

Babie lato pływało po powietrzu.

Oddychaliśmy pełnemi piersi. na tym niezmie-rzonym stepie.

Zdawało się, że nam skrzydła urosły—chciało-by się lecieć z onym ptactwem co przelatywało ciągle po nad głowami.

Zdrowie, ochota! Ach żyć tam! żyć nieu-mierać!

A co za ludziel

Co chwila żałujesz, że niejesteś malarzem, bo każda persona prosi ci się abys ję na płótno prze-niósł.

I czego tam nie ma w tój naszój Ukrainie?

Wszystkie niesforne animusze i rozумы i serca

wielkie i wszystko plugastwo jakie z siebie wyrzuca Rzeczpospolita.

Miej oczy do patrzenia, uszy do słuchania z ręką na kordzie, boś wjechał do kraju rycerzy i rozbójników.

Tu ci się nawija chłop małopolski, owdzie pomorski szlachcic, tam Żmujdzin, tu Wielkopola nin, a tu Mazur, a wszystko to dźwiga na sumieniu jakąś kreskę.

Uciekło ścigane przez prawo, aby tu sobie usłać gniazdo, ale gniazda tego trzeba bronić dniem i nocą, bo przyjdzie mocniejszy i wysadzi cię z niego.

Jechaliśmy tak pogodnie, pławiąc się w jesiennym słońcu.

Czy w miasteczku jakim, czy we wsi, czy po grodach przyjmowano nas uczciwie.

Dodawano konwój, gdy groziło jakie lichy.

Ale nie było obawy — imię króla czezone tam jest: na równi z imieniem Boga.

Lud ruski śpiewa o nim pieśni, a jedna z nich kończy się temi słowy:

Służyb jemu korolu Polszczy
Po wiri i po prawdi.

Dziady lirnicy śpiewają dumy o kozackich her sztach, a mają ich tyle co świętych w kalendarzu.

Gdzieindziej słyszysz znowu przekleństwa i złorzeczenia na ucisk panów, gromy na żydów, którzy wszystko dzierżą w rękach, nawet cerkwie,

bo gdy chcesz chrzcic albo ślubic, żydowi opłacić musisz, bo on te dochody dzierzawi.

Oh jakże mi teraz ważne i pełne znaczenia wydało się to poselstwo, którem mnie król zaszczycił.

Zdawało mi się niejako, że losy tego ludu, dźwigam w mych rękach.

Pałałem też chęcią wielką, dobiec się jak najprędzej do onego futoru Krzysztofowiczów gdzie bym mógł bezpiecznie matkę moję zostawić a potem pospieszyć z królewskimi listami do Czerkas.

Dobiliśmy wreszcie Dymitrowki, z kądem pół mili futor pana Jędrzeja.

Ucieszono się tam nami, tak jak się zwykli cieszyć wygnańcy, gdy im przybywają drodzy ich sercu i przynoszą z sobą to wszystko, za czem tęsknili tyle.

Niewiedziano, jak nas ugościć, czem obdarzyć.

Najstarsza córka gospodarzy, panna Salomeja, dziewczę ładne nad podziw a śmiałe i odważne, jak mały kozak — przypadło mi do serca i dziś jeszcze jej oczy brylantowe spać mi czasem nie dają — ale to wszystko ustąpić musiało, przed sprawą królewską, która leżała mi na sercu.

Pozegnawszy dobrych ludzi, popłakawszy się z matką z przyrzeczeniem, że ich rychło odwiedzę, ruszyliśmy na Humań, Lisiankę, Korsuń do Czerkas.

Dwie mil z Koszno wyprawilem Chrzanowskie-

go z oznajmieniem. że wiozę listy królewskie do Iwana Barabaszeński. setnika czerkawskiego.

Powitali mnie na pół mili od miasta mołojcy na dzielnych koniach i poprowadzili do doma Barabaszeński.

Ze starszyny kozackiej. jest to mąż najwięcej królowi miły.

Listy, które im przywiozłem, były takie. że się oddali niesłychanej radości.

Król wiele przyrzekał i napomykał im o planach wojny tureckiej.

Mnie oddawał im w opiekę i zalecił ćwiczyć w rycerskiej szkole.

Noszono mnie tam na rękach.

Wyprawiano uczty.

Z pomiędzy wszystkich dostojników. przypadł mi najbardziej do serca Bogdan Chmielnicki.

Poznasz go bliżej.

Dwóch ludzi jest w tym dziwnym człowieku albo powiedziałbym po pół każdego. Pół lacl—pół rusin. Pół człek obyty w świecie i ocytany. a pół kozak zacięty.

Zawiózł on mnie do siebie. pod Czehryn do Subotowa, gdzie się przyjrzał kozackiemu gospodarstwu.

Jest wdowcem. ma dwóch synów. z których starszy Tymko. jest w moim wieku młodzian odważny i w sprawach rycerskich biegły.

Przesiadywałem tak kolejno, to u nich. to u je-

go kuma pułkownika Krzeczowskiego, znamienitego wojownika.

Chmielnicki zostaje w ciągłych zatargach z Czaplińskim podstarościm czechryńskim, a poszło im o dziewczkę, którą Chmielnicki miłował a Czapliński mu ją porwał. Passya ta tak silnie nim owładła, że kiedy mówi o tém, o mało mu oczy ze skóry nie wyskoczą.

— Ot na dobitek — powiada — trzeba siedzieć bezczynnie i gryźć się a swarzyć. Gdyby miły Bóg dał jak najprędzej królowi ruszyć nas na Turczyzna, bo inaczej zmarniejemy do szczętu. Tatar ustawicznie coś urwie, a my siedzieć musim i patrzeć, bo ruszyć się nie wolno. Panowie podnoszą wrzaski, że się traktaty łamie. Gorętsi uciekają na niź. Ot i teraz słyszę gotuje się wyprawa, a nam wciąż siedzieć doma. Ha! żeby król pozwolił nam się ruszyć — ale panowie go trzymają w ryzie. Nema szczo howoryty.

— Gdzież ta wyprawa się gotuje? — zapytałem.

— A ot za Zaporozem, na Niżu, w Siczy.

Kudak niby stoi i strzeże, ale my tu wszystko wiemy dokładnie.

— Nie możnaż mnie się tam dostać?

— Czemu nie, znalazłby się taki, co by was poprowadził, ale tam w francuzkie karty nie grają, głową nałożyć można łatwo a znowu jak Bóg da, wrócić z sultańskim łupem.

— Jadę i dowiodę wam, zem w pierzynie się nie chował.

— No, no, a coby w Warszawie na to powiedzieli, że wysłannik królewski na rozbój z hultajstwem się wysforował?.. Toć jeżeli od Turka ocalejesz, nasi gotowi głowę zdjąć, gdy złapią.

— Broni mnie gleit królewski, który mam przy sobie.

— Oni i gleitowi poradzą.

— Już jak chcesz gadaj Mościwy Panie Chmielnicki, a ja jechać tam muszę.

— Ha! widzę, że waść kawaler zdeterminowany. A jak broń Boże nieszczęścia, swoją skórą nałożę, zem cię wypuścił?

— Bądź waść bez obawy. Prócz nas dwóch nikt o tém wiedzieć nie będzie.

— To i nema szczo howoryty. Jest tu hultaj jeden, który was na miejsce doprowadzi a wy tam radźcie sobie, jak możecie.

Hultaj ten, Fiodor Czarny, sprawny okrutnie na dwóch ramionach płaszcz nosi, bo to i do rejestru się liczy i z niżowymi trzyma a takich tam dużo.

Płynęliśmy Dnieprem, potem omijali Kudak piechotą i znów sunęli czajkami, które Fiodor zawsze znajdował gdzieś, jakby na niego czekały, aż dotarliśmy do Ostrowa Buckiem zwanego.

Tu cóż za widok mnie uderzył? Szczebiewiszcze zowie się miejsce, gdzie budują one statki sławne i puszczają się niemi w najdalsze świata strony.

Zdało mi się, zem w jakimś wielkim porcie.

Atamanem tój wyprawy był im Iwan Pietruszeńko.

Poprowadził mnie do niego Fiodor.

Człek był srogi, tylko co kazał dwóch mołojców powiesić i tak między tymi bujającymi się wisielcami siedział na tronie, którym była kupa śmieci.

Popatrzył na mnie z początku nieufnie, biorąc za szpiega, ale gdyśmy się rozgadali, przypadłem im do serca.

Nie pierwszyna to u nich, że jakiś junak lacki przyłącza się do ich wyprawy.

Cóż to za żołnierze! Każden z nich wzięwszy go pojedynczo, obstoi za pułkownika—i takie siły Rzeczpospolita marnuje—obraca w chłopy.

Nazajutrz ogłoszony był wyjazd.

Do każdego statku siadło 50 mołojców — mnie wziął na swój sam Ataman.

Oh, przyjacielu, jakże ci opiszę ten labirent wysp i skał, przez któryśmy przemykali.

Przy samym ujściu Dniepru, Ataman zawiesił znak swój na maszcie—wszyscy zbili się w jedną kupę i tak ławą puścili się na morze.

Płynęliśmy od wschodu słońca do południa, gdyśmy dostrzegli turecki okręt.

Popędziliśmy ku niemu całą siłą wiosel i gdy już tylko o parę rzutów z łuku był od nas, wstrzymaliśmy się do nocy i posuwali się dalej, trzymając go w szachu.

Wtenczas Ataman wysłał połowę czajek w szyb-

kim biegu, aby go oskrzydlić a nasza połowa przytarła doń i dała ognia.

Odstrzeliwali się gęsto i trupa naszych padło nieco, kiedy tamci natarli na nich z drugiej strony — posunęliśmy tedy całym pędem sił naszych i zaczęła się walka na dobre.

Czajki, niby muchy natrętne, obsiadły tego olbrzyma. Zaczęliśmy zarzucać liny i haki — niewyszło trzech pacierzy, kiedyśmy byli na pokładzie.

Pogan wycięto w pień — łup zabrano i okręt zatopiono.

Nie zwlekając, puściliśmy się nocą ku brzegom Natolii.

Słońce nie weszło jeszcze, kiedyśmy wylądowali.

W każdej łodzi zostało tylko po dwóch mołojców, zresztą wzięwszy rusznicę, puściliśmy się łądem ku najbliższemu miastu Eregli.

Na wstępie zaraz któryś sprzątnął Muezzina na niedość wysokiej wieżyczce, aby nie budził trwogi.

Zastaliśmy miasteczko jeszcze śpiące.

Wywlekli zaraz jakiegoś baszę i zrabowali mu dom doszczętnie.

Na resztę miasta nałożono haracz, który w pokorze i strachu wnieśli—i tak wylądowawszy konie i muły zdobyczą, wróciliśmy do czajek naszych dość rychło, bo tuż na piętach za nami szła pogoń i gęstemi strzały prażyć poczęła.

Odstrzeliliśmy się, jak mogli, pókiśmy nie stracili ich z oczu.

Najtrudniejszy zawsze z takiej wyprawy bywa powrót, bo galera czuwająca przy ujściu znać daje, że kozacy puścili się na morze.

Wtenczas to, na wracających obciążonych łupami, rzucają się Turcy na swoich ciężkich statkach i tu dopiero trzeba sztuki niezrównanej, aby się im wykręcić.

Rozpoczęliśmy tedy istny taniec.

Obznajmiłem się prędko z ich nawigacją i nabrałem już wprawy.

Wyprosiłem sobie tedy u Atamana dwie czajki, każdą z pięćdziesięciu mołojcami uzbrojonymi w strzelby i armatki i tak z jedną podsunąłem się pod samą galereę, drugiej zaś kazałem manewrować opodal i trzymać się głównego czoła Atamana.

Ja stanąłem przy rudlu.

Turkom zawsze więcej idzie o żywego jeńca, aniżeli o trupa i chętniej starają się łowić na haki i arkany, gdy się która przybliży, aniżeli doń strzelać.

Widząc łup już tuż, tuż, pod nosem, rzucili się na zdobycz, wtedy ja umówiwszy się już z moimi mołojcami, szybkim ruchem się cofam — myślę im tak kilka razy to z téj, to z owéj strony galery się podsuwając — zmiarkowali fortel, bo już strzały gdzie niegdzie padły. Wtedy jak nie gwizdnę, jak się nie wysunie druga czajka, którą

zostawiłem gotową na skinienie, jak nie pluniem wszyscy ogniem!...

Zmieszało ich to potężnie, a my dawaj za pakuły i łuczywo oblane smołą. które przygotowałem, wyprosiwszy ich sobie. albo wykupiwszy od innych, bo mi powolni byli wielce i wszyscy, ilu nas było na czajkach. zapaliliśmy je szybko. rzucając z krzykiem wielkim.

Wtedy przybył nam sukkurs z kilku czajek. co jak osy opadł galerę. prażąc ogniem.

I gdy tak palim. a tamci strzelają. rzucam drabinę i dalejże drapać się na galerę, ale w chwili gdy stawiam nogę, czuję, że mnie coś dusi — sto świeczek stanęło mi w oczach i byłbym dyndał na onym arkanie. gdzieś przywieszonym do maszty, gdyby mnie nie odciął poczciwy Mykita, za co mu sownie nagrodziłem.

Galera zgorzała.

Myślałem, że będę powitany. jak bohater, ale przeciwnie złajano mnie ostro, bo inne galery widząc upadek tamtej, srogą zawrzały zemstą, ściągając nas tak zacięcie, żeśmy ledwie z życiem ubiedz zdołali.

Niewolnika, cośmy zdobyli, utopiono zaraz, wyprosiłem sobie tylko jednego Wołocha.

W Kurbeniczy nastąpił podział łupów.

Dostało mi się sto piastrów hiszpańskich, które zamieniłem zaraz na cudne tureckie wełniane i jedwabne materye, bogate manele i naszyjniki — przypadło mi także kilka naczyń srebrnych wy-

sokiej wartości, dla misternej roboty, zobaczysz je, bo tam i dla ciebie coś się znajdzie i... oh dziwo, krzyż i patyna zrabowane z jednego z kościoła na Pokuciu.

Uszczęśliwiony wracałem z tem wszystkiem, estymowany wielce przez kozaków za moją sprawność.

Niedługo zabawiłem w Czehrynie, bo pilno mi było jechać z łupami do matki i do téj cudnej dziewczyny. aby ją ubrać w zdobyte złoto i kaszemiry.

Co za radość była, gdym się pojawił w futorze Krzysztofowiczów.

Nie mogli się dosyć nadziwić mojej odwadze, matka płakała i śmiała się naprzemian.

Przyganiała mi moją porywczosć, a przecież dumną była ze mnie.

Zeszła nam tak zima rozkosznie, polując, gawędząc wieczorami przy kominie i patrząc się w oczy pięknej Saluni.

Dziewczę to dziwnych afektów, widziała we mnie wielkiego bohatera, pogromcę Tatarów i Turków i Bóg wie, co tam nie plotło się w jęj ślicznej główce... i co powiesz. bywały chwile, że tak polubił to zacisze, iż pozostałbym w nim na życie całe.

A co to za życie! pełne walk, przygód, sławy, miłości!

Krótko trwały te marzenia, jak i wszystko na świecie.

Zjawił się goniec z Czerkas, że pan Radziejowski przyjechał i zabiera z sobą posłów kozackich do Warszawy, bo wielkie sprawy się gotują.

Kazano mi wracać.

Matkę zabrałem z sobą.

Dziewczynę ukochaną pożegnałem z żalem wielkim, mdlało biedactwo z rozpaczny na odjeźdnem.

Przysiągłem, że powrócę i zaślubię ją... wprzód jednak w bój, w bój ze światem, aby zdobyć sobie nazwisko. jak powiedział Soboniewski stary z Grodziska.

Wyrzucił to wszystko z siebie, ledwie że nie jednym tchem.

Pragnienia sławy, miłość cicha i spokojna w bezludnej gdzieś Ukrainie, wszystko to się mieszało w dziwny chaos u niego — wreszcie ta pasya wściekła do życia burzliwego i przygodnego, która mu taki straszny koniec kiedyś zgotować miała, te humory szalone, nieokiełznane żadnym wędzidłem, co nie poszanowały nikogo i niczego, a podsycane ustawicznie jego dziwnym położeniem, już zaczynały w nim brać górę po nad wszystkimi cnotami, jakich tam nie brak było.

Dumny łaską królewską, a ufny w swoje wielkie talenta i urodzenie, nosił głowę wysoko. Panowie pytali: co za zacz zjawił się na dworze, iż z góry na wszystko patrzy?

Byłem właśnie przy królu, gdy książę Albrecht Radziwiłł, wielki kanclerz litewski, zaniepokojony wieścią o królewskich zamiarach a chowający urazę w sercu głęboką, za jakieś starostwo, którego król odmówił jego słudze—zjechał temi czasami i wszedł na pokoje z kanclerzem Ossolińskim, prymasem Łubińskim, Jakóblem Sobieskim, kasztelanem krakowskim i innymi.

Po powitaniach pełnych ceremonii ze stron obu odezwał się do króla:

— Snać fama mniej mi jeszcze powiedziała, aniżelim w Warszawie zastał. bo oto widzę istny obóz — precisnąć się nie można przed żołdactwem. Wszyscy wiedzą i mówią o wojnie, tylko najbliżsi serca i tronu W. Kr. Mości nieświadomi niczego.

— Byłbym dał znać w swoim czasie, ale gdyście przybyć raczyli, nie omieszkać zasięgnąć waszej światłej rady i prosić pomocy. Kolega wasz po pieczęci, już zna nasze zamiary i chętnem sercem w nie wchodzi, spodziewam się i po was tej powolności kanclerzu wielki litewski.

— Wszystko, co nie grozi wolności i całości Rzeczypospolitej, a dąży do jej sławy, jest dla mnie świętém.

Duma nieznośna z każdego jego słowa się sączyła, i padała kroplami gorącemi na chłodne z razu królewskie obejście — odrzekł mu też porywczo:

— A dla mnież? Więc przez ciąg lat czterna-

stu, za mało dałem dowodów, jak mi całość i sława jęj drogą?

— Wam Miłościwy Królu, tworzyć zamysły i plany jęj wielkości, a nam pilnować, i radzić aby one zamysły, miasto sławy i potęgi, nieszczęścia jęj nie przyniosły.

— Pilnujcież i radźcie, ale oświadczam, że zamysły moje, dla których życiem całe pracowałem, spełnię—choćbym miał przy nich paść trupem.

— Niechże Pan Bóg uchowa, byśmy gorącej żądzy W. Kr. Mości stawać mieli na drodze, ale chłodzić zbyt ni animusz pański, co by z krzywdą Was samych i Rzplitej wybujał, będzie naszym obowiązkiem.

Starzec przybierał ton mentora i szyderstwem niejako obrzucał króla. Zaogniała się coraz bardziej. Wtém Bzowski, stojący za krzesłem królewskim rzecze:

— Krzywda Rzplitej i wolności — pięknie brzmiące słowa, gdzie idzie o prywatę i korzyść własną.

Horor! Zrobiła się cisza wielka, złowroga przez parę sekund. Panowie spojrzeli po sobie—potém Radziwił wzburzony cały, rzekł mierząc Bzowskiego wzrokiem pogardy:

— Czy tu trefnisiem jest ten chłystek, czy też ozuchwalony tyle?

Król splotnął gniewem—i kazał mu precz.

— To mój nowy dworzanin, będzie ukarany przykładnie.

— Jeżeli już tacy ludzie podnoszą głos wobec króla i senatorów — odrzekł pan Krakowski — to senatorska godność ona staniała dziś wiele.

— A czymeś za nią zapłacił, panie Sobieski? rzekł król, trzęsąc się cały. Czy pocztem przodków znamienitych — toć one nie oddawna się dają. Czy zasługami twemi? a gdzież one? Dałem ci ją w mniemaniu, że będziesz umiał cenić łaskę naszą. Dziś widzę, że się pomylił.

Chciał coś odpowiedzieć zalterowany okrutnie, ale król skinieniem milczenie mu nakazał — potem odwracając się do Radziwiłła, rzekł:

— Wciągu tego tygodnia, poproszę was panowie na radę.

Pan Jakób Sobieski tak uczuł głęboko obrazę królewską, że wpadł w melancholję i w parę tygodni umarł.

Po ich odejściu, kazał król zawołać Bzowskiego.

— Jak śmiałeś odezwać się w obec tych dygnitarzy? Takąż to naukę wyciągnąłeś z obcowania ze mną i twymi towarzyszami?

— Daruj mi W. Kr. Mość — rzekł, padając mu do stóp, — duma tego człowieka w obec waszego majestatu, chęci jego, którem odgadł, aby ci wrogiem stanąć w twoich zamysłach, wszystko to wzburzyło mnie tak, że nie mogłem zapanować nad sobą.

— Nieszczęsny, więcej mi tym zrobiłeś złego, niżeli jego słowa, choćby w trójnasób zuchwalsze

i dumniejsze. Nie możesz zostać już przy mnie. Odejdź—a myśl więcej nad sobą.

Wyszedł — ja za nim. Sądziłem, że odda się rozpaczy — przeciwnie był uradowany tak, że musiał go poskramiać.

— Ha jak to słodko bryzgnąć w oczy téj dumie, dla której zda się niema granic już na tym świecie. Ho wy królewieto—wy mocarze! Może dożyję tryumfu, że to jabłko królewskie, którym rzucacie, jak piłką, twardym granitem się dla was stanie i gnieść, gnieść was będzie. Chodź, chodź, kochany Krzysztofie. No, przecież nie pogardzasz mną, choć wypadł z łaski królewskiej? Nie miej obawy, łaska ona do mnie wróci. Polityka królewska mnie ukarała, ale nie jego wielkie serce, które znam dobrze. Oh ja znam je dobrze! Pójdź, poprowadzę cię w świat inny, gdzie usłyszysz inną mowę, na którą ci serca przyrośnie.

Na drodze spotkał się z Konstantym, było to po raz pierwszy od jego powrotu. Chwyił go za piersi i przyparł do ściany. Chciałem wejść między nich, bom się obawiał jakiegoś nieszczęścia, ale Bzowski popatrzał nań długo, jakby chciał się zabawić jego strachem, bo drżał bestya, jak w febrze i z głupio fałszywym uśmiechem, wyciągnął doń rękę:

— Przebacz mi panie bracie,—wyszeptał.

— Przebaczyć? za co? Czyż przebaczają się dzikiej bestyi, jeżeli w człowieka godzi? Zabija się ją...

— Zmiłuj się!

— Albo puszcza—z pogardą, mówiąc: Nie wiedziała, co czyni. Precz! A nie nawijaj mi się więcej na drodze.

Posłowie kozaccy stali w dworcu pana Mniszcha na Długiej ulicy — do nich to gwałtem zaciągnął mnie Bzowski.

Zjechało ich czterech: Barabaszeńko, setnik czerkawski—Iwan Iliasz Ormiańczyn--Nestoreńko, assawuły pułkowi i setnik czechryński, Bogdan Chmielnicki.

Najwięcej poważania godnym i światłym człkiem, wydał mi się Barabaszeńko. Człek był poważny z siwiejącą już brodą, nie głupi i czytany, bystrego umysłu.

Ormiańczyn, figura mała, niepozorna ale czupurna, żołnierz był z niego dobry i wypróbowany.

Nestoreńko zda się na popa mi wyglądał.

Ostatni z nich, złocony dzisiejszy Bogdanek niecnota, który tyle krwi chrześcijańskiej przelał, wydał mi się wtenczas... at tak... zwyczajnym sobie kozakiem, który liznął trochę szkół jezuickich i obyczaj szlacheckich zachwycił. Nie przeczuwałem nigdy, żeby kiedyś miał zająć tak daleko. Średniego wzrostu, krępy, krótkiego karku, z długim sitarskim wąsem, ust małych a zaciśniętych... zwyczajna sobie kreatura. Oczy tylko miał dziwne—czarne one były, wielkie, wyłupiaście i jakby urokliwe. Te oczy zapamiętałem so-

bie dobrze. bogdy niemi spojrział, nie mogłem wytrzymać jego wzroku i mimowoli spuszczałem swój ku ziemi.

Przyjęli nas nader grzecznie. Bzowskiego powitali, jak swego towarzysza z dawna znajomego i poufałego.

— Przedstawiam wam — rzekł on — mego serdecznego druha, jedyne go, jakiego mi Bóg zesłał, odkądem dworski chleb praktykować począł. Jest ich tam jeszcze kilka sztuk, co to niby w oczy się łąszą a za oczyma buty szyją. zwyczajnie jak na dworze, ale takiego drugiego ze świecą szukaj.

— Imć. Pan Krzysztof Scipio Podkomorzyc.

— Druh wasz. to i my dla niego druhy — rzekł Chmielnicki, ściskając mnie za rękę.

— Już to prawda, że w tym waszym kotle kabał i ambicyj wszelakich, człowieka rzadko znaleźć, mówił Barabaszenko.

Niedawnom tu pomiędzy wami, alem już przejrzał, że w onym labiryncie nie szukać drogi, co by do jakiegoś sprawiedliwego portu zawieść mogła. Ilu ludzi, tyle interessów. Jeden Król a królików tysiące. Każdy w sobie pana nosi. Żaden ze swego państwa. szczypty uronić nie chce. W słowach szych świecący pięknie, ale tylko szych. a w wnętrzu gady i węże. Plany królewskie wielkie i święte nicowane na wszystkie strony a wszędzie dostrzegają w nich dziury i łaty. Wszystko im nie po myśli. Ot z każdej takiej sessyi wracamy z wzburzoną zółcią.

Król dla nas opiekunem i ojcem a panowie tyranami gorsi Tatarów.

— Nema, nema naszego batka hetmana wielikaho. Teper Korol sam — rzekł, wdychając Ormiańczyn.

— Przemoże on te niesforne bałwany — dodał Nestoreńko.

Chmielnicki przysłuchiwał się tylko, patrzył i milczał. Nareszcie wstał ze stołka i rzekł, poprawiając pasa:

— Na pohybel wrogom Króla i naszym! W Bogu nadzieja — pokąd Władysława, krzywda nam się nie stanie. Nie ma szczo howoryty. Ot traktament się należy gościom lubym. Dymytro! podawaj kielichy.

Piliśmy gęsto — i Bzowski, czego nigdy u niego nie widziałem — wypróżniał je sumiennie.

Chmielnicki podcięty, rozwodzić począł za-
le na Czaplńskiego. Snać to był jedyny robak, który mu siedział na wnętrzu i bodaj nie był to robak ten, co go do zaguby tylu tysięcy dusz doprowadził. Trafiają — bo się na świecie dziwne rzeczy. Z małych z pozor i błahych przyczyn urasta pożar, co chłonie miasta i lasy. A owa Helena, czém się stała dla Greków?

Pląkał rzewnemi łzami.

— Po co światowych splendorów, po co mi dóbr doczesnych, kiedy mieć nie mogę tego, co serce umiłowało. Oto patrzeć mi, jak taki wywłoka,

nędznik, posiadał dobro moje i jeszcze mi urąga— a ja nie mogę nic. Ha, żebym w jednej koszuli został, żeby mi wszystko zabrano, byłbym szczęśliw, byle pomsty nad takim synem dostać. Ale nie dla nas pomsta — oni nam wszystko zabierają... a my... ot nema szczo howoryty.

I gdy się tak rozwodzi na pół pijany a szlocha, wpada Ziemba z rozkazem królewskim, aby się natychmiast stawili posłowie przed Królem. Ten niespodziany rozkaz pański, zmieszał ich niezmiernie, ale oprzytomnieli prędko, kazawszy sobie lać na łby wodę zimną.

Ziemba im dogadywał:

— Ot słabe głowy kozacze. To wy tam widać wina nie pijacie chudzięta. A dobre wino pijecie? Tu nalał sobie. Tfu! Od tego można się skurczyć—ale nie upić.

Pachołek, który oblewał Chmielnickiego czy ze strachu, czy z złości, bo fukał na niego okrutnie, upuścił mu konew na głowę. Konew była ciężka z koprowiny i zraniła mu skroń tak, że krew się dziurgiem puściła. Dobył szabli i chciał go usieć, ale Ziemba stanął mu w drodze.

— Opuść mu panie Chmielnicki. Te trochę krwi warte nowiny, którą dziś usłyszycie.

— Jakże się pokazać Królowi ze łbem takim, powiedzą: kozak oberwał po uszach.

— Po ciemku nie zobaczą.

Zalepiliśmy mu ranę chlebem i pajęczyną, i tak

otrzeźwieni, przyodziani chyłkiem pomknęli do zamku.

Król w gronie zyczliwych Senatorów, pracował dla ich dobra od południa i ot na czém stańło:

Barabaszeńko mianowany został Hetmanem zaporożskiego wojska — otrzymał buławę sadzoną turkusami. Chmielnicki pisarzem polnym zaporożskim i dowódcą wyprawy morskiej.

Powiększono registr do 12,000 głów.

Król ofiarował kozakom, jako godło, chorągiew błękitną, z orłem na wpół białym na wpół czerwonym.

Na uzbrojenie otrzymali 6,000 talarów i po sto talarów na każde czółno.

Zapowiedziano im, aby byli gotowi do wojny na każde zawołanie, co też i uroczyście przyrzekli, a poufnie od króla kazano im z Turkiem rozpocząć harce.

Nazajutrz po nich nie zostało ani śladu w Warszawie.

Uciekli ze swemi skarbami, jak by się bali, aby im onych nieodebrano.

Chmielnickiego jeszcze raz widziałem, ale już w innych okolicznościach—o czém niżej.

Rankor kanclerza wielkiego litewskiego, zawrzał w całej pełni, bo oto odmówił pieczęci listom królewskim, o zaciągach wojskowych mówiąc, że wolałby rękę postradać, aniżeli przyło-

żyć do dzieła, co grozi ruiną państwa. Pociągnął też za sobą kanclerza Ossolińskiego, pod pozorem niby odpowiedzialności wielkiej wobec przyszłego sejmu.

Król, aż sapał ze złości, ale połknąć trzeba było pigułkę. Ztąd cała robota stanęła na raz. Trzeba się było kontentować tém, co jest, a resztę zostawić na po sejmie, na którym Król spodziewał się wykołatać wszystko.

Tymczasem chodziły brzydkie, pisane paszkwile na Króla i Kanclerza, że kują dyby na szlachtę, że chcą ją wygubić, oddać Turkom w niewolę i niestworzone historye.

Wśród tego przygotowywano się do koronacji Królowej.

Przybyli posłowie; moskiewski z oznajmieniem o wstąpieniu na tron cara Alexego Michaiłowicza i propozycją przymierza z Polską, przeciw Tatarom—wołoscy i multañscy z podarkami dla Królowej i nakoniec najosobliwsi, bo oto zakonnicy greccy z listami od biskupów, ofiarujący Królowi koronę Grecyi i Bułgaryi, byle ich oswobodził od jarzma tureckiego, dodając, że na jedno skinienie jego, wszystkie ludy słowiańskie powstaną.

Między nimi był wysłaniec Bułgarów, ksiądz Piotr Parcewicz, przemawiający ich mową, a mowa to była ciekawa, której w życiu mojem nie słyszałem, bo całkiem niby ruska, niby polska, ale tak jakoby nią dzieci gwarzyły. Snać ona urosła i z naszej i z ruskiej, ale kiedy nasza co-

raz piękniej i bujniej rosła—ich chudzinów gniewona jarzmem pogańskim, została jak ono dziecko w kołysce.

Do dworu Królowej, który chciano mieć jak to powiadają i z pierza i z mięsa, przydzielono panią co najzaczniejszych. Był tam Tarnowski, Starosta krzepicki, był Stanisław Tęczyński, ostatni już tego możnego rodu, był młody Ossoliński, był Denhof, Pac, Sieniawski i wielu z najdostojniejszych imion—umieszczono tam i Bzowskiego.

Po nieudanych próbach, by go mieć przy swym boku dla jego rogatej duszy, wyznaczył go Król dworzaninem swęj małżonki.

Przedziwna natura tego człeka i tu od razu przystała, jak gdyby już zrodzona do tego, bo nie wyszło tygodnia jeszcze nowęj służby, a tak go tam polubiono. tak stał się wszystkim potrzebnym, że go odchwalić nie mogły.

Językiem mówił, jak Francuz—Królowa wiele razy chciała, żeby ją dobrze zrozumiano, udawała się do Bzowskiego, a Francuzki, jedna przez drugą chciały go mieć na swęj służbie. Istny raj. Zdawało się też, że w tęg nowęj służbie najbardziej zagustował.

Pociągnęliśmy tedy na koronacyą do Krakowa. Król zawsze zajęty swoją jedyną myślą, kazał w Częstochowie poświęcić chorągwie, na przyszłą turecką wojnę.

Niech tam lepsze odemnie pióra i mądre głowy opisują wspaniały wjazd Królestwa do staręj sto-

licy i uroczystości koronacyjne, ja po staremu opowiem to tylko, co mnie najwięcej zajmowało.

Kłopoty i utrapienia królewskie zaczęły się coraz więcej piętrzyć nad jego głową. Rada panów przy koronacyi ani słyszeć nie chciała o tureckiej wojnie. Tiepolemu, że to najwięcej dzwonił na to kazanie, kazano się wynosić do Wenecyi, bo już uznano go niepotrzebnym, skoro obrzęd koronacyjny odbyty.

Król po jednem takim posiedzeniu wybiegł z izby, drzwi zatrzasnawszy, zirytowany mocno i nazajutrz zaraz wyjechał z Królową do Niepołomic na łowy a ztamtąd dalej ku Lwowu, wstępując po drodze do panów ruskich i kaptując ich gwoli swoich zamysłów, do przyszłego sejmu. Dla Hetmana polnego Potockiego, wiozł wielką buławę. dla Kalinowskiego mniejszą a dla wszystkich miłe słowa i obietnice łask przyszłych.

Wybrano się z mniejszym dworem tak, że dużo nas odpadło. Nam z Bzowskim wolno było bawić, gdzie się podoba, zostać w Krakowie albo do Warszawy wracać.

Postanowiliśmy też sobie użyć tego wczasu, jak można najmilej, ale że to zawsze gdy człowiek za dużo sobie słodyczy obiecuje, staną zwykle goryczą albo i czem gorszem jeszcze.

Zaledwieśmy rano wstawszy. rozglądać się zaczęli po krakowskim rynku, gdy wtém najeżdża kolasa, otoczona zbrojną kalwakatą a w niej kto?

Biskup Gębicki. Wraciał z Niepołomic, dokąd Króla odprowadzał.

Przejechał tuż przed nami — zobaczył nas, poznał i kazał się zatrzymać. Skinął uprzejmie ręką, podbiegliśmy do niego.

— A waszmoście tu na rekolekcyach? Warto by Pana Boga przeprosić za te wszystkie grzechy.

— Tak też i myślę, Wasza Świątobliwość — rzekłem, całując podaną sobie rękę. Chciałem właśnie mego towarzysza oprowadzić po kościołach i pokazać mu wszystko to, czego nie ma Warszawa nasza.

Bzowski stał nieco opodał, czekając, czy go biskup przed siebie nie przywoła, biskup znów patrzył nań chmurnie, czekając na powitanie, do którego ten się nie kwapił, nareszcie rzucił mu zdala te słowa:

— Słyszałem o talentach twoich, ale słyszałem także i o zbytnej zuchwałości i nieposzanowaniu tego, co czei wymaga. Bacz w sobie skromność, na ludzi patrz z miłością, bo nędzny koniec cię czeka.

Skinął na woźnicę i pojechał.

Jakby mnie kto zimną wodą oblał. Bzowski stał pomieszany i zdziwiony — nareszcie wybuchnął:

— Cóżem zawinił?

On się niepoczuwał do winy, a jam nie miał wcale ochoty mu jęj wykladać. Zgryziony wró-

ciłem do gospody. oświadczywszy mu wręcz, że go kwituję i z przyjaźni, i z towarzystwa.

Nic nie odrzekł, ale padł na kolana, oparł się łokciami o łóżko i tak głowę w dłonie zanurzywszy, pozostał.

Wybiegłem na miasto, alem sobie miru żadnego znaleźć nie mógł, zalterowany, skwaszony, zjadłszy obiad, powalęsawszy się po mieście, poszedłem do naszej czeladzi i kazałem się gotować na jutro do drogi.

Znalazłem Bzowskiego w tej samej postawie. Kazałem pakować tłómoki — wieczór się zbliżał a ten ani się ruszył, jakby przyrósł do miejsca. Żal mnie wziął—ale znów ta zaciekłość jego i dumy, drażniły mnie. Już miałem przyjść do niego, alem się upamiętał — niech żałuje za grzechy i rozważa poprawę.

Podano wieczerzę, służący kilka razy go pytał, czy jeść zechce—żadnej odpowiedzi. Położyłem się do łóżka, lecz długom zasnąć nie mógł i co chwila spoglądałem na tego kamiennego iście człowieka, który jak padł rano, tak ani drgnął do północy. Sen mnie wreszcie zmorzył, usnąłem i przebudziłem się dosyć późno.

Bzowski klęczał.

Tu już trwoga i żal mną owładły — wyskoczyłem prędko z łóżka i pobiegłem, biorąc go w ramiona—odwrócił się, popatrzał na mnie szklanymi oczyma i wyszeptał:

— Przebaczasz?

— Ach przebaczam, przebaczam ci nieszczęsny człeku, tylko już wstań. Dwadzieścia cztery godziny na klęczkach, toćby kamień rozbroiło.

— Dziękuję ci bracie... Ale to nie wszystko...

Zacząłem go dźwigać, nie mógł powstać o swojej sile. Zawołałem na ludzi, zanim nadbiegli — omdlał. Ponieśliśmy go na łóżko i otrzeźwili winem.

Przyszedł pomału do siebie i zaczął płakać, jak bóbr.

— Dobrześ powiedział bracie, jam nieszczęsny, bardzo nieszczęsny człowiek. Widzisz, toczę walkę z tym drugim, a zwyciężyć go nie mogę. Bo ty nie wiesz, że we mnie jest dwóch ludzi... jeszcze ci tego nie mówił, Tak bracie, dwóch. Jeden miłujący i zbożny—drugi pyszny i szatan. Prawdę mówił biskup—nędzny koniec mnie czeka, jeżeli dam zawładnąć nad sobą szatanowi, który mi w wnętrzu siedzi. Ale nie! nie dam! Dawniej nazywałem to wielkością, dziś widzę złem— a kiedy się ma świadomość złego, to tak jakgdyby go się już pokonało. Czyż nie tak? Prawdę a cnotą iść przez życie, powiedział Soboniewski, zdawało mi się, że spełniał jego przykazanie. Nie! Nie! Byłem pyszny, zuchwały — a z czego? Jeżeli z tej krwi, która mi w żyłach tętni — toć nie moja zasługa. Jeżeli z talentów, to cóż one warte, gdy miłości ludzkiej zdobyć nie mogły. Oh, jak rozpatruję dziś czyny moje, były one li-che i małe. Jak wspomnę na ludzi, których obra-

ziłem, widzę, że byli to ludzie stokroć lepsi ode-
mnie, bo nie podnieśli pomsty, nad takim nędz-
nym stworzeniem, jak ja. A twojż przyjaźń,
twoje serce szlachetne czem odpłaciłem dotąd?
li okazywaniem ci dumy mojej, która podła, głu-
pia, ze wszystkich czynów moich, jak szydło
z worka wyłaziła. A ty drogi, ty szlachetny
i jednym słówkiem nie dałeś mi uczuć, choć kale-
czyłem cię na każdym kroku. Dopiero ostatnia
zbrodnia moja, dożyła ci oburzenie z piersi—a ja
ją błogosławię, bo ono mnie otrzeźwiło.

Płakałem z nim razem i podziwiałem tę wy-
borną naturę, tak bogatą i myślałem sobie: ja-
kież to potężnej prawicy trzeba, aby nią umiała
pokierować na świecie.

— Słuchaj Krzysztofie—rzekł po chwili—ścież-
ka życia mego znów splątana — jestem jak
ten ciemny, co po omacku szuka drogi i na manow-
ce bieży. Jam na manowcach. Twoje rady
i pomoc nie starcza dla mnie — obajśmy młodzi.
Mnie potrzeba znów potężnego głosu, któryby mi
do duszy zagadał, a taki głos ja usłyszę tam...
wiesz... z ust tego starca. Tam, tam odbędę spo-
wiedź moją i pokutę.

— Będę ci towarzyszył.

— Pójdiesz ze mną?

— Wszędzie, gdzie pójść zechcesz.

— A wiesz, że ja pielgrzymkę moją muszę od-
być w włosiennicy i boso.

— Ja ją też tak odbędę.

— Oh ty duszo braterska! Pójdźmy do Reformatów, uczynimy ślub, aż do zgonu być braćmi i przyjaciółmi a potem wdziawszy włosiennicę i zdjawszy obuwie, powędrujemy do świętego człowieka.

Oh, bogdaj do końca życia, świeciła mi złotém wspomnieniem ta cudowna chwila, bo już nie miałem piękniejszej w życiu mojem.

W onym reformackim kościółku, z modlitwą naszą i kapłana, z hymnem błagalnym uleciały gdzieś wszystkie ziemskie nasze sprawy. Serca przepełnione miłością i nadzieją w przyszłość jasną, pogodną... Myśli wolne zmały wszelakiej. weseli, szczęśliwi spełnieniem ofiary, wędrowaliśmy, jak dwaj pątnicy do Grodziska.

W skwarny dzień Lipcowy o południu przybyliśmy do podnóża groty.

Znaleźliśmy starca, pochylonego nad księgą. Kontynuował tłumaczenie biblii rymem. Stanęliśmy u wejścia i zasłoniliśmy mu światło. Niepodniósł oczu, tylko jak drugi Dyogenes odezwał się:

— Inquam! nie bierzcie mi światła.

— Ojczy! — wyrzekł Bzowski.

— Zaczekaj, aż dokończę rozdziału.

Usunęliśmy się na stronę i czekali.

Na wschodach ujrzelśmy kilkanaście miseczek z żywnością, którą starcowi litościwy lud znosił.

Snać, hojnie go zaopatrowano, bo żywności było dosyć i ta stała nietknięta.

W dole szumiał prądnik. Ptactwo świergotało zaniepokojone jakies—snać, dwóch obcych przybyszów je mieszało, bo co który przyleciał, popatrzył i umknął. Powtarzało się to bez ustanku a ile to tego ptactwa i jakich gatunków! Pustułki borowe, zgodne drzemliki, gawrony, krasaki, wstydlive cieciurki, ciężkie dropie, leniwe chróściele, jarzabki, dzięcioł tarantowaty, głupie przepiórki, żołny, trznadlowie, zielone czyżyki, świszczące gile, czerwono-głowy szczygieł, gwizdzące makolągwy, drozdy miłe, malusieńkie strzyżyki, pokorna turkawka, gzegzułki, kosy żółtonosy, czubata dzierlatka, ucieszny pokrzywniczek, królik cisawy, czajki, pliszki piszczące i mnóstwo, mnóstwo innych, których nie znam, a które widziałem po raz pierwszy w mojem życiu. Nawet kawki, wrony, sroki szczebioczące, sowy, i kruki wieszce, zaglądały do groty. Objasnił mnie Bzowski, że o południu odbywa się ich karmienie, a teraz południe przeszło i żywności nie dostały jeszcze, więc krzykiem i piskiem znać mu dają o głodzie.

Gdym się dziwił, rzekł Bzowski:

— Zobaczysz tu dziwniejsze jeszcze rzeczy.

Jakoż w tej samej jeszcze chwili, pokazały się dwie sarny i daniel, ale zobaczywszy nas, umknęły tak, jak i ptactwo, dalej parę borsuków łyby pokazało. Zwinne wiewiórki skakały nam po nad

głowami — jeże suwały się pod stopami, nawet wąż się prześliznął. Starzec dzielił się pokarmem z całą leśną dziatwą, bo prócz wilka i lisa wszystko garnęło się doń po żywność.

— Kto jesteście?—rzekł, wychodząc z grotu i przysłaniając dłonią blask światła.

— Jam to bezimiennik.

— Ty? a ten drugi?

— Mój druh i towarzysz.

— Inquam, musiałeś się pobrukać, kiedyś sobie o mnie przypomniał. Przychodzisz boso, w pielgrzyma ubiorze, snąc to tam te łakocie światowe zaciążyły na sumieniu twojem. Pogadamy. Wnijdźcie do izby, przyniosę wam posiłek.

Milcząc, spożywalіśmy — potem starzec karmił ptactwo i zwierza.

Po odmówieniu krótkiej modlitwy, odezwał się do Bzowskiego:

— Inquam, gdzieś bywał—coś robił?

— W służbie Króla jestem od roku.

— Mów głośniej, bo ja dziś gorzej słyszę.

Powtórzył, krzycząc mu prawie do ucha.

— W służbie dworskiej.—mrucał, jakby do siebie... w służbie dworskiej... i jeszcze się nie zaprzepaścił... Inquam, dobra natura w tem dziecku, zawsze mówiłem.

Potem odwracając się do mnie:

— Czyś i ty dworzaniem? I dotrzymujesz mu przyjaźni? I razem z nim przyszedłeś do domu

samotnika? Czy może tylko z ciekawości próżnej, ażeby potem wyśmiać mnie u waszej dworskiej zgrai?

Co? powiedz—takiś miał zamiar?

— Ojcie świętobliwy — rzekłem, obejmując nogi starca—jam nie z tych ludzi. Nie wszystkie serca pod suknią dworską jednako biją.

— Jak się zowiesz?

— Krzysztof Scypio.

— Tyś syn Mikołaja Eustachego, Mereckiego starosty, podkomorzego niegdyś królewskiego?

— Jam to.

— Inquam, byłem z twoim ojcem u Chocimia, żyje?

— Umarł od lat dziesięciu.

— Zostawił cię sierotą.

— Król miłościwy mi go zastąpił.

— A zastąpił godnie. Dobry Król, ale różgi w dłoni utrzymać nie potrafi. To nie ojciec... oh nie ojciec. Tamtego nie lubiano, ale się bano. Tego kochają i jedzą.

Bóg z nimi, Bóg z nimi.

— Król przedsięwzięje dziś wielkie dzieła — rzekł Bzowski—doczekasz jeszcze ojcie tryumfu krzyża. Na Turka wyprawa się gotuje.

— Inquam, nie pytałem cię o to. Nie chcę wiedzieć, co się u was gotuje. O tryumfie krzyża mnie prawisz, głupcze — a kiedyż on nie trumfował? i czy przyjdą takie czasy kiedy, gdzie on tryumfować nie będzie.

— A walczę z niewiernym za nic nie ważycie?

— Walka z niewiernym. Nie przyszła na nią pora. Strzedz granic piersią — bydź jej puklerzem — ale nie zaczepiać złego. Padł Władysław Jagiellończyk, niechże Bóg chroni Władysława Wazy.

— Zawsze będziemy czekać na nich, zamiast zdusić w własnem gnieździe?

— A gdzież ta potęga wasza? oh szaleńcy! Czy idzie z wami Moskal. Niemiec, Włoch, Francuz, Angielczyk? Czy idzie? Inquam, odpowiadaj.

— Wenecya posiłki daje.

— Wenecya! Stek kupców i szalbierzy, Boże uchwaj naród i króla.

Pośmutnieliśmy po tych słowach starca. I on był przeciwko nam?... „On, który życie swe całe sterał, pławiąc się we krwi bisurmańskiej, któremu wydarli wszystko, co miał najdroższego na świecie. On był przeciwny wojnie tureckiej. Nie mogło się to pomieścić w naszych młodych głowach. Osądziliśmy dziwactwem, choć starzec prawil, jak wyroczenia.

— Kozactwo się buntuje, Jak bo się nie ma buntować, gdy im mówią, że są tylko paznogciami Rzeczypospolitej, które obciąć trzeba, gdy za duże wyrosną. Ale przyjdzie czas, gdy te pazury drapać nas będą. Na Turka wylać serdeczną krew dzieci Ukrainy. A co z tej krwi wyrosćie? pozoga, co chrześcijaństwo spali. Oh krótkowidze! Oh małoduszni!

Mówił tak długo do siebie. nareszcie jakby się chciał otrząsnąć z tych wszystkich myśli, co nim szarpały. powstał. odgarniając w około siebie rękoma.

— Precz! precz widma. coście mi spokój zatruli. Czego tu chcecie? POCOście tu przyszli z wieściami z waszego świata? Ja ich nie żądny. ja o nich wiedzieć nie chcę.

— Ojczel!—przemówił Bzowski, — toć sprawy, które dziś całą Rzeczpospolitą naszą poruszają. Ojczel! błogosławcie raczej, wielkim zamysłem Króla.

— Precz! potępienie zamysłem, których głowa polska nie wydała. a pierś nie ogrzała. Niech zmarnieją w zarodku samym, zanimby jadowity owoc zrodziły. Inquam, po coś tu przyszedł z towarzyszem twoim? Jeżeli o wojnie to wiesz, co o niej trzymam.

— Oh ojczel, czy to wasze nieodwołalne słowo?

— Inquam.

— Wybaczcie więc, że po waszej stronie nie będę.

— Bóg z tobą. głowo wichrowata. Pędź, gdzie cię przeznaczeń koło zaniesie. Zmarnuj, zatrac w sobie to wszystko. czem Bóg cię uposażył. Takie to już koniec u nas zawsze tych, co po nad głowy rówienników wystrzelą. Idź tam. gdzie duch ambicyi i pychy swój błyskotliwy a tak pojętny ogon wlecze. Idź, przerośnij dumą najmniejszych, zuchwałością najzuchwalszych, okrucieństwem najokrutniejszych i nikczemnością naj-

nikczemniejszych. ale pamiętaj. że na spodzie tych mętów. znajdziesz kres haniebny. Znajdziesz złorzeczenie i przekleństwo. znajdziesz obrzydzenie i rozpacz! Droga wielkości. to nie gładko polerowana posadzka. to droga cierni i przepaści. to droga miłości i poświęcenia. łez i goryczy. zwątpień i rozpaczy — ale u jej kresu błogosławieństwa. dziękczynne hymny i wiecznie zielony wawrzynowy wieniec sławy. Po coś tu przyszedł do mnie nędzny? Chciałeś mi błyskotliwie mignąć w oczy kilkoma racami słów szumnie brzmiących—a gdym je surowej prawdy dotknął chłostą, duma twoja wybiegła jak zaczajone drapieżne zwierze z kryjówki serca twego. Kajaj się nędzny! Tu w prochu utop tego szatana, co ci porze wnętrzości i szlachetnym popędem broni ujścia. Tu do stóp krzyża pacholę nieszczęsne. Niech łaska odkupiciela na cię spłynie. abys powstał czystym i odrodzonym.

Głos świętego starca potężniał — zda się wnętrze skały rozsadzał, które się trzęsło. jakby od trąb jerychońskich — padliśmy z nim w pokorze do nóg stwórcy. zalewając się łzami.

Nadciągała burza sejmowa.

Królestwo wróciło do Warszawy pospiesznie i nie bardzo dobrej myśli.

Oczekiwano z trwogą onęj nawały, co miała

uwieńczyć królewskie plany. albo je w niwecz rozwiązać.

Zaczęto się powoli zjeżdżać. Ci, co wyruszyli naprzód, byli to po większej części przyjaciele królewskiego projektu. Kontrahenci, mieli się potem dopiero zjawić.

Marszałkowie obu narodów ulokowali to wszystko w przeznaczonych gospodach, i tak 25 Października. po solennem nabożeństwie u fary, sejm się rozpoczął.

Szczupłe grono Senatorów, witało Króla w pokojach górnych zamku, izba poselska zasię na dole zajęta była wyborem Marszałka. Stanął nim, że to była kolej na Litwę, pan Mikołaj Stankiewicz, pisarz ziemski żmujdzki, ciwun ejragolski. Wprowadzono go na górę, gdzie Król witał i zaprosił na jutro z posłami do izby senatorskiej.

Żaden chyba sejm nie był wyczekiwany z takim biciem serca i gorączką, jak owo obecny, to też wszystko co żyło na dworze nadstawiało bacznie uszu, wciskało się gdzie można aby najmniejszego słówka nie stracić.

Arbitrów była moc niezliczona, a między nimi rej wiedli Panowie Strzemeski i Tymiąński.

Do Królowej latały bezustannie świstki, tłumaczone na prędcę przez Bzowskiego, bo chciała wiedzieć wszystko.

Nazajutrz stawił się Marszałek z posłami, wypowiedział mowę długą, uczoną i zawiłą. Podkan-

clerzy Leszczyński mu odpowiedział pięknie, krótko a treściwie. poczem przystąpili wszyscy do ucałowania ręki królewskiej.

Odbyły się tedy wstępne *solennitates*, poczem najajutrz na dobre zaczęły się obrady.

Kancelerz Ossoliński stanął wobec Króla na tronie i w przepięknej mowie iście cycerońską swadą, wypowiedział zamysł królewski, tureckiej wojny. Odmalował niby Appellesowym pędzlem, co za okrucieństwa, co za pożogi, co za jassyr trapi od tylu wieków ukochaną matkę naszą. Mówił o haniebnym płaceniu haraczu, ze wstydem okrutnym rycerskiego imienia. Potem mówił o przy mierzu z Moskwą, a wreszcie zakończył żądaniem królewskim reformacyi, czyli oprawy dla nowój królowej takiej, jaką miały inne jej poprzedniczki.

Jak ciekawie polknęliśmy tę kanclerską przemowę, tak teraz znów jeszcze ciekawiej czekaliśmy odpowiedzi Senatorów, tusząc z niej o dobrym obrocie sprawy.

Najpierwszym co głos zabrał po kanclerskiej mowie i z prawa i z urzędu, był Prymas Łubieński. Staruszek życzliwy wielce dworowi, spodziewaliśmy się odeń usłyszeć całe dużo pięknych rzeczy, ale kat nadał, niceśmy nie słyszeli. Mówił tak cicho, że ci nawet co przy nim stali coś niby piąte przez dziesiąte zrozumieć mogli—a mówił tak długo, że wszyscy na stołkach niby świ-

drem wierceni obracali się na wszystkie strony, nosy głośno ucierali, kasłali, chrząkali.

Gdy skończył, zabrał głos Wojewoda rawski Grudziński, ale chcąc się sianem wykręcić, jak powiadają, odezwał się, że jest zdania Prymasa. Za nim poszli Bykowski sieradzki i Kobierzycki gdański.

Zaczęto sarkać na nieobecnych, którzy w domu tylko wymowni a w Senacie nieobecnością oniemiali. Podkanclerzy Leszczyński nazwał ich sprawcami wszystkich nieszczęść ojczyzny.

Przystąpiono jednak do wotów... i rozstąpi się ziemia, wszystkie wypadły przeciw wojnie. Zgadzano się na odporną, ale nie zaczepną. I to był pierwszy pocisk w serce królewskie.

Nazajutrz Król na sessyą nie przybył, zeszło się Senatorów gościęj a najwymowniejszymi dnia tego byli: Tarło Kasztelan przemyski i Piotr Charbicki brzeziński. Ci pociągnęli ku sobie, niby siłą magnesu. Tarło kończąc swoją mowę, wyrzekł: Być nam ślimakiem i niewyścibiać łba ze skorupy, jeżeli nie chcemy być pozartymi od tej hydry. To się tak ogólnie podobało, że przyjęto wyraz ślimak za hasło. I gdy pytano posła, za kim trzyma: „Jam ślimak.“ odpowiadał.

Sprawa królewska upadła, jak gdyby mieczem hłasnął jednym zamachem.

Ślimaki uchwalili zaraz konstytucyą;

aby wzbronieć Królowi zaciągów.

aby tegorocznych zaciągów nie płacić.

aby cudzoziemców ze dworu wydalić.

aby Król nie osobiście, ale przez Hetmanów prowadził wojnę — a Hetmanowie ani słuchać o niej nie chcieli.

I tak niby już sprawa rzucona za piec. wzięto się zaraz do innéj materyi—do Trubecka.

Król się rozchorował.

Wysłany do niego Ossoliński z uchwałą sejmową, wrócił z niczém. Ofuknięto się straszliwie i wybrano poselstwo z Senatorów z dołożeniem, że nie będą radzić dalej, dopóki Król wojska nie rozpuści. I ci odeszli z niczém od drzwi królewskich. Wysłano wreszcie Marszałka, ale i tego taka sama spotkała odprawa.

Biedny król istne tortury znosił, ale z dwojga złego wybierając, czy one nie były lżejsze od tych, któreby musiał w izbie przecierpieć. Słyszeliśmy tam takie rzeczy, od których uszy więdły.

Nareszcie pewnego dnia Wielkopolanie wnieśli, aby ustanowić poufną rozmowę izby poselskiej, z Senatem w nieobecności Króla. Było to nieposzanowaniem majestatu, to też zgromił ich za to siarczyście Ostroróg, powstała zwada straszna, z której wynikło, aby wszyscy hurmą szli na górę do Króla.

Już powstano z ław z trzaskiem okrutnym, już po schodach zaczęło się bractwo drapać, gdy im zastąpiła drogę Królowa i przez młodego Ossolińskiego krajczego swego zmusiła do odwrotu.

Weszli jednak do niego przemocą prawie Biskup poznański Szoldrski. żmujdzki Tyszkiewicz. Wojewoda brzeski Szczawiński. pomorski Denhof, mściślawski Abramowicz. Kasztelan sieradzki Bykowski i gdański Kobierzycki.

Stałem za łóżem Króla, trzymając lekarstwo, które mi Kraft podał, aby je nalać do kubka, gdy u drzwi zrobił się rumor. Ryłski stał na straży i nie chciał ich wpuścić, ale wojewoda brzeski odepchnął go gwałtem i pierwszy wkroczył do komnaty. wypuściłem kubek z rąk. takem się przestraszył a Król zerwał się na łożu.

— Czy już do tego przyszło. że mi nie dadzą i w chorobie spokoju. A toć ma go najbiedniejszy z ich sług. Odejdźcie panowie! tu niema Króla Polski, jest tylko biedny chory i znękany człowiek, który w imię chrześcijańskie o spoczynek was prosi.

— Miłościwy Panie—rzekł Tyszkiewicz — tam Polska cała w Sejmowej izbie czeka i daremnie kołacze od dni kilku do swojego monarchy. Potęp nas, ukarz. zniesiemy bez szemrania wszystko, ale gdy Ona się do ciebie odzywa, odpowiedzieć jej musisz.

— Cóż chcecie żebym odpowiedział nie władając sobą? Czyż od chorego możecie się spodziewać tego, co by wam odrzekł zdrowy? Wola moja spętana cierpieniem i tyle jej we mnie co w dziecku. Nie żądajcie więc abym gwoli bó-

lu, co moje ciało skręca, przystał na wszystkie życzenia wasze.

— Królu — odpowiedział biskup poznański — tam Senat i stan rycerski uchwalili to, co ci przedłożyć pragną. Póki nie dasz sankcyi, nie przystąpią do żadnej sprawy. Miejcież miłosierdzie, tak jak chcecie, aby je miano nad wami.

— Boże, ty widzisz utrapienie biednego człowieka—rzekł Król ze łzami prawie—oh, gdybym mógł tę cierniową koronę, co mi się w skronie wpiła, odrzucić od siebie i uciec gdzieś na pustynię przed tymi ludźmi.

— Błagamy cię na kolanach panie, bądź powolnym. pokornym prośbom naszym.

I jak zaczęli molestować, a przymawiać, a namawiać, tak biedny Król pocił się, ale ustąpił wreszcie—i byle obmyślili obronę kraju, obiecał zaniechać zamysłu wojny, dołożywszy, żeby sprawa Królowej ustanowioną była na Sejmie. Wydał jej pieniądze na zaciągi.

Po ich wyjściu wpadł do Króla Ossoliński, przerażony powolnością jego, radził przekupić posła, któryby zerwał ten sejm fatalny, ale Król propozycyą odrzucił, a zwracając się do Żabickiego:

— Przeprowadźcie mi Zygmunta—rzecze.

Przybiegło owe śliczne pacholę, cała dziś pocięcha ojcową. Wyglądał, jakby aniołek z obrazka. Kazał go Król ubierać po polsku — nosił też ten ubiórek tak piękniuchnie a składno, że się dusza radowała, patrząc. Żupanik był na nim sajetowy

niebieski, ferezyjka amarantowa aksamitna. Skończył ósmy roczek, ale wejrzenia był rozumnego a uśmiechu tak miłego i pełnego dobroci, że każdego za serce chwycił. Podobien był do matki.

— Synaczku mój najmilszy — rzekł Król, tuląc go do serca — gdybyś ty pojąć mógł, ile męczarni twój biedny ojciec przenosi.

Dla ciebie to, dla ciebie ustąpiłem téj hydrze i potargałem najpiękniejsze marzenia mojego życia, inaczej by po trupie moim przeszła. Byłbym im rzucił tą koronę... aleć ją dla ciebie zachować pragnę... może szczęśliwszy będziesz od ojca.

— A gdzie jest ta hydra? Kiedy ją zobaczę?

Czy mi ją pokażecie? — pytał chłopczyzna, nierozumiejąc onego starożytnego terminu.

— Poznasz ją, bo to bestya o tysiącu głowach i rękach.

— I zabić jej nie można?

— Trzeba na to sił nadludzkich mój synu. Będziemy cię uczyć i pracować nad tobą.

Po paru dniach Król zdrowszy, zjawił się na pokojach. Obsiedli go hurmem Senatorowie, aby zezwolił na poufałą rozmowę z izbą poselską.

— Dopókim tu Królem, tego nie będzie — odrzekł.

Ossoliński w jego imieniu przemówił szorstko i gniewnie, ale go zahukano. Tymczasem w izbie istny sądny dzień znów powstał. Nie chciano obradować a podsędek braclawski Kosakowski wykrzyknął: że choćby im tu przyszło umrzeć

głodową śmiercią, radzić nie będą, dopóki Król wojska nie rozpuści i kozaków nie powściągnie.

I znów powtarzała się scena namowy, błagania, perswazyi, weszło jeszcze większe grono Senatorów i posłów, jak pierwój, tak, że Król zmęczony tém wszystkiem, zezwolił.

Ustanowiono tedy, aby wojsko rozpuścić, kozactwo powściągnąć i Tatarom po staremu haracz płacić.

— Bo gdybyśmy przystali na wojnę — rzekł Ponętowski poseł czernichowski, — i Król zdobył Konstantynopol, to czyją on był by własnością? Króla — a wtenczas biada swobodom Rzeczypospolitej.

Spisano konstytucyą i udano się na górę do Króla. Wojewoda brzeski Szczawiński wygłaszał mowę, sławiąc przeszłość szczęśliwego panowania i kłaniał się przy każdym słowie Królowi. Król ciągle kapelusza uchylał, ale zwolna owa słodka pochwalna mowa zrobiła się cierpką i gorzką, jak cebula. Przymawiał królowi o cudzoziemcach, co wisi ich tyła przy dworze, o przedajności urzędów, mówił o jakiejś nowej alchemii, którą Król smarzył z Kanclerzem Ossolińskim, jakby to chłopca w szlachcica a szlachcica na chłopca przerobić, a przy każdej takiej pigułce kłaniał się po staremu, lecz widząc, że Król już nie uchyla kapelusza i że raczej oburzenie ogarnia wszystkich, tak znów zrzęcznie wrócił do pier-

wszego sposobu i znów pochlebstw a miodu sączył a wreszcie kończąc, wyrzekł:

— Gdy nas tak W. Kr. Mość, jako i przodkowie W. Kr. Mości przodków naszych miłować będziesz, nie zejdziesz ztąd. jeno syt dni żywota i pełen chwały a potomek W. Kr. Mości potomkom naszym panować będzie.

Tém ujął Króla i zatarł przykre wrażenie.

I tak się skończył ten sejm ślimaków.

Wydobyto na Królu wszystko, co się wydobyć dało, nic mu w zamian nie ustąpiwszy. Wracali dobrej myśli i fantazyi wielkiej, bo nigdy jeszcze drzewo wolności naszój bujniój się nie rozrosło ale jakież oplakane wydało ono owoce, o tém w porę się powie.



KSIEGA TRZECIA.

— Nie powiedziałem?... Nahałasowali i jadą do swoich pierzyn miękkich. Bogdaj wam wasze puchy w kamienie twarde zamieniono! No, bywaj zdrów. Teraz Polska nasza, w sadle szczęśliwości opływać będzie. Człeka rycerskiego za pieńdzę tylko w jasełkach jakich zobaczysz. Czemużem dożył tych czasów! Błogi pokój, szczęśliwy pokój — jesteśmy tacy pokojowi, że wieprzaka, albo kury głupiej zabićbyśmy się bali. Osobni konsyliarze do tego wyznaczeni będą. Niech wam jelita poskręca! Oh Tchorzewscy, Zajączkowsy, Lisowscy! Przepadło! Trzeba zapukać do jakiej furty klasztornej i pietruszkę skrobać, garnki pomywać mnichom, kurytarze zamiatać. Dobrze się dzieje w tej naszej Polsce, dobrze. I po co nam Króla, po co nam granic, po co nam wojska—kiedy siedzimy sobie, jak na Abrahamowem łonie. Ślimakami jesteśmy. Jam ślimak, powiada siaki taki a gęba u niego, jak brama krakowska, a w kałdun wlaźlby wół cały i z rogami. Bądźcież ślimakami synowie owacy. Panie odpuść mi grzechy moje. Żeby mi który

Niemiec w łeb teraz palnął z gardłacza. to na dniu sądnym do Świętego Piotra instancją wniósłbym za nim. A co szwabiki—przyjechaliście się bić do naszej Polski—toście się wybrali. U nas takich do spirytusu kładą i podziwiać każą babom i dzieciom. albo wypatroszywszy, wypchnych słomą obnoszą po wsi razem z niedźwiedziem. Oh sodomici! Na zakał imieniowi polskiemu! A śmiejecie się z nas dobrze, jak powrócicie do domów. Powiedzcie, że Polacy mają Króla ni w pięć, ni w dziewięć, który marzy o Cesarzowych wawrzynach, a tu by trzeba jakiej tłustej baby, przebrannej w rajtuzy jak w mięsopuście, coby miast berła, warząchew miała w ręku.

Tak prawił pan Tymiąński, uwijając się, jak opętany po Ujazdowie między żołnierstwem różnej nacyi, które klęło na czem świat stoi, zwijając swoje manatki. Żebyż to się na klątwach skończyło, ale przyszedł rabunek i rozbój. Żadna kramica nie była bezpieczną. Marszałkowska milicya i królewscy drabanci dzień i noc musieli się uganiać, i gęsto na ulicy spotkałeś się z trupem żołdaka albo mieszczanina.

Siła najprzedniejszych naszych żołnierzy, zaciągała się w służby obcym panom, do Niemiec, gdzie szli pociągnięci przez cudzoziemców, rabując swoich po drodze.

Serce się nam krwawiło, widząc zmarnowanych tyle starań, tyle zachodów, tyle pieniędzy królewskich.

— Bywaj zdrowa, miła ojczyzno nasza — mówił nie jeden.—Chciało się złożyć za ciebie, swoje stare kości, a teraz je wiatr gdzieś po obcych polach rozniesie.

— Cóż panie Krzysztofie, zamknem się już chyba u Reformatów? Tobie to przyjdzie łatwo, boś ty już prawie świętym za życia. ale ja co pocznę!... Ha, będę się budował. patrząc na ciebie i może z czasem na jakiego braciszka zaawansuję.

— Kiedyć Polska taka szczęśliwa, że już nie potrzebuje naszych usług—odpowiadał pan Strzemeski, to się w habity poszyjem i Boga chwalić będziem.

Nie przeczuwali, że niedaleka ona zawierucha, co ich obu poniesie i zaprzepaści.

Smutek wionął wszędzie, bo i u nas na zamku istne piekło. Króla powaliła choroba, wił się w boleściach i krzyczał tak, że się po całym gmachu rozlegało. Śnać cała alteracya i żal, i gorycz z zawiedzionych nadziei, wpakowały się w one nogi nieszczęsne.

Gdy mu chwilami ulżyło, kazał wołać do siebie małego swego synka i z nim się zabawiał.

Postarzał się i posiwiiał. Ile to tam mąk przemieść musiał, nim zrezygnował ze swoich najdroższych planów.

Wśród takich to mizeryj przyjechał królewicz Jan Kazimierz z zagranicy. Spodziewaliśmy się go zobaczyć poważnym dostojnikiem kościoła,

w purpurze kardynalskiej, a tymczasem sutannę zrzucił, odesławszy ją z Krakowa jeszcze do Rzymu, jakby się jęj wstydził i zaprezentował się w stroju włoskim, przy szpadzie, co mu cale nie było do twarzy — a była ona zeszpecona ospą. Niski, chuderlawy, cery śniadęj, ale prezencyi pańskiej i manier cudzoziemskich. Nielubiano go powszechnie, a i on też ze swoją wzdardą do Polaków się nie krył.

Królowi, gdy doniesiono o jego przyjeździe, syknął tylko mocno, aleśmy nie mogli zmiarkować, czy z bólu, czy z niemilego powrotu.

Nie miał pan nasz do niego serca. bo wiele zmartwień mu przyniósł niestatecznością swoją. a zawsze prawie robił na przekór bratu. Król chciał go zenić i osadzić na jakiem księstwie. to on jezuitą został. Gdy znów po długich kłótniach i alteracyi. Król się zgodził. to on zrzucił sukienkę i w kardynalski kapelusz się przystroił. Gdy Król chciał go zatrzymać. wyjeżdżał. gdy mu kazał wyjeżdżać — zostawał. Tak i teraz to jego niespodziewane zjawienie kłopotów miało przynieść dosyć, bo wracał do swoich pokojów w zamku, które zajmowali Baronostwo de Magni, do swoich klejnotów i naczyń srebrnych, które już testamentem legował różnym osobom, będąc jezuitą i wreszcie do swoich starostw, które dawno Król porozdawał.

Musiano tedy Magnusów rugować z zamku, aby

mu pokoje oczyścić, bo nie chciał krokiem stąpić do Warszawy, póki by to nie było.

Co do starostw, to nie tak łatwo się do nich było dostać.

Sokalskie dzierżył pan Denhof, Prenske Butler a Kobryńskie Podkanclerzy litewski Sapieha.

Klejnoty zasię i naczynia, rozleciały się między ludźmi.

Wprowadził go do Króla, królewicz Karol Ferdynand, gdzie po przywitaniu udano się do pokojów królowej na wieczerzę. Króla niesiono w krzesło.

Siedzieliśmy w drugim pokoju i przez drzwi otwarte patrzyliśmy i przysłuchywaliśmy się.

Pierwszy to raz widziałem przy sobie tych trzech braci.

Luboć dwóch matek, ale jednego ojca, nie byli wcale do siebie podobni.

Najstarszy Władysław, całkiem się od nich różnił. Dwaj młodzi Jan Kazimierz i Karol Ferdynand z jednej matki, ale także odstrychnięci od siebie. Karol wysoki, chudy, małowowny, wejrzenia melancholicznego i odludek—nie lubiący polowań ani bankietów—surowych obyczajów, przytęm skąpiec i twardego a zaciętego charakteru. Jan Kazimierz znów całkiem przeciwne miał wady i przymioty, a swoją habsburską twarzą z wystającą grubo dolną szczęką, był istnym

cudzoziemcem, co niby wypadkiem między nich się zabłąkał.

Z początku szła rozmowa po francuzku, ale przy końcu wieczery, gdy królowa poszła do siebie, poczęli po polsku.

— Na jak długo, zawitałeś do nas bracie — zapytał Król.

— Myślę, że już chyba na zawsze — odpowiedział Jan Kazimierz.

Król się uśmiechnął.

— A ileż to już razy tego było?... U ciebie, zawsze, wcale, nigdy. dziś, jutro — na jednej szali stoi. A trzebaby raz już poważnie coś postanowić.

— Tym razem już nazawsze. A od W. Kr. Mości zależeć teraz będzie, aby mi on pobyt w Polsce miłym uczynić.

— Czyż tu moje dobre chęci wystarczą? a ja nic, prócz dobrych chęci dać nie mogę. Wszystko coś miał. porozdawałeś. Twoje starostwa w ręku sług twoich wiernych, które za twoim przyzwoleniem udzieliłem, i odbierać ich nie myślę, a tuszę, że i ty się do tego nie posuniesz, boć na tém i powaga. i reputacya twoja szwankować będą.

— Mało dbam o obojgu. Mają mnie i tak za czarnego, mogę być jeszcze czarniejszym w ich oczach.

— Z taką mową radzęc nie odzywać się, gdy chcesz ich łaskę wyjednać.

— Łaskę nie. Gdy mi W. Kr. Mość dopomozesz, wszystko się załatwi w godny sposób. Można im coś innego obiecać, a tymczasem ja ich zostawię przy tytule starościńskim, tylko dochody pobierać będą. Sądzę, że i Denhof i Sapieha na to się zgodzą.

— Miałbym ich za wierutnych dudków.—rzekł królewicz Karol.

— Nie wszyscy są tak chciwi mamony, jak W. Wielebność. Są ludzie, co i tytuły wazą trochę—mówił Jan Kazimierz.

— To już ty sam z niemi wchodz w układy, bo ja się w to mieszać nie będę—odrzekł Król.

— Będę się starał, nie nadużywać łaski W. Kr. Mości, gdyby jednak interwencya Wasza okazała się konieczną...

— Dołożę o tem tylko Kanclerzowi, lecz jeśli on cię nie wyprowadzi z tej matni, to na nikogo więcej nie rachuj.

— Spodziewałem się tej powolności po sercu waszém — lecz Miłościwy Panie, zanim z onych starostw coś nadpłynie, dziś jestem w potrzebie wielkiej. Wiozę z sobą ludzi zacnych, wierne moje sługi, a między nimi, dwóch duchownych spowiedników moich...

— Szkatuła moja pusta. Utopiłem nawet posag Królowej... a znikąd przyplywu spodziewać się nie można tak rychło. Karol niech ci pożyczczy.

Na te słowa królewicz Karol zżymnął się, i jak-

by go co podniosło ze stołka. zerwał na równe nogi.

— A przez Bóg żywy! zkąd mniemanie, jakoby skarby jakie posiadał?

— Tak powiadają—rzekł Król, śmiejąc się.

— To oszczercy wierutni! To niegodziwcy bez czci i wiary. Żem rządny, gospodarny, że nie trwonię, bo i cóż bym miał trwonić, to już mnie posądzają... Ha to bezbożniki zaprawdę!

Mówił ciężko, a po każdym słowie sapał ze złości. zwyczajnie jak każdy skąpiec, gdy go w słabiznę ugodzą.

— Bo i cóż to ja wziąłem? A toć i połowy... ale gdzie tam czwartęj części nie było tego, co przetrwonil Kazimierz... Ale za takim, zawsze fortuna z rogiem obfitości goni, mnie zasię chleba duchownego nie przybywa, a i tego mi zazdroszczą.

Król śmiał się coraz bardziej, a ten w większą furją wpadał.

— Gdybym był tak rozrzutnym i niestałym w swoich zamysłach, jak Jego Miłość brat Kazimierz, toć bym dziś chyba rękę wyciągał, bo dla mnie synekur niéma—prędzej obca dłoń pochwyty z szczodrych rąk królewskich...

— Znowuż do mnie...—wtrącił Król.

— Czy słyszane to rzeczy — ciągnął dalej zacietrzewiony—żeby się pozbywać klejnotów i starostw, a potem gdy się uprzykrzyła sukienka du-

chowna, chcieć znowu do nich wracać. Tego zadania rozumny człowiek nie robi.

— Za czyny moje sam odpowiadam — rzekł Jan Kazimierz — i proszę Wielbności Waszój, abys ich nie roztrząsał... Raczej własne mieć należy na pieczy. Miałem dużo i rozdawałem dużo, bo taka już moja natura — lubię nagradzać tych, co mi służą.

— A toż teraz, chcesz im Miłość Wasza odbierać... doprawdy to śmiechu godne. Ot niestałość, jak pogoda marcowa. Już chyba wolę, żeby mnie miano sknerą i skąpcem, aniżeli wietrznikiem.

— Dołożę jeszcze, skąpcem nie robiącym skrupułów z cudzego grosza, bo mi Wasza Wielbność nie zwróciłaś dotąd dzierżawy z ekonomii groickiej.

— Ja?

— Tak. Chcę ją mieć, inaczej proces Waszój Wiel. wytaczam.

— A to całe po bratersku, będzie się miał świat czym budować. Dobrze, niech będzie. W tym procesie, nie na mnie spadnie hańba, bo wywiodek rachunkami i kwitami. Piękny zgotuję ludziom spektakl.

— Tak — dla skąpców, co li w skrzyni utopili swoją duszę, nie bacząc na powagę i dostojność, trzeba użyć obcego prawa, aby braterską krzywdę wydobyć.

— Dla rozpustników zasię każda droga go-

dziwa, ale nie na tom pracował ciężko, aby mój grosz oddać trutniom a podwikom sprosnem.

Król się już nie śmiał, bo go zaczęła gniewać ta kłótnia braterska. godna chyba lichego pospólstwa. a nie krwi tak przesławnej i Bóg wie na czem byłaby się ona skończyła, gdyby nie uderzył w stół dłonią z całej siły, rzekłszy:

— Satis!

I kazawszy się nieść do komnaty. rzucił im tylko tym wierszem Catulla:

Sed non videmus manticae. quod in tergo est.

Jan Kazimierz nadąsany, pojechał do swojego Nieporęta i tam w drewnianym dworcu. zamknął się ze swojemi sługi i Jezuitami, a w kilka dni potem wytoczył bratu proces na hańbę imieniowi królewskiemu.

Gdyśmy tak sprawy Marsa, zda się już pogrzebali na wieki. gdy jedni cieszyli się z tego, zacierając ręce, inni płakali gorzko, przyszła pora, że tak ci, jak i tamci, powoli zaczęli to wszystko topić w niepamięci.

Rok ten cały, przesunął nam się niby przy odgłosie wojennej surmy. przeplatany uroczystościami królewskiego wesela. koronacyi. zjazdów, sejm—zakończony bolesnym krzykiem rozpacz i zgrzytaniem zębów.

I znów zawitał nowy 1647—a co on nam miał przynieść. to różnie różni prorokowali, Jedni

wróżyli klęski straszne od Turków i Tatarów, którzy podrażnieni i widząc niemoc naszą, rzucają się całą potęgą — inni pocieszali się błogim spokojem i wszelaką pomyślnością. Inni znów przepowiadali klęski moru i głodów, jak tam komu dopisywało na wnętrzu—ale po staremu, żyć trzeba dziś, bo jutro jeszcze daleko. Co będzie—to będzie.

Zaczęliśmy też, powoli otrząsać się z frasunków i smutnych przepowiedni, i dalej używać daru Bożego. A śmiało nam się to życie okrutnie. Wiosna nasza była w całej pełni i krasie. Serce żądne miłości i uciechy.

Przykładem nam tak tu, jak i we wszystkiém—był Bzowski—już nam tak w zwyczaj weszło, aby iść za nim w tropy. A miał on niby wielki zasób tego ognia boskiego, którym obdzielał wszystkich.

Po solennęj pokucie, postach i umartwieniu. — po surowych naukach, które nam wpajał w duszę Soboniewski, zkądeśmy wyszli pokrzepieni i oświeceni, jak to się kierować na tym ziemskim padole, aby iść drogą zbożną i uczciwą, wróciliśmy do naszego dworskiego chleba.

W Bzowskim przynajmniej na pozór zdało się, że ucichły te szalone żądze, co go taką okrutną dumą zaprawiały. Stał się rozważnym, milczącym, jak gdyby skupiał się w sobie, trzymając na wodzy wszystkie porywy swojej krewkiej natury. Służbę pełnił tak, że Królowa nie mogła

się dosyć odchwalić i nazalecać go Królowi. Bacz-
nem swém, bystrém okiem obejmował on wszyst-
ko, przewidywał, zgadywał niemal myśli i z tak-
tem a rozsądkiem, każdą sprawę załatwiał.

Królowa nieświadoma obyczajów naszych, słu-
chała go, jak mentora. Czytywał nawet niektó-
rych poetów naszych, tłumacząc jój przedziwnie.
Króla radowało to bardzo i na prośbę Królowej,
mianował go jój sekretarzem.

Droga do łask stanęła mu otworem.

Powoli zacierała się niefortunna jego sława.
knaźbrnego i zuchwałego bękarta. Umiał zyski-
wać przyjaciół, nawet w takich, co go dawniej
w łyżce wody utopić radzi.

Królowa wniosła nowy ceremonjał i etykietę
dworską. Bzowski pojął je wybornie, i uczył
wszystkich dworzan, nie wyjmując Konstantego
dla którego urazę gdzieś schował głęboko. doga-
dzając jedynie życzeniom Króla i swjej matki.

A dziwna była ona etykieta. Nie pytano, nie-
roztrząsano jak dawniej skaz na człowieku, a zwła-
szcza u płci białej, ale przestrzegano pięknych
manier i gładkiego ułożenia, a gdy te były w po-
rządku przyjmowano na pokoje Królowej.

To, co Austryaczka wyrzuciła z oburzeniem,
Francuzka przygarnęła, bo oto jednego wieczoru,
na ensamblach u Królowej, których organizato-
rem i duszą był Bzowski, spotkaliśmy panią Sta-
rościnę merecką z mężem. Sprowadziła go sobie,

bo jej był potrzebny niby płaszcz, którym się wobec świata przykrywała.

Trzeba było widzieć tę parę. Pan Wypyski, nim nadszedł dzień reprezentacyi u Królowej, uczył się u Francuza ukłonów i poruszeń, a że to słyszał, iż każdy z wielkich panów, ma jakoweś przyzwyczajenie — jako jeden oczy przymruża, drugi czuprynę gładzi, trzeci brodę miętosi—inny jak pan Hieromin Radziejowski obgryza paznogie, a inny jak pan Tarnowski gryzie wąsy—tak on sobie nieboraczysko palcami po nosie przeciągał, jakby macał, czy ten nos jest jeszcze na swoim miejscu, o co nie było obawy, bo go dojrzyć mógł łatwo, gdyż sterczał mu wydatnie. W mowie zaś, że to mu było ciężko wyrazu dobrać, wziął sobie—mościwy panie.

Młodym do śmiechu, nie trzeba wiele, gdy poznano, co to za ptak, bawiono się nim, jak najprzedniejszym trefnisiem.

Pani zaś była tak pełną powagi i modestyi — a tak uważną na swoje słowa i czyny, że można ją było wziąć za ochmistrzynię.

— Cóż Krzysztofie—rzekł Bzowski—nie jestże ten świat komedya istną? Wartoż dlań lać krew serdeczną i łamać karki — wartoż się trapić ponuremi myślami, marzyć o sławie zwycięzcy, albo staczać walki z głupotą i podłością ludzką? furda! głupstwo! żyć, bawić się. Kochać, szaleć! Kochasz się już?

— A ty?

— Oh, ja kocham się na zabój!

— A tamta—a Salomeja?

— Tamta daleko—i znikła już. jak sen—to nie dla mnie ten ukraiński kwiatek—a tu tyle cudów, tyle krasy. Patrzaj na Major-damę. Czyż to nie Wenera?

— Istna Wenera — ale ma już swojego Adonisa.

— Czy mówisz o mężu, starym pedogryku, co tam gdzieś ugrzązł na Raciborskiem księstwie?

— A no już ciż to mąż.

— Z tytułu tylko mój bracie. Patrzaj! Czy dla takiej kobiety, nie popełniłbyś śmiertelnego grzechu?

— Apage satanas.

— Żegnaj się, nie żegnaj — ale dla takiej zaprzepaściłbyś się na wieki.

— Niech mnie Bóg uchwata.

— A ja go o to proszę.

I pożerał ją oczyma.

— Gdyby mi wybrać przyszło—rzekłem.—to już tę śliczną Langeron poprowadziłbym na kobierzec.

— Lubisz takie wątle trzciny—ja przepadam, gdy widzę różowe piękne ciało, gdy pod tą atłasową powłoką odczuwam krwawe tętna. Patrz — zbliża się ku nam, z tym nieznośnym Marszałkiem. Dałbym pół życia. gdybym ją choć w tańcu uściskał.

Przeszli mimo nas, lecz pani rzuciła na Bzowskiego takie spojrzenie, że omal się pod niem nie rozplynął. Źle, pomyślałem sobie, widać, że tu szatan rozkłada powoli swój warsztat i nie omyliłem się. Gdy wracała, przystąpił do niej Bzowski, powściągając drzenie i poprosił w tany. Podała mu rękę z niezrównaną gracyą i uśmiechem, co to i ośmiela, i obiecuje wiele i znikli w tłumie tancerzy.

Tańczono galarde, skoczny taniec włoski, w którym to wszystko, co w człeku, pracować musi, a nikt nie tańczył go z takim ogniem, jak Bzowski. Baronowa tańczyła z powagą pewną, i jakby przymusem — aleć i ona powaga i przymus, były to obliczone ponęty.

Pousuwało się wszystko i patrzyło na tę parę. Piękność kwitnąca w całej krasie i dojrzałości i młodzian, niby Apollo — to też zaraz pan Zabicki, że to rymem władał wyśmienicie, ułożył wierszyk, który z rąk do rąk przechodził i już o nim nie mówiono tego wieczora, jak o Baronowej de Magni i Bzowskim.

Wpadł on do mnie z rana, niosąc jako trofeum zdobytą, na wczorajszym festynie wstążkę, którą całował i ledwie, że nie połknął.

— Niech się świat zawali — ja tę kobietę kocham nad życie i posiąść ją muszę.

— Czyś ty szalony?

— No tak, jestem szalony — ale tego szaleństwa nie oddałbym za wszystkie na świecie sentencye

łbów mądrych — i jeżeli do rozumu mego gadać poczniesz, nie zobaczysz mnie więcej. Nie mam rozumu, czuję tylko taki raj, rozkosz taką a zarazem tyle strapienia i rozpaczy, żebym sobie w łeb strzelił, albo się rzucił do Wisły. Słuchaj? — rzekł, rzucając mi się na szyję — tyś mój przyjaciel, jedyny, prawdziwy — radź, co począć.

— A wszakże nie chcesz żadnej rozumnej rady.

— Chcę takiej, któraby mi moje szczęście zapewnić mogła.

— Szczęście?

— Tak — szczęście. Powiesz, że to cudza żona, że młodszy od niej. że jest niczem.

— Tego wszystkiego nie powiem.

— Że mnie nie kocha. Nie kocha mnie? A to co znaczy? To od niej! do końca życia mego z tem się nie rozstanę.

— Powiem ci tylko tyle: do czego cię to doprowadzi?

— Do szczęścia, do raj! — a potem niech sobie będzie, co chce.

— Ha niechże będzie, co chce.

— I nic mi więcej nie powiesz — ty Katonie?

— Nic.

Jak przyleciał, tak i wybiegł, jak oparzony. Wszystko u tego człowieka zamieniało się w pasyą wściekłą. Ta gdy nim owładła, nie było dlań przeszkody, nie było tamy żadnej, póki nie postawił na swoim. Tak i tu — zaczęło się najprzód od słodkich bilecików — potem wyprawiał jój se-

renady pod oknem—Włoszka trzymała go na wodzy, podsycając jeszcze bardziej ten płomień, aż i sama wreszcie opaliła sobie w nim skrzydła. Więc zlitowano się nad nim i zaczęto obdzielać czarującym uśmiechem, potem ściskaniem ręki, wreszcie wpuszczono do komnaty... a dalej to już tam tylko oboje wiedzieli.

Miłość Bzowskiego, stała się głośną na dworze. Rozmawiano o niej, niby o rzeczy tak ważnej, jak zdobycie Stambułu. Pięknej trzydziestoletniej Włoszce, pochlebiał niezmiernie ten szal młodzieńszka. Francuzki się wściekały i nazywały ją kokietą. bo każda z nich po trochu ostrzyła na niego zęby.

Pani Bzowska, mieszkała od pół roku w Warszawie. Lubo dworzec w Jurkowicach de noviter był wystawiony, i lubo Król dowiedziawszy się o krzywdzie wdowy, nagroził ją, dawszy w dożywocie wieś Fałęciec, z pięknym murowanym domem; przecież wolała mieszkać bliżej syna, nie spuszczać go z oka i mając relacją o wszystkich jego czynach.

Wynajęła sobie piękny domek u panów Radziwińskich na Nowém-mieście. Tameśmy co Niedziela czasu niesporów zabawiali się mile w gry różne, które pani umiała wymyślać. bawiąc nas i pojąc sownie, a nie obeszło się i bez tanów z na-

dobnemi sąsiadkami. które zawsze dla nas spraszała.

Bzowski matkę miłował i szanował. a bał się jój wielce. Umiała ona nim władać i trzymać go na pasku. Rozumem swym i macierzystém sercem. przenikała i odgadywała w nim wszystko. Byliśmy nieraz świadkami gorzkiej reprimendy, której syn słuchał w pokorze i przeproszał. całując po nogach — a nieraz jedno jój marsowe spojrzenie wystarczało, żeby go pohamować.

Dumę jego umiała upokarzać i ona to go głównie skłoniła, żeby się pogodził z Konstantym, nie odpychał go, ale swoją wyższością, swym rozumem i talentem starał podnieść do siebie.

Patrzyliśmy nieraz zdumieni i tu także podziwiali jego cnotę—bo w rzeczach takich, gdzieby wolał nieraz postradać łaskę królewską a postawić na swójém. przed matką uchylał głowy i lubo ze wstrętem strasznym, robił to, co ona mu kazała.

Przeprosił Platemberga, dla marszałka był z największą rewerencyą — wił się, jak wąż pod batem, byle jój nie urazić.

Niestety, nie zawsze dłoń matki okazała się dość silną, ażeby go powstrzymać.

Pewnego dnia przyniósł mi sługa od niej kartkę, gdzie prosiła, abym natychmiast przyszedł.

Była ósma, noc ciemna—wziąłem z sobą dwóch chłopców z latarniami, szablęm przypasał i pistolet za pas zatknąłem, bo pomimo milicyi marszałkowskiej i patrolów królewskich, mogłeś się spo-

tkać z bandą rozpuszczonych żołdaków. co się jeszcze wałęsali po mieście i gdy tak idę Świętojańską. wali karoca na Dziekanią — przy świetle latarni dojrzałem w niej Włoszkę z Bzowskim — odwoził ją z zamku do domu.

Hm. pomyślałem, spieszą sobie usługi świadczyć. Gdzie celował. tam i trafił. Dobrze się zdarzyło, bo tu właśnie matka do mnie kołacze.

Gdym stanął w progu, poskoczyła ku mnie i wciągnęła do izby gorączkowo.

— Czekam na was, panie Scipio. jak na zbawienie. Cóż to tam mój synek u was porabia? Nieszczęsny, oddał się rozpustnicy, co krew i życie z niego wyciągnie. I od jak dawna to się zaczęło? Mówcież mi, panie.

— No, nic tak straszego. Nie alterujcie się tēm tak pani.

— Dla niego to zgubą będzie, bo nie znacie go tak, jak ja. On się odda takięj bez upamiętania — utopi tam wszystko. Oh, ja nieszczęsna, nie przeczuwałam, nie odgadłam, że tam właśnie na dworze spotkać może taką, co mi go wydrze i zaprzepaści. I nic-że rady wasze i napomnienia nie pomogły? Ale pocóż się pytam szalona, czyjażby tu rada skutkować mogła, wydarła mi go nędznica. Straciłam syna.

— Jeszcze do tego nie przyszło.

— Ale przyjdzie. Czekam na niego już od trzech dni. Z dziesięć razy posęlałam — wymówił się brakiem czasu. Pierwszy to raz od lat wielu

stał mi się nieposłusznym. Widzisz, panie Scipio, to natura żelazna. On tak w złém, jak i w dobrém aż do dna dotrzeć musi, gdy nim serce zawładnie i wyobraźnia się zapali. Oh, trzeba olbrzyma dłoni, aby tę rogatą duszę prowadzić. Cóż ja mogę, biedna kobieta?

— Uspokójcie się pani. on was kocha i szanuje i nie nie zdziała takiego, coby wam troskę przyniosło.

— On mnie kocha, ale nie poświęci dla mnie swojej passyi, bo niezdolen zapanować nad sobą. A wieleż to już razy tak było! Gdym go odwoziła pierwszą razą do Warszawy, z kąd król miał go wysłać do starosty malborskiego, a miał wtenczas lat czternaście, spotkaliśmy w lesie bandę cyganów. Nieszczęście chciało, żeśmy właśnie w karczmie, co stała przy drodze, zatrzymali się na popas. Zatopiona w myślach nie zauważyłam, że Szymon gdzieś mi zniknął. Pora wsiadać, jego niema. Szukamy, wołamy na wszystkie strony, jak kamień w wodę. Dopiero dziad zebrzący, który siedział przed karczmą opowiedział nam, że rozmawiał tu długo z cyganami, że jedna z nich młoda i ładna dziewczyna wróżyła mu z ręki, że ta wróżba w wielką go wprowadziła radość i że potem uszedł z niemi do lasu. Rozpacz mną owładła—pobiegłam z memi ludźmi, jak błyskawica szukać go po lesie— ani śladu. Cyganie spodziewając się pogoni, prędko zmienili miejsce. Płakałam, szlochałam, nawoływałam, musiał mnie

i słyszeć okrutnik, bo echo w dal niesło moje żale i rozpacz, a nie mógł być tak daleko odemnie—nie ulitował się jednak. Znękana kilkogodzinną tułaczką po lesie, wróciłam wieczorem do karczmy. Tu rozpytałam ludzi o miejscowość—wskazano mi niedaleko Brzostów, starostwo, w którym rezydował pan Ostromecki, człek zacny — wziął moją sprawę do serca, ale nie obiecywał dobrego skutku. Jednak rozesłał ludzi jakoby na obławę. Ci po trzech dniach wrócili z niczem.

— Cóż pocznę nieszczęśliwa!

— Jedź W Pani do Warszawy — niech król wysze listy gończe, a znaleźć go przecie muszą. W mojej jurysdykcyi już go niema, boć moi ludzie i szpilkę by znaleźli. Trzeba go szukać dalej.

— Pobiegłam do Warszawy. Król wysłał listy do starostw, rządców i wójtów—mnie dodano konwój z dwudziestu ludzi i tak jadąc, rozpytując—tém bardziej, że już wieść gruchła wszędzie, ubrana w dodatki, że syna królewskiego cyganie porwali—prowadzeni po śladzie przez przewodników, dotarliśmy pod Gostyninem na bandę, w której był Szymon.

Ledwiem go poznała w cygańskim czerwonym kaftanie z pistoletem za pasem. I cóż powiesz, panie Scypio, ani me łzy, ni prośby nie skłoniły go dobrowolnie do powrotu.

— Jam przeznaczon, aby dowodzić zbrojnym ludem. Wróżba to o mnie powiedziała. Wracaj

matko, zkądś przyszła— dla mnie niema nikogo, bo ja muszę być posłuszny przeznaczeniu mojemu.

Wydobył pistolet i groził nim każdemu, co się do niego zbliży, a wreszcie oświadczył, że sobie w łeb palnie przymuszony.

Trzeba było użyć sztuki — pogrozić cyganom straszną karą, a wreszcie przekupić ową dziewczynę, której wróżba spełnić się miała nań dopiero w 21-ym roku życia.

I takem ci go wydostała.

W przeznaczonym domu Kostków pobierał nauki i miał przed oczyma najszlachetniejsze przykłady, ale i tu jego natura niespokojna i chciwa osobliwości nie dała pokoju, bo oto przywidział sobie, że trefnisiem nadwornym powinien zostać. Ledwo z czasem wybito mu to z głowy.

Cieszyłam się, że zyskał łaskę królewską—już marzyłam dlań życie spokojne i szczęśliwe. Patrzyłam, jak tam na Ukrainie dziewczę cudne, jak kwiatek oddało mu swe serce. Zdało mi się, że i jego affekta ku niej się zwróca. Miałam ją tu sprowadzić i patrzeć na tę parę nadobną—a związek to i korzystny, bo panna będzie miała posag duży, aż tu potrzeba takiego nieszczęścia!

— Wyszumi i powróci do rozwagi.

— Nie. Ale ja to rozerwę, ja to rozerwać muszę.

Widząc, że moje rady i perswazyje to groch na

ścianę. pożegnałem biedną matkę i miałem się ku wyjściu, gdy wszedł Bzowski.

— Wiedziałem, że cię tu znajdę — rzekł.—Zaczekaj, pójdziemy razem.

Był blady z zapadłemi oczyma.

— Wiem, czego chcesz odemnie, matko, ale to napróżno. Wydrzyj mi serce z piersi, któreś mi dała, to może będę inny—ale tymczasem pozostanę tém, czém jestem.

— A czémże jesteś? Głupim warchołem, którego lada podwika za łeb trzyma. Błaźnie ty! Ona już takich miała trzydziestu i jeszcze kilku mieć będzie, nim jój zęby wypadną, na co niedługo czekać — a ty w ich rzędzie jesteś kreską, numerem lichym. I tu się skończą twoje marzenia o sławie, o wielkości, które roiłeś zawdy.—rzekła, mierząc go pogardliwym wzrokiem.—I tyś moim synem? Mniemałam zawsze znaleźć więcej rozumu w tobie.

— W ten ton matko uderzasz? daj pokój. Marzenia o sławie, wielkości. Ha! ha! ha! Śmiał się dziko i gorzko, jak szatan. Sława! wielkość! Nie na naszej glebie rodzą się takie dziwa. Ten sławny i wielki, kto trzos ma pełen i używać życia umie. Kto kupczyć potrafi, spodlić się, zdradzić, oszukać, wywieść w pole frantostwem — ten dziś jest sławnym i wielkim. Zgasło na wieki w tym narodzie poczucie sławy i wielkości. Miłość ojczyzny, miłość sprawy świętej, poświęcenie, bohaterstwo i to wszystko, co kiedyś tu nazywa-

no cnotami. wysmiane i zdeptane. Nie tu miejsce dla wielkich ludzi. Mają jednego i przybijają go do krzyża, kłują szpilkami. naigrawają się z niego, aż go wreszcie i zdławią. Hańba im! przekleństwo wieczne!—wrzasnął, ciskając stołkiem, który się rozbił w drzazgi.

Cała żółć, cała gorycz i wściekłość, którą tłumił w sobie, tylko oszukując nas spokojem, płynęła z niego, jak lawa.

-- Więc co chcesz matko, abym robił na tym świecie? Chciałem, marzyłem, roiłem. że pójdę z królem — że się przyczepię do tego orła, który miał się wzbić tak wysoko, że zagrzany jego potężnym duchem cudów dokonam na świecie. Oh! i byłbym ich dokonał. Tam, tam na polu chwały w krwi wroga byłbym zmył z siebie to piętno nieszlachetne, co mi plamą na czole się czerni, tam zdobyłbym to wszystko, za czém dusza moja tęskni od pierwszego zarania młodości mojej. Dziś już przepadło wszystko. Przyszedł tłum łbów cielących, pijany wolnością, rozpieszczony wygodą, przestraszony wielkością królewskiego dzieła i podeptał je nogami. Gdy więc nie mogę być tem, czém chciałem, będę tem, czém są oni. Tak! utopię się w rozpuszcie i ohydzie, przejdę wszystkich w frymarku i nikczemności. Będę gadem, wilkiem, lisem, szalbierzem — boć czémś być muszę.

— Oh ja nieszczęśliwa!

— Nie wkładajcie na mnie kajdan, bo ja je

zerwę, choćby z dyamentu ukute były. Chciałem żyć wzniosle, chciałem piąć się wysoko — gdy mi nie dano, po ziemi pełzać będę i chłonać w siebie to wszystko, co ona ziemia dać może, choćby pomyje, choćby truciznę, takim jestem i zostanę.

— Synu niegodny!

Łzy matki zaczęły powoli ostudzać tę płomie-nistą głowę. Wiedział, że w złem zagrzazł, a prze-cież naprzekor w niem siedzieć postanowił—taka już była natura.

Po chwili przypadł do kolan matki.

— Czegoż chcesz odemnie matko? Ty wiesz, że ja do spokojnego, ślimaczego życia nie zdolny, lecę tam, gdzie mnie serce pociąga. No, prze-wróć-że moję naturę całą. Wszak jestem ci ule-gły we wszystkiem. Słucham twoich mądrych rad, poniżam się przed ludźmi, aleć nie broń mi tego, co serce umiłowalo.

— To miłość niegodna, występna—to rozpusta i ty ją porzucić musisz.

— Nigdy!

Zerwał się i wybiegł szybko z izby.

— Czasowi zostawić trzeba resztę — rzekłem do rozżalonej matki.

Wracaliśmy do domu już późną nocą posepni, nie wymówiwszy słowa. Wtém gdy już z Gołę-biej wkraczamy na rynek, mignął mi się Orze-łek, sługus pani Starościny. Prowadził on jakąś niewieścią postać zakrytą szczelnie. To ona — Jadwiżka. Co tu porabia o téj porze i gdzie idzie?

To nas zastanowiło. Kazaliśmy pozakrywać światła i szliśmy za nimi opodal. Skierowali na Mostową i znikli w jednym z domów. Zapamiętałem to miejsce i postanowiłem to zbadać.

Zapusty dobiegały kresu. a nie pamiętam tak hucznych. jak były one w tym roku. Król wyprawiał je gwoli swemu małemu Zygmuntowi. Więc bywały koncerty, gdzie kastrat niedawno z Włoch sprowadzony, wywodził trele wysoką nutą. Więc spektakla owe przedziwne na theatrum zamkowym, gdzie spiewały syreny pływające po morzu. gdzie z drzew wyskakiwały osoby w klejnotach i trefionych włosach. czarując anielskim śpiewem. Więc maskary. na których sam król bywał przebrany. Tańce. prócz naszych starych jako: *cenara. gonionego. mazurskiego.* bywały włoskie teraz i francuzkie, mianowicie owa *galarda, kontredans, gawot. girlanda* i najosobliwszy *Jean qui saute*, gdzie tancerz wybierał sobie damy na karteczkach w kapeluszu i choćby na królowę kolej przysłała. pójść musiała.

Królewicz Jan Kazimierz podąsawszy się na świat i ludzi, a mało na tém wskórawszy, wyrzwał nareszcie ze swego Nieporęta i przyłgnał całą duszą do owych zabaw i szaleństw. a szaleństwa to były u niego takie, co się nieraz kończyły sromem płci niewieściej, a czasem i czém gorszém jeszcze. jak o tém niżej się powie.

Wydziwić się człek nie mógł, gdzie w tej osobie mógł się zmieścić i jezuita, i kardynał, i księżę przemożnego domu, takie cudactwa wyprawiał — a jednakże umiał być tém wszystkiém po trosze. Taka tam zmienność w tym człeku niby w histryonie jakim się objawiała.

Muzykę lubił okrutnie. Miał przy sobie Gręboszewskiego, nieodstępного towarzysza, który mu na skrzypcach wygrywał.

Ółtarzyk przenośny i dwóch jezuitów dla praktyk religijnych musiało być zawsze przy nim — po zabawie, po szaleństwach następowało nabożeństwo.

W tarapatach jego pieniężnych pomogła mu Jadwiżka, a dowiedzieliśmy się o tém z ust Konstantego, który się przed nami pochwalił.

Królowa zaczęła z nim coraz częściej przestawać, radzono to tam na cztery oczy Bóg wie o jakich sprawach. Francuzka lubiała wszystko wiedzieć, do wszystkiego się mieszać, a tu król po porażce sejmowej sposepniał okrutnie i stał się małomównym a zamkniętym w sprawach państwa, zajęty li synem swoim i zapustnemi uciechami.

Skończyły się i one wreszcie, nastąpiła pokuta a dla niektórych gorzka i bolesna.

Zjechał temi czasy Baron Magnus, mąż pięknej Włoszki, zarządca księztw małego królewicza, Raciborza i Opola, wezwany przez króla, aby małego Zygmunta obznajmiał ze sprawami jego

ziem dziedzicznych i uczył go sztuki rządzenia.

Przypatrywaliśmy się i podśmiewali tego niefortunnego męża, co go Bzowski ubrał tak ładnie. Niemiec zda się nie zważał na te wszystko, co się w około niego dzieje. Grzeczny zawsze i pełen miłych dla każdego komplementów. Zajęty interesami, czynny o ile mu pozwalała pedogra, pełen dobroduszości i zda się najśłodszego charakteru. Dla pani swojej służka najniższy. No, mówiliśmy sobie: temu i kołki na łbie ciosać można, a pewnie gniewać się o to nie będzie. Jakoż w istocie Bzowski ani krztynę nie przestał swych amorów, chwając się niemi głośno. Niemca wydrwiwał w żywe oczy, a myśmy mu w tém dobrze pomagali. Aż naraz gdzieś nam się zaprzepaścił. Mija jeden dzień, drugi, trzeci, mija tydzień, Bzowskiego niema. Królowa każe się o niego dopytywać. Biegnę do matki—jak kamień w wodę. Zabity! zgubiony! My do Niemca—ma jak najpoczciwszą minę i pyta zdziwiony, czego chcą od-niego. Pani tylko nie pokazuje się na pokojach. Bzowska z płaczem i lamentem biegnie do króla—błaga, prosi, aby uwięzić Włoszkę, co jej syna zgubiła, aby przytrzymać Niemca skrytobójcę. I gdy alarm się robi coraz większy, odbieram karteczkę, w której ręką Bzowskiego wyczytuję te słowa: „Spadłem z konia i zwichnąłem sobie nogę. Leżę już od tygodnia u doktora Bekera.“

Pobiegliśmy tam z matką. Znaleźliśmy nie człowieka, ale Łazarza, rozciągniętego na łożu. Nogę miał obandażowaną, a trzymał ją wyciągniętą na stolku, ale miny był całę wesołej i humoru miłego.

— Chłopcze okrutny,— rzekła matka,—zawszeż tyle zgryzot i kłopotu mieć będę z tobą? Czemuż nam znać nie dałeś o sobie?

— Bah, gdybym to mógł, aleć ja nie wiedziałem, co się ze mną dzieje—przyniesiono mnie tu omdlałego. bez życia. Doktor Niemiec nie wiedział, ktom ja taki, ani ludzie nic mu o mnie powiedzieć nie mogli.

— Boże mój. jak ty wyglądasz nieszczęsny. Gdzie ci dolega? Czy to złamanie takie straszne?

— Nie dotykaj mnie matko. Zakazano mi najmniejszego ruchu. Noga była zwichnięta — a to gorsze daleko, niż złamanie. Posty i mixtury, któremi ten Niemiec trapi, wyniszczyły mnie tak straszliwie, ale zaczynam przychodzić do zdrowia i za parę dni będę na nogach.

— Opowiedz-że mi synku, jak i gdzie się to stało? Któryż to koń niecnota, że cię tak haniebnie poturbował? Ciebie — takiego dzielnego jeźdźca?

— At, co tu gadać, najlepszemu to się zdarza. To mój ogier skaro-gniady, com go z Ukrainy przywiózł. Dzika bestya, trzeba z nim dużo pracy zażyć, nim się ustakuje. Złakł się baby, co mi drogę z wiadrami przeszła.

— Ależ ten ogier od dwóch miesięcy stoi na stajni w Ujazdowie,—rzekłem.—Zkądże ci się zachciało na raz go sprowadzać?

— A no tak, zachciało mi się. Co tam rozprawiać o tém — zło się stało i trzeba za nie pokutować.

Coś mi się w tém wszystkiém. wydało niejasnego. nieprawdopodobnego. Nie chciał o tém rozmawiać, mieszał się. Raz mówił, że upadł nad Wisłą, drugi raz, że na Nowym świecie. Matka nic zeń wycisnąć nie mogła, bo zaraz kierował rozmowę na inny temat.

Weszła do izby młoda, ładna Niemeczka, córka doktora, niosąc mu napój.

— Ot, to mój anioł opiekuńczy — rzekł Bzowski.—Matko, podziękuj téj panience, bo gdyby nie ona, nie oglądałabyś syna.

— Co téż mówicie — gdyby nie ojca umiejętności. Cóż ja wam pomódz zdolna?

— Leki zrobiły swoje, a wy swoje, nadobna panno Elzbieto. Niechby wszystkim chorym, takie ręce podawały lekarstwa, pewnoby nie umierało ich tylu.

— Komu pora do śmierci, tego nikt z niej nie wykpi. U was zasób życia i młodości. Staryby po takich ciosach, dawno gryzł ziemię.

— Jakież to ciosy, spadły na ciebie mój synu?

— A no, chyba ciosy z oczu panny Elzbiety. Czy uwierzysz Matko, że widząc codzienną jej opiekę nad sobą i tę troskliwość anielską, pra-

wie zapomniałem nieraz o bólu, co mnie szarpał, i dziękowałem Bogu, że tu pod dachem takim.

Matka dziękowała czułem słowa Niemkini, która się czerwieniła tylko i wypraszała, jak mogła—a przytém przyrządzała mu napój, studziła, cukrzyła. pytając, czy nie zagorący lub za zimny—słodki czy gorzki—czy poduszki nie zawysoko—czy mu leżec nie twardo...

Matka się podśmiewała, z lekka trącąc mnie lokciem. że to krom troskliwości i inne jeszcze rzeczy w grę wchodzą.

Rozmawialiśmy, żartowali. O dworze, ani o żadnej jego rzeczy, nie było wzmianki. Zostawiłem matkę z synem i wróciłem do zamku. Baron Magnus z swoją Magnifiką, już był wyjechał do Opola—zostało się o nich wspomnienie tylko i to niedługo się zatarło.

O prawdziwej przygodzie Bzowskiego, dowiedziałem się w miesiąc dopiero, od panny pokojowej, co była niegdyś u Włoszki.

Oto Baron Magnus, z mądrym bratem swoim brudną eminencyą, co w gwiazdy patrzyła. uradzili, aby Bzowskiego złapać cichaczem i obić mu dobrze skórę—jejności pogrozić surowo a potem ją ztąd wywieźć. I jak uradzili, tak zrobili. I jednej, i drugiej stronie zależało na tajemnicy, więc jej dochowali święcie. Bzowski się nacierpiał za one rajskie słodycze, bo okrutniki Niemcy plag nie żalowali. ale się potem wylizal i już nie gwałcił dziewiątego przykazania.

Król temi czasy udarował go Starostwem urzędowskiem, a Królowa zapagnęła gwałtem ożenić z swoją faworytą, panną de la Mariniere.

Pan Starosta merecki, zajrzał pewnej nocy do sypialni swęj Jejmości i zobaczył łoże próżne. Obszedł cały dom i nie znalazł jęj nigdzie; a że nie dowierzał ani służącym, ani swemu pasierbowi a chciał się czegoś pewnego o tém dowiedzięć, więc po długich deliberacyach, zem to ja dla niego więćej był przychylnym od innych, udał się do mnie.

Dworskie życie zaczęło go oszołamiać powoli. Stąpał tu, jak po rozżarzońych węglach, do tego drwiny, jakie go ciągle spotykały a nawet i szturchańce, onięsmielowały do tego stopnia, że nie wiedział, co z sobą począć. Nie pomogło i macanie się po nosie i owe „mościwy panie“—zawadzały mu ciągle to ręce, to nogi, broda. głowa. Kilka minut czasem trzeba było, nim się wychrząkał. wykaszlał i słowo jakieś wreszcie wykrztusił.

Stanał on raz przedemną zmięszany, zaturbowany i chrząkając, pokasłując, rzekł:

— Powiedzcie mi... tego... Mościwy panie Scipio... czy tego... ten... czy to być może...

Spieszyło mi się, więcem go z góry nabrał.

— Mówcie prędko i zwięźle panie Starosto, bez żadnych dodatków—bo nie mam czasu. Chciałem odchodzić. lecz chwycił mnie za rękę.

— Zaraz tego... proszę was uprzejmie... chwileczkę.

Popatrzałem nań — miał strasznie markotną minę.

— Powiedźcie mi... czy to być może... żeby moja Jejmość... tego... ten...

Nie mógł wykrztusić i nie dziwiłem się wcale. można się takimi słowy zadławić.

— Że bywa w nocy... tego... w zamku.

— Boże uchwaj. Zkądże to waści przyszło?

— A bo jej w domu niema.

Przez miejskiego sługę, miałem zdaną relacyą. kto to w owym domu mieszka, który Pani Starościna w nocy nawiedza. Na dole od frontu. mieszka płatnerz — od tyłu kapelusznik. Na górze kupiec ormiański, a wyżej nad nim Imć Pan Friedrich Steinbock, porucznik z Regimentu dragoonów królewskich — Niemiec, sprawujący urząd instruktora.

Opowiedziałem to panu Staroście, i kazałem mu zgadywać, do której z tych person, pani Starościna chodzi z wizytą; do płatnerza. do kapelusznika, do ormianina, czy do porucznika.

Poczerwieniał cały. jak pons — potem zatrzęsł się czy ze złości, czy z alteracyi. wreszcie tupnąwszy nogą tak, że się wszystkie szyby w oknach zatrzęsły, ryknął:

— A niech ją najsiarczystsze pioruny spalą!

I tu mi się podobał po raz pierwszy.

Flegmatyczny temperament tego człowieka, był

niby podobny do zatęchłego bagna, co to cuchnie już zdaleka i ludzie go omijają, ale naraz owe bagno zaczyna palić się. Tak i on palił się w tej chwili i sapiąc tylko z wściekłości, wyrzucał z siebie powoli ale dobitnie, takie mianowicie słowa:

— Zabiję szelmę! Dosyć mi już tego chleba dworskiego, który mnie dławi. Dosyć mi już starostwa, zaszczytów i urzędów, które mnie palą, niby ogień piekielny. Zwałam się dla tej bestyi, bom był głupi, jak ostatnie bydłę. Upoili młodego obietnicami łask wielkich i dostojęństw— i czyste nazwisko szlacheckie zaprzepaściłem. Ho, ale teraz wara tej nędznicy! Jeżeli myśli, że dalej będę jej służył za płaszczyk, pod którym wszystkie brudy chować będzie, to się omyli grubo. Zabiję! Klnę się na mój klejnot, zabiję!

Zacząłem go uspokajać, bo coraz więcej ciekawych nas otaczało — nic to nie pomogło — dopóki cały war, co tam gdzieś na dnie duszy się smażył, nie wypłynął z niego potokiem, nie dał przystępu do siebie. Radowałem się w duszy, że i w takim przecie stworzeniu, odnalazła się ludzka struna.

— Bo wy nie wiecie, że ja tak sobie, ot mizerne stworzenie boże, mam także odrobinę animuszu. No, byłem głupi — prawda — aleć z czasem człowiek na oczy przejrzeć musi. I po co mi było tego? Wziąłem fortunę po ojcu, że i Senator mógł mi jej pozazdrościć. Pan Bóg nie dał wiel-

kiego rozumu. to prawda, a błyszczyć się chciało na świecie... no i wlałem w błoto! Ale dzisiaj poznał, co to one błyskotki warte. Nie chcę ich, niech przepadną! Wracam do moich Wypych, tylko wprzód zabiję tę nędznicę.

Żal mi się zrobiło biedaka — wziąłem go pod ramię, jeszcze całego drżącego i miotającego się, i zaprowadziłem do mój izby.

Gdy ochłonął, począłem mu powoli wykładać sposób, w jakiby można Jejmość ująć na gorącym uczynku... Radziłem, aby nie dawszy poznać po sobie niczego, śledził kroki swój magnifiki, potem aby wypytał się dobrze, co za zacz ów amator, który mu miód podbiera — a przekonawszy się dokładnie, najprzód z nim się rozprawić, a następnie z Jejmością.

Słuchał mnie uważnie i obiecał sprawę poprowadzić gładko, a pocił się człowieczysko, niby pod wielkim ciężarem, jakim mu włożył na barki, a ścisnął za nogi i całował, nazywając swoim pocieszycielem i dobroczyńcą. Nie wiedziałem, że tak tanio tego tytułu mi nabyć przyjdzie i pocieszałem się, że człowieka z błota wyciągnął:

Tymczasem inna nam się gotowała niespodzianka.

Królewicz Karol Ferdynand, chcąc niejako zatrzeć w pamięci zatarg z bratem i postawić się dobrze w mniemaniu ludzkim, postanowił w swojej Jabłonnie, dać wielki festyn, na który sprosił

dwór cały i panów koronnych, co ich bawiło w Warszawie.

Sknera, krzywił się i stękał, Król musiał mu pomódz swoją szkatułą, i jakoś poszło gładko i składnie, a nawet wspaniale.

Był Maj piękny i pogodny—puściliśmy się Wisłą na statkach ubranych cudnie. Król z synem, Jan Kazimierz, Marszałek. Kanclerz, Podskarbi, Podkanclerzy, Krajezy. Bzowski, Pac, Platemberg, Żabicki, Ryłski, Denhof, Oświęcim, Ubysz i inni już nas wyprzedzili przededniem. My z Królową i całym fraucymerem, wyjechaliśmy dopiero koło południa. Byliśmy niejako strażą honorową przy niewiastach, mianowicie: Pan Tarnowski, Pan Radziejowski, młody Ossoliński, Gniewosz, Tęczyński i ja.

Ossoliński komenderował całą wyprawą. Nie wiedzieliśmy nic, jakie nas czekają cuda.

Najprzód przed samemi Bielanami, ni ztąd ni z owąd, zaczęli nas zaczepiać flisacy i chłopci, żądając myta i grożąc zuchwale, że nas nie puszczą dalej.

Skonfundowało nas to trochę, i nie jeden już się po szabli pomacał. Kobiety zaraz w trwogę. Ba! aż tu przyglądamy się dobrze, a to pan Denhof przebrany za chłopca, dalej pan Majdel za poborcę, pan Żurawski, pan Piwnicki za flisaków. Co u paralusa, ale i między nimi są prawdziwi chłopci, którzy krzyczą jeszcze głośniej i zuchwalej, a przybywa ich wciąż jak mrowia, tak, że już

wreszcie trudno odróżnić, który tu chłop przebra-
ny, a który prawdziwy.

Ha, radzi nie radzi, opłacamy się i płyniemy
dalej.

Dobijamy do kępy, niedaleko Jabłonny, a tu
jak się nie wysunie chmara dzikich ludzi, o czar-
nych twarzach. Powskakiwali do łodzi — łupu,
cupu zabrali nas w niewolę.

Krzyk, gwar, śmiech. Królowa patrzy zdziwio-
na i nie wie, o co chodzi, ale się śmieje z innemi.
Chłopi za nami jadą z tyłu, niektórzy wyprzed-
zają, aby nas oskrzydlić i odbić onym czarnym
rozbójnikom. Zaczyna się walka — a wtem
i brzegi Jabłonny widne, a na brzegach kto? Sa-
me chłopstwo. Mężczyźni, kobiety wszystko
w świątecznych strojach. Podpływają ku nam,
wydzierają czarnym i uprowadzają na ląd.

— Kto wy tacy?—pyta Król w chłopskiej suk-
manie, w której mu było prześlicznie.

— My, Królowa Polski — odpowiada Osso-
liński.

— A my Król kmiotków i pasterzy, kto do nas
w gościnę, musi i nasz ubiór wziąć na siebie.
Jak wam wola—albo z nami—albo was oddamy
onym czarnym, i nie puścimy do naszej zagrody.

— Z wami, z wami, miłościwy gazdo.

Dopieroż owe chłopki, któremi nie był kto
inny, jak pani Kanclerzyna, pani Krajczyna, Mar-
szałkowa, Podskarbina, wzięły Królowę i nasze

damy między siebie i poprzebierały je w wiejskie suknie.

Zaczęła się zabawa.

Przy muzyce wiejskiej, rozpoczęły się tany wieśniacze.

W lesie po nad Wisłą, zbudowano domki i szalasy, w których zastaliśmy wszystko. ptasiego mleka chyba nie dostawało.

Ale że to zawsze bywa na świecie, iż uciecha wszelka, kończy się smutkiem, tak i tu nam się zdarzyło.

Pan Tarnowski, Starosta krzepiski, miał ładną żonkę, a fertyczną wielce i lubiącą zerkać figlarnie. Sam był nieborak natury melancholicznej, a zazdrosny okrutnie. Dyabeł nadał, że Jejmość gdzieś się zawieruszyła. Dawajże szukać, pytać. Zjawiała się nareszcie z Bzowskim. Rzuc ognia na zazdrośnika. Na Jejmość powstał po-pędliwie, a Bzowskiego zelżył od ostatnich słów. Ten mu się tłumaczy, że tylko co ją spotkał. Nie — kiej jesteś, włóczykij!... Bzowski wyzwał go na rękę. Dopiero Majdel z Żabickim, wzięli go na stronę i wręcz mu powiedzieli, że kto inny był z Jejmością w szalasy, i jeżeli potrzeba zaprzy-siądz. są gotowi.

— Więc kto? kto? — pyta wściekły.

Nie chcieli mu powiedzieć, rozjędyczył się coraz bardziej — wtém przybiega niefortunny Platemberg, szukając królewicza Jana Kazimierza i pytając, czyśmy go nie widzieli.

— Był tu przed pół godziną — odpowiada Mejdell.

— Eh, tańczył z panią Tarnowską — mówi Platemberg.

Majdel na niego mruga, a ten swoje.

— Potem gdzieś się nam zaprzepaścił, — kończy.

Nie trzeba było więcej. Mąż nieborak, tak odczuł to głęboko, że w melancholją się pogрузzył coraz większą, i w tydzień coś, rano wstawszy, pacierze odmówiwszy, w łeb sobie strzelił z pistoletu.

Zwarzyło to nas wszystkich. bo człek był piękny i lubiany powszechnie, a krom tej jednej brzydkiej wady zazdrości, nikomu wody nie zamącił. Gadano o nich różnie—że nie było szczęśliwego pożycia; że pani zachciewało się wielu rzeczy, których Jegomość dać nie mógł. Dzieci z sobą nie mieli.

Ksiądz Wydźga, grzmiał potężnie na ambonie, i wymierzał pociski wprost w serce królewicza. Przycichły zabawy i uczty a powaga i spokój zapanowały na dobre.

Zapomniałem był już o panu Wypyskim i jego znacznej połowicy, gdy na raz spotykam go na pokojach królewskich z gęstą miną. Szedł dziękować Królowi, za nowo otrzymany urząd Mostowiczego mereckiego. Choć jako żywo nigdy

tam urzędu takiego nie było, przecie go ustanowiono dla niego.

Tyle się na raz wypadków zważyło gromadnie, tyleśmy przeżyli przez tę parę tygodni, bo to i uczyty, i pogrzeby, i ludzkie głupstwa, że nie tylko Wypyski mógł wyjść z pamięci.

Gdy mnie zobaczył, zmieszał się nieboraczysko trochę, ale po chwili nadrobił miną i pomacał się po nosie.

— Witam pana Starostę.

— Ha... tego... czołem Wasziność panu.

— Cóż tam nowego?

— Ha no... dobrze... tego.

— Dobrze—to chwalić Boga.

Popatrzałem nań zdziwiony, bom się spodziewałem czego innego, gdy mi żywo stanęła owa sroga lamentacya jego. On też zaambarasowany, z nogi na nogę przestępował i chrząkał—nareszcie zbierając się na odwagę, wziął mnie poufale pod rękę i poprowadził ku oknu.

— Bodaj was... tego... panie Scipionie... ten... takiegoście mi strachu nabawili.

— Ja? a to jak?

— A no ten... z waszém podejrzeniem... Byłem tam... tego... To nie żaden porucznik, ale baba Znachorka, lekarka znamienita, do której Jejmość w swoich defektach zachodzi.

— A dobrzeście się przyjrzeni owój babie, panie Starosto?

— Ha no tego... jakże... co baba, to nie porucznik.

— Dyabeł nie spi.

— Eh. franta... tego... z was kawał. Ale co tam!... Zachowajcie to przy sobie... tego...

— Bądźcie spokojni. U mnie to, jak w studni.

— Bo widzicie ten... języki ludzkie.

— Ale, wiem, wiem. Niech Pan Bóg broni.

— Bóg zapłać. . Poczciwy z was tego...

Uścisnął mnie zacny Starosta, i wybiegł szczęśliwy. pochrzając, z łbem do góry.

Coraz brzydszym i głupszym, wydawał mi się ten świat cały. Jeden na płonne podejrzenie w łeb sobie strzela, a drugiemu na nosie położyć i nic wcale nie zobaczy. Niech was kaci! Żałowałem tylko, że mimowoli wdeptałem w to błoto. bo Jadwiżka mogła na mnie poszukać pomsty.

Sprytna niewiasta zwąchała wszystko, bo pan Wypyski, nie umiał utaić dobrze tego, co mu na wewnątrz siedziało, resztę Orzełek wymacał i tak się urządzili sprytnie, że zamiast porucznika, podsunęli mu babę—istnie jak w mięsopuście.

I tak płynęło nam to życie. Jednym zabawą, drugim z bólem, innym troską i rozpaczą. Mnie zasię amor skrzydlaty bódł strzałą srogo, aż powoli, powoli czarne chmury gromadzić się zaczęły, a w dali groźny piorun posępnie mruczał, ale jeszcze doń daleko—jeszcze, nim ona burza się zwali. przyjdą dnie ciszy, ponurych smutków i goryczy, a tymczasem kochajmy się i pustujmy.

Panna Hrabianka Eugenia Mariniera, było to śliczne szesnastoletnie dziecko. Figlarne, jak kocię młode a rozumne i dowcipne. W rok niepełna, nauczyła się po polsku i szczebiotała nam tak mile, żeśmy się rozplywali. Ujmowała wdziękiem wszystkie serca. Sprytem odgadywała ludzkie słabości, i czytała w człowieku, niby w książce. Ot, mówiliśmy, to mi żona dla niego!

Bzowski kawaler oszlifowany, pełen poloru, gładkości i taktu — powoli zrzucił całkiem już dawną skórę. Pan Starosta urzędowski, Sekretarz Królowej, mając niepełna lat dwadzieścia — zadziwiał powagą i godnością. Traktował już ludzi, wedle szali zasług i dostojenstwa. Sam będąc dostojnikiem, przestrzegał ściśle onych światowych względów i nosił się z pańska.

Królestwo oboje, obiecywali suto wyposażyć młodą parę. Król krył się z zamiarami, ale snać one bardzo wysoko sięgały — myślał go adoptować, nadawszy mu herb nowy i udarować dobrami, a potem śmiały mu się senatorskie godności, żeby to Francuzka, nie skarżyła się, iż zaślubia hołysza.

Młoda para była przedmiotem adoracyi, uznawano ich głośno, jako narzeczonych. Bzowski z całą galanterią światową, towarzyszył przyszłej swej małżonce w uroczystościach dworskich, poskramiając nie raz jój żywość zbyteczną i naginając do polskich obyczajów.

Obiecywano widzieć go kiedyś panem całą gębą i wszystko się na to składało.

Za to drugi bękart królewski, ugrzązł pokojowcem i pokojowcem miał zostać całe życie i to całe pośledniego gatunku. Tęj grubej natury prócz pochlebstwa, złościwości i nałogów szpetnych, nie się więcej czepić nie mogło. Kobiety wysmiewały go głośno, bo raził bestya prostactwem nieznośném, i nie nazywano go inaczej, jak głupi Kostuś.

O ile Bzowski rósł potężnie, o tyle głupi Kostuś spadał coraz niżej. Pijaństwo, kosterstwo i rozwiozłość, to były specyały, dla których się jego mózg wysilał. Przynoszono go do domu pijanym z brudnej szynkowni, lub zamtuza z guzem na łbie i w podartej odzieży — mimo to Król nie tracił nigdy doń serca i całą godzinę nie raz z nim zamknięty, prawil mu reprimandę i nauki moralne wykladał. Litość nas brała, patrząc na to zaślepienie ojcowskie—przrzekał poprawę a potem znów właził w błoto. Do Bzowskiego pałał zawsze skrytą zawiścią i dyszał zemstą. Bał go się i nienawidził okrutnie.

Złote serce królewskie rade było szerzyć wszędy miłość i zgodę. Gdy mu się pożegnać przyszło, z najdroższą myślą całego życia, która nieśmiertelnym blaskiem miała opromienić jego czoło, pragnął teraz przynajmniej zostawić po sobie wspomnienia czynów bezgranicznej miłości i dobroci. Rozdawał też szczodrobliwie wszystkim—

fundował klasztory i uposażał je hojnie — zaprowadził pocztę, budował gmachy i pomniki — uposażał szkoły, wspierał wszelką nędzę i nikt z proszących, bez pocieszenia nie odchodził.

Zdarzało się teraz, że dziwne sny poczęły go trapić, a nawet na jawie mary nawiedzać. Nieboszczka Królowa kiedyś stanęła przy jego łożu i wskazała na uśpionego przy nim małego Zygmunta, a miała w ręku koronę z róż białych, i chciała go nią wieńczyć. Król się przeżegnał i począł krzyczeć przeraźliwie, pobudziwszy śpiących przy sobie dworzan. Innym znów razem zobaczył postać w krwawych szatach z przebitą pierśią, wydającą jęki i przekleństwa. Często o północy słyszał jakieś pukanie gwałtowne przy swém łożu, zrywał się i budził nas wszystkich, abyśmy patrzyli i szukali.

Za nieboszczkę odprawiały się ciągle solenne modły, a sny wykladała brudna eminencya, a wykladała je ku pocieszeniu pańskiemu z dobrą wróżbą, bo powoli zacierały się w pamięci a zdrowie i ochota wracać zaczęły. Ale sny owe, były przeżuciem jasnowidzącej duszy. W snach owych, kryła się przestroga, której lekceważyć się nie godzi.

Wybieraliśmy się na polowanie do Starozrębów, w województwo płockie. Król się ubierał w strój myśliwski, i podkpiwał wesoło do szatnego.

— A co Sebastyanie, sadło się gdzieś podziało,

ubranie wisi na mnie, jak na patyku. To sejm ostatni zjadł wszystko.

— Bo...daj się u...dła...wili.

— Ha no, to już tak mój stary, jeden drugiego zjada na świecie, a Króla jedzą wszyscy.

— Eh... jeszcze... miłościwy panie... wy...star... czy... na długo...

— Do jedzenia? Twardym. Na kościach moich zęby wprzód połamię.

Ziemia, że to jeno zawsze czekał okazji, aby swoje trzy grosze wsadzić, a wynicować wszystko, wziął sobie asumpt z owego królewskiego schudnięcia i prawi:

— Teraz to Miłościwy panie, wsiąść im na kariki warto a dusić. Sadło zjedli, ale animusz i energia zostały. Trapiła się Wasza Mość Królewska, zbytęcną tuszą, jak to przyjdzie dosiąść konia, i poprowadzić rycerstwo. a toć dzisiaj, najbystrzejszemu biegunowi, na grzbiet byście skończyli.

— Popróbujem. Platemberg podasz mi karego hestra.

— A to oni miłościwy panie — prawil dalej — na Waszę Królewską Mość zapatrzyli się wszyscy, i na gwałt zapuszczali brzuchy, teraz gdy się obaczą, że chudość weszła w modę, gotowi na łeb na szyję spadać z cielska, i teraz to zatrąbić pobudkę warto.

— Przyjdzie ono jeszcze mój Ziębo, przyjdzie.

— Niechby przyszło a rychło miłościwy panie, bo Sebastyan znowu gotów przeszywać haftki.

I śmieliśmy się wszyscy.

Wtém, jak gdyby grom z pogodnego nieba, co się śmiało słońcem jasnym, wpada do pokoju pani Przyjemska z płaczem wielkim, że królewicz umiera.

Król pobladł strasznie i zatrząsł się, jakby nim wichur jakiś targnął.

Porwał się, wpadł do sypialni dziecka, kiedy wydawało już ostatnie tchnienie.

— Zygmuncie! — krzyknął przeraźliwym głosem, biorąc dziecię w ramiona—Synu!

Dziecko chwyciło go silnie za szyję, jakby ratunku prosząc.

Medycy stali zrozpaczeni i bezmowni.

— Niema ratunku? I teraz dopiero przywołaliście mnie bezduszni!

— Choroba rozwinęła się szybko okrutnie—rzekł Conradi, lejb-medyk Królowej.—Wszyscy trzej—tu wskazał na Krafta i Littowa—czuwamy od północy. Daliśmy na poty, przyłożyli synopizma, wymioty. Wszystko, co sztuka nasza i wiedza dać może, robiliśmy. Wezwano nas zapóźno.

— Zapóźno! i mnie tu nie było—krzyczał Król. Oh, dusze z kamienia. I nic-że go już uratować nie może? Nic?

Płacz i jęki kobiet przeraźliwe.

— Oh, synu mój najdroższy! Synu! Czy ty mnie słyszysz jeszcze? Oh, pociecho moja jedyna.

Przemów choć słówko do ojca! Dajcie mu napój jakiś, coby mu ulgę przyniósł. Czyż nie widzicie, że on się dusi. Ramionami ruszacie? Przekłęci wy i cała sztuka wasza.

Dziecię dusiło się straszliwie, przewracając oczyma, nie mogąc słowa ani jęku z gardła wydobyć a twarzyczką całą prosił jak gdyby zmiłowania, a rączką coś wskazywał, czegoś pragnął — czego nikt pojąć nie mógł. Wreszcie opasywał Króla rączkami coraz silniej.

— Boże wielki! Gdzieś ty?... Czy tam zgasło już miłosierdzie? Czy nie masz już odrobiny, dla nieszczęśliwego ojca. O pocieszycielu! spraw cud jaki, coby mi syna powrócił.

Ale cud się nie spełniał, Zygmunt oddał Bogu ducha. Ciało bezwładnie wysunęło się z objęć ojca: legło na poduszki.

Król padł przy zwłokach dziecka z jękiem strasznym.

Staliśmy zdrętwiali w obec majestatu tarzającego się w pyłe, przed oną straszliwą potęgą, co światy wali. Król nie mógł się podźwignąć — podnieśliśmy go i posadzili w krzesło. Siadł złamany, zapatrzony w ukochaną twarz syna.

Królowa z Janem Kazimierzem i dworem swoim, tylko co wrócili z Nieporętu, rozbawieni, weseli, gdy we wrotach zamkowych, spotkali się ze śmiercią.

Weszli do komnaty. Królowa zbliżyła się, chcąc coś przemówić, lecz król skinieniem naka-

zał spokój. Nic nie widział, nie chciał widzieć w około siebie. tylko trupa swego ukochanego dziecka.

Przesiedział noc całą i my przy nim. Na drugi dzień, nie chciał przyjąć posiłku. Padliśmy przed nim na kolana, błagając, aby pomniał o sobie.

— Oto wszystko, co było moje—rzekł ze łzami, od których nam się serce krajało.—Dziś jestem najbiedniejszym z żebraków. Oto moja дума, moje skarby, moje wszystkie uciechy, dla których potargałem ambitne żądze. Oh, gdybyś ty mi zmarł był wcześniej, byłaby Polska widownią wielkich czynów. Ustąpiłem zgrai, dla ciebie — a tyś mi odszedł. I jestem podwójnie pokrzywdzony, okradziony, znicestwiony. Ha, niechże się po nas świat zawali!

Na usilne prośby nasze, dał się zaprowadzić do swych pokoi.

Kazał wezwać Marszałka.

— Ogłoś, że tron polski do wzięcia, niech myślą o nowym panu, bo i ja niedługo ustąpię, potem się przygotuj do podróży. Odwieziesz niedoszęłego króla do grobów naddziadów do Krakowa. Nie ma mnie dla ludzi, dla świata, żyję z Bogiem.

Skinął ręką — i my wyszliśmy z komnat, zostawiając go samego zamkniętym.

Oplakane dni przyszły—ale czyż one mogły się

równać z temi, które dopiero przyjść miały. W strapieniu powiada sobie człowiek: będzie lepiej—aleć ono lepiej w stokroć gorsze idzie.

Brak nam było okrutnie tego ślicznego pacholecia, które było całą pociechą, całą nadzieją ojcową. Pustka, smutek, żałoba zapanowały na tak niedawno jeszcze śmiejącym się i pustującym dworze, którego on był duszą. To też kąt każdy go nam przypominał i żal nas brał wielki. Mała trumienka, zamknęła na wieki te wszystkie pociechy i skarby królewskie. Odwieziono ją na Wawel krakowski.

Król nie pokazywał się i o niczem wiedzieć nie chciał, jakby z tą śmiercią syna zaprzestał wszelkiej styczności ze światem.

Otworzył się wakans polskiej koronie, zawczasu poczęły się zabiegi, jak gdyby Króla już na marach widziano.

Królewicze pogodzili się z sobą, a Jan Kazimierz zaczął się nawet po polsku nosić i skarbić sobie łaski narodu. Ale naród pamiętny spraw jego, całkiem o nim nie myślał. Zaczęły się już wiązać frakcye przeróżne i stronnictwa. Przebąkiwano o Francuzie lub Niemcu jakim, którego panowie forytować myśleli.

Królowa tajemnymi listy i poselstwy gromadziła sobie stronników, na wypadek śmierci królewskiej. Zakipiało jak w ulu, tylko w pokojach pańskich zaległa cisza wielka.

Po paru miesiącach wreszcie, Król blady, wy-

nędzniały. postarzały o lat dziesięć. oparty na lase. pokazał się na sali audyencyonalnej. Kanclerz oczekiwał z pliką zaległych spraw, a do drzwi pańskich kołatała moc wielka supplikantów i interessantów przeróżnych, a między nimi kołatał człowiek zrozpaczony, milczący, zapatrzony w ziemię, mrużący niekiedy pod sumiastym wąsem, lub zgrzytający zębami — był to Bogdan Chmielnicki, zdegradowany konstytucją sejmową z owego pisarstwa i przyszłego hetmaństwa siły morskiej, na zwyczajnego czechryńskiego setnika, pokrzywdzony, zbatożony, więziony przez Czaplńskiego, lichego podstarostę — przybiegł prosić łask i zmiłowania.

Król odsunął wszystkie sprawy i kazał wpuścić kozaka.

Wszedł Chmielnicki. przypadł Królowi do nóg. potem się podniósł. wyprostował i popatrzył na Króla, jakby przerażony.

— Nie poznajesz dawnego Króla — panie Chmielnicki? Tak to czas z nami igrzysko czyni.

— Nie czas to miłościwy panie. nie czas. boć jeszcze roku niema, jakem miał to szczęście widzieć tu oblicze wasze, ale ludzie, ludzie sprawili, że ten ciężar smutku i zgryzoty zwalili na wasze barki. Oh, bodaj im potępienie wieczne!

— Kogóż to przeklinasz niebaczny? — przerwał Kanclerz.

— Tych wszystkich wielkich luminarzy naszych, co głową obłoków radziby sięgnąć a w ser-

cu gadzinę noszą. Tych wszystkich, co im na ustach święte wyrazy ojczyzny, Boga, sumienia a w duszy prywata, podłość, zgnilizna.

— Miarkuj się kozaku, przed Królem stoisz!

— Przed Królem i ojcem naszym dobrotliwym, którego oby nam Bóg najwyższy dzierzył w zdrowiu i życiu długiem, oby pokonał, jak Samson nędznych a przebiegłych Filistyńczyków. Kozaku! Kozakami pogardliwie nas zowiecie, wy panowie królewęża. Kozakami tylko—a my rycerzami takimi, jak i wy. Kozaku!... a my umiemy czcić majestat i nie frymarczym cnotą.

Kanclerz znów chciał przerwać, wzburzony cały i zawołać nań do porządku, bo czuł, że Chmielnicki do niego głównie pije, ale go Król powstrzymał a zwracając się z dobrocią ku Chmielnickiemu, zapytał:

— Czegóż to żądasz od nas?

— Miłosierdzia przyszedłem błagać — opieki waszej Królu miłościwy. Nie mówię już o tém, coś nam dał w swój świętej dobroci, a co nam wydarto haniebnie, nie mówię o pogardzie i ucisku, jakimi pany nas gnębią—ale oto Najmiłociwszy Królu swemi nieuczynkami czyny, pchają nas gwałtem do rozpacz. A ja to jeden jestem najnieszczęśliwszy z ostatnich.

Nie dość, że mi wydarto kobietę, którąm miłował—nie dość, że najechnano dwór i złupiono mienie całe, że wyrzucono na mróz i śnieg biedne dzieci moje, nie dość, że jednego z nich zbito nie-

miłosiernie na publicznym rynku w Czehrynie. ale zelżono mnie jeszcze strasznie tēm, żem musiał patrzeć na tę hańbę a potem jak złodzieja zamknięto do turmy. A gdym się odwoływał do sprawiedliwości i łaski waszēj, wyśmiano mnie i zelżono wasz majestat święty, mówiąc: „ot tobie Król psi synu.“

Królu wielki, jam dowiódł w niejednėj potrzebie rycerskiego ducha—jam służył tēj Rzeczypospolitej i królestwu ramieniem mojém i głową, tak jak i s. p. mój przodek, i za to wszystko miast nagrody, porównano mnie z bydłętą—zaprzeczono prawa szlachectwa, choć się nim wywodzę od lat tyłu. Podeptano pergamina. Odsądzono od czci i wiary. Darzono przezwiskami urągliwe-mi, którychbym nie chciał powtórzyć wobec Waszego majestatu, a wszystko za to, że miałem szczęście pozyskać łaskę waszę. Żyd, lach, wyzuwita, choćby on był najgorszėj wiary. ma u nich poważanie i cześć, a człowiek rycerski niegodzien psa — deptać go można i urągać. bo on nie człowiek, on tylko rzeczą—on niczem!...

Oh panie najmiłościwszy, język mi zda się do podniebienia przyrósł z bólu wielkiego i rozpaczy. Gnany nią, przybieżałem tu, nie biorąc posiłku żadnego, ni jadła, bo mi zółć wnętrzości porze. Królu! jeżeli sam w swojém sercu nosisz zatrute strzały, jeżeliś i ty doznał bólu i męczarni w zawiedzionych wielkich nadziejach twoich. gdy je

tłum panów deptał nogami. to ulituj się ty nademną, nad nami i uczyn sprawiedliwość!

Padł mu do nóg, całując stopy.

Król słuchał a w miarę tej mowy rumieniec mu występował na lica i oburzenie nim miotano. Wreszcie podszedł szybko do ściany, gdzie wisiała broń, ułożona w armaturę. wydobył z niej szablę drogocenną i oddając ją Chmielnickiemu, rzekł:

— Jam już złamany i bezsilny—prócz oburzenia. co mną wstrząsa, nic ci więcej dać nie mogę. Tyś żołnierz—masz, broń się!

Chmielnicki wziął szablę z rąk Króla — popatrzał nań, jak gdyby go pytał o coś jeszcze, potem zacisnął zęby — wydobył do połowy szablę z pochwy, wsunął ją z trzaskiem i mruknął:

— Niech ono będzie.

Król padł na krzesło i zamyślił się głęboko.

Chmielnicki rzekł:

— Żegnaj mi panie najmiłościwszy, znajdziesz w nas zawsze wierne sługi, co krew i życie dadzą za ciebie.

— Bądź zdrow — a powiedz twoim, że Król zawsze sprawiedliwie oceniał ich rycerskie zasługi i że gorliwie pracował dla ich dobra.

Wyszedł.

Oh, gdyby go można zawrócić i wydrzeć mu z rąk szablę, a z serca słowa królewskie!...

Oh, nieszczęsne zaślepienie! Oh, słowa niebaczne, które wywołała gorączka rozjątrzonego

serca, a które w przyszłości zawazyć miały tyśiącami dusz i krwi strugamił..

O chwilo okrutna, na której wspomnienie. krew mi się lodem zcina. Oh, dniu oplakany, coś zaciężył tyle na doli naszěj, bogdaj cię nigdy nie byłol

Bogdaj pamięć o tobie zaginęła wieczniel.. ale będzie ona trwać, dopóki Polski stanie.

Długo cisza zapanowała w komnacie, nie śmiało przerwać królewskich myśli, które Bóg wie gdzie błądziły—może w przyszłość zatapiały się ciemną—ale pewnie zasłony z niěj nie zdarły, bo inaczej ten pamiętny dzień byłby się nie tak skończył.

Pierwszy kanclerz odezwał się do Króla:

— Będzie bunt.

— Niech wywalczą to, czego im dobrowolnie dać nie chcą—potem go zażegnamy.

— Wielkie z tego mogą urość nieszczęścia.

— Niech rosna wielkie, bo też tylko z wielkich wielkie dobro wyjść może.

— To człek ambitny i niebezpieczny.

— Tem ci więcej zasługuje na cześć. którą mu tak niegodnie wydarto.

— Lecz miłościwy panie...

— Dosyć! co tam więcej przychodzi?

I przystąpiono do spraw innych.

Wyszedłem z komnaty, żeby zobaczyć jeszcze tego Chmielnickiego i zamienić z nim choćby słów parę. bo dziś innym mi się wydał ten człowiek.

niż był przed rokiem. Dziś już nie prostego kozaka, ale widziałem w nim męża, dźwigającego na barkach jakoby Zaporozże całe. Zdało mi się, przerósł Króla.

Spotkałem go na dziedzińcu zamkowym. rozmawiającego z Bzowskim. Gdy mnie zobaczył idącego ku nim, kończył prędko rozmowę rozpoczętą, jakby nie chciał, abym z niej coś posłyszał, doleciało mnie tylko jego ulubione: „Ne ma szczo howoryty.“

Scisnął rękę Bzowskiego, mnie się pokłonił z lekka. popatrzał po oknach sejmowej sali, jak gdyby chciał ją sobie uprzytomnić w pamięci na wieki. pokiwał głową i zniknął po za bramą.

Królowa lubiła jeździć konno. Przywiozła ona z sobą z Francyi konika dziwnej myszatěj mąści Sekiela. siedmiogrodzkiej rassy, sudannego z nóżkami zgrabnemi a cienkimi. Chodził pod nią nad podziw, jak gdyby kontredansa tańczył.

Rzuciło się też zaraz wszystko na konie tak, że po Warszawie widziałeś same Jejmoście, niby w kraju amazonek... a śmiesznych przygód nie kupić.

Każda chciała jeździć konno, jak Królowa.

Otworzył też jakiś Niemiec, na Miodowej ulicy rajtżulę, ale że to tam w tój rajtżuli i innych

rzeczy chciano uczyć, więc ją zamknięto a Niemca wygnano na cztery wiatry.

Królowa jeździła z Bzowskim i panną de la Marinierę. Bzowski na swoim bahmacie Radziwiłłowskim, panna na dropiatym ciekunie, którego wytresował.

Zajechali tak raz przed dworek pani Bzowskiej, gdzie właśnie bawił.

Niespodziana ta wizyta ucieszyła wdowę, ale i zaambarasowała okrutnie, bo unikała stykania się z przemożnym światem i mawiała zawsze:

— Byle się ten mój synek raz usatkwował a ożenił, zamknę się w klasztorze i ciekawe czy ludzkie nie zobaczą mnie nigdy.

Stworzoną też chyba była na jaką ksienię klasztorną, taką cześć i szacunek uniała zjednać sobie.

Tutaj ten ambaras pani Bzowskiej prędko minął, dzięki Królowej, która swém dziwnie ludzkim obejściem i miłym a ujmującym humorem, któremi to zawsze zjednywała serca wszystkich, potrafiła tak mile a tak zręcznie zainstallować się w gościnie, jakby tu już od Bóg wie niekąd znajomą była.

Kazała się oprowadzać po domu i całym dworskim gospodarstwie—zajrzała do kuchni—pytała o rozmaite nasze potrawy, jak to je przyrządzać umieją, że takie smaczne.

Zeszła do ogródka i zdziwiła się mnóstwu kwiecica, którego się w Polsce znaleźć niespodzie-

wała. Tłumaczyliśmy jój, zkąd ten a ten kwiat do nas zawitał. A było na co patrzeć w ogródku wdowy. W kwaterach kwiatów mnóstwo, że i oczu nie było gdzie podziać. Hyzopy, czyli józewki, boże drzewko, szałwia, ruta, majeran, cyprys, lawenda, konwalja, z których to wódki przedziwne pędzą. Dalej woniejące *nardy*, jaster, fijołe, nagietek żółto barwisty, słoneczniki, piwonje, narcyzy, hyacenty, pyszna lilja, strzępiasty gwoździk, bujno rosnące balsaminy, skromna stokroć, rezeda wonna i najokazalsza ze wszystkich królowa naszych kwiatów róża, od której to umarł, zbytńiej woni zażywając, Iwo biskup krakowski.

O warzywie, o owocach.

Obiecała sprowadzić mnóstwo nasion i krzewów rzadkich z Francyi i Włoch i kazała Bzowskiemu notować wszystko. I dotrzymała potem, bo owe wspaniałe tulipany, któremi dziś cieszymy oko, jój zawdzięczamy.

Przyszła kolej potem na drób i ptactwo.

I tu znów porównywałem ją z Austryaczką. Tamta pamiętała ciągle, że ma koronę na głowie—nie zniżyłaby się nigdy do spraw poziomych. Krom Króla i swoich niewiast nie rozmawiała z nikim, a przecież była dobrą i ludzką.

Pani Bzowska postarzała już trochę, ale zawsze jeszcze piękna niepospolicie, intrygowała Francuzkę — trzeba jój było opowiadać o przeszłym życiu i stosunkach światowych, bo wszystko wiedzieć pragnęła. Bzowska z taktem niezmiernym

prowadziła oną rozmowę, i zmuszała Francuzkę niejako do podziwu tak, że mawiała potém:

— Madame Bzowska c'est une femme bien distinguée.

Panna de la Marinier, paplała znowu po polsku tak, żeśmy co moment parskali śmiechem, na co Królowa ciągle:

— Que ce quelle a dit?

Bzowska przypatrywała się bacznie przyszłej synowej, jak gdyby pod tą powłoką igraszki dzieciinnój i trzpiotostwa do serca jój dobrać się chciała, ale nie tak to łatwo je zbadać.

Podano kołaczce przedziwnego smaku i wino. Królowej tak się udały, że kazała zaraz napisać sobie receptę, jak to się one przyrządza.

Głowa jój było to istotne archiwum, w którym się wszystko pomieścić mogło, a pamięć miała wysmienitą. Dziwiono się później, jak z pozoru o błazeństwach myśląc i rozprawiając, umiała ster państwa dzierżyć w swych rękach. Ale taka te już natura u wielkich polityków, że wrzкомо fraszkami zajęci, mydląc niemi oczy, wielkie zamysły knują. Tak i tu, nie wyszło pół godziny, gdy nadjechał kanclerz Ossoliński i przerwał gawędę o kołaczach, ważnemi sprawami.

Wyszli wnet oboje do ogrodu i tam radzono a radzono. Królowa zrywała kwiaty i wila z nich bukiet, słuchając kanclerskich argumentów obojętnie na pozór, ale rzucając niekiedy słówko jędrne i dobitne.

Kanclerz przemawiał i gestykułował, jakby w sejmowej izbie.

Król coraz słabszy i znękany, ustępował przed uporem i stanowczością tej mądrej kobiety, której przyganiec nie mógł, choć czuł wstręt do jej rządów. Za niej to rozpowszechniła się, jak owa zaraza morowa, sprzedaż wszelkich urzędów.

Młoda para, wyniosła się cichaczem do drugiej izby, aby tam gruchać bez świadków, ale nic z ich rozmowy, prócz cichego szeptu i pocałunków dosłyszeć nie można było.

Bzowska się zrywała.

Zabrano się wreszcie do odjazdu, ale nie tak to łatwo było się wydostać, bo oto przed dworkiem zebrało się gęsto ludu, a między niemi szereg młodych dziewcząt, wystrojonych z wieńcami i bukietami. Jedna z nich, wysunęła się z oracyą długą a nudną, której trzeba było wysłuchać, nie rozumiejąc — zapamiętała z niej ostatni wyraz. Gdy wyrzekło dziewczę: „Obyś nam panowała i rządziła szczęśliwie,“ pochwyliła owo „szczęśliwie“ i kazała sobie wytłumaczyć. Powtarzała go potem dosyć często w smutnych dniach, wzdychając jak gdyby na urąganie: *Sciensliwie*.

Ze dwudziestu dziewczek wybrano sześć najurodziwszych, zapisano ich nazwiska i obiecano wyposażyć.

Tłum ludu z wiwatami i okrzykami towarzyszył jej aż do zamku.

Gdyśmy zostali sami, rzekła Bzowska:

— Powiem ci panie Scipionie, że wszystko widzę w tych niewiastach, krom szczerości. To nie nasze Polki. U tych do serca dobrać się bardzo trudno. Potrafią one zdurzyć, rozbawić, olśnić, ale onego ciepła i duszy tam nie szukaj. Jaką mi dano synowę, taką i wzięść muszę, ale wolałabym aby wzięł naszą, choćby w jednej koszuli i boso mu ją wzięść przyszło. Oh, biedna moja Salunia, ona zamrze z tęsknoty i rozpaczy. Wiesz panie Scipionie, że gotowam wotywy solenne odprawiać i pościć o suchym chlebie, aby się to wszystko rozerwać mogło.

— Przywidzenia mościa pani.

— Nie. Jemu by trzeba niewiasty serdecznej, cichęj, skromnej, co by go miłowała, co by balsamem serca umiała poskramiać te wybuchy krwięj natury—a to dziecko puste, kapryśne a nie skromne. Oh, nie takiej by mi synowej trzeba.

Dziwne i wstrętne, wydały mi się te skrupuły wówczas, bom sam był po uszy zatopiony w owęj smugłej pannie Langeron. Zbijałem zarzuty matki a tak zapalczywie i z ogniem takim, że od razu odgadła, co przezemnie przemawia.

— To może razem posuniecie do ołtarza? — rzekła.

Zmięszalem się i zatrwożyłem tak, jak gdyby mnie kto na świętokradztwie złapał, ale to niewiasta jak mnie wzięła w obroty, takem i wyśpiewał wszystko, a ona mi pomódz obiecała, ale

losy inaczej pokierowały człkiem, jak się niżej zobaczy.

Śmierć i żona, od Boga przeznaczona—a na nikim się tak nie sprawdziło to przysłowie, jak owo właśnie na tym nieszczęsnym Bzowskim. A na mnież?... Ale idźmy porządkiem.

Zawiść wściekła jadła paskudnego bękarta Kostusia, i gwoli jej to topił resztę rozumu w kieliszku. Uroił sobie koniecznie, że on jeden jedyny najbliższy królewskiemu sercu, témbardziej teraz po śmierci prawowitego jedynaka, powinien być obsypywany zaszczytami, pieszczony, cackany i noszony na rękach, a tu jak na złość wszyscy się z niego głośno śmieją i obrzucają pogardą—a Bzowskiego traktują prawie, jak królewskiego familjanta.

Postanowił się zemścić i jak na swoją głowę okutą obręczą, nie tak głupi wymyślił sposób. Powiedział sobie: kiedyć nie mogę poradzić siłą, wyruguję go chytrością, połączam to, co u niego najwięcej dotkliwe—dumę jego. Wiedział dobrze, gdzie trafić.

Królewicz Jan Kazimierz, że to zawsze lubił płodzić pokątne grzeszki, a w ustawnych amarach, coraz to po inną sięgał zdobycz, trzymał w około siebie różnych faktorów, pochlebców, darmozjadów i wszelką hołotę łaknącą taniego

chleba a nieprzebierającą w robocie jakiegokolwiek.

Do tego to bractwa, zaciągnął się nasz Kostuś. Uczciwej i przystojnej służby na dworze pełnić nie umiał, wydawała ona mu się ciężką i zmusną — ale błaznować, za podwikami latać, pochlebiać, znosić brudne płoteczki do pańskich uszu, bywać posłem w sprawach szpetnych, rajfurować, to wydało mu się szczytem dworskiej karyery. Od razu też zyskał sobie względy i łaskę nowego pana, który zaopiekował się nim gorliwie; a że zawsze lubił robić na przekór Królowi, a nieraz i wyszydzać jego czyny, przyjął opiekę tę, jako nad niesłusznie pokrzywdzonym dzieckiem królewskim, na korzyść drugiego niezasługującego tak wielkich względów.

Przyszła zima — a posępna ona była. Król zatopiony w czytaniu i modlitwach — zestarzały, przygnębiony. Zaczęto się oglądać za nowym słońcem, co po jego zachodzie wzejść kiedyś miało. a tem nowym słońcem domniemywano Jana Kazimierza. Wszystko też to, co własny tylko mieszek miało na celu, co się bało o swoją skórę w razie śmierci królewskiej, ryczałtem przyłgnęło do owej gwiazdy. Jadwiżka już sobie kupiła nowe łaski, pożyczając mu pieniędzy; Platemberg, Ryłski, Żurawski, Zdzitowiecki schlebiali i płaszczyli się a jawnie ogłosili stronnikami królewicza.

Obrzydliwe nastąpiły czasy. Karmą były plo-

teczki, skandale, potwarze, rzucane tu i ówdzie. Bezwstyd, obłuda, rozwiązłość, jak gdyby podały sobie ręce.

Znaki na niebie i ziemi, jakie pojawiały się teraz jako: zaćmienie luminarów niebieskich, kometa, pożar żup wielickich, wylew straszliwy Wisły, cuda święte, choroby i plagi różne dawniej niewidziane, ostrzegały ludzi przed czemś strasznyem. co się spełnić miało na ziemi — ale nic to nie pomogło. Nie jeden też, a takich była liczba największa, kpili z tego i ramionami ruszali. mówiąc: „A wieleż to już było takich prognostyków a po staremu świat stoi i wiecznie stać będzie — głupstwo!“

Ślub Bzowskiego, miał się odbyć zaraz po Trzech Królach. Wesele ciche, z powodu żałoby nie na zamku, lecz w dworcu pani Bzowskiej miało być nagotowane. i tam to młoda para miała spędzić pierwsze miesiące. Cieszyliśmy się i obiecywali sobie solennie, pójść w ślady najdzielniejszego naszego towarzysza, a każdy po cichu wybrał sobie w myśli bogdankę i podkochiwał się po trochu; aliści Kazimierczyki, bo tak nazywaliśmy dwornię królewicza, zaczęli z nami pokątną walkę, więc najprzód wybiegła od nich ohydna potwarz uwłaczająca królowej — że panna de la Mariniere, to jej naturalna córka a ojcem był Choisy sekretarz i powiernik, co niegdyś z Królową przybył, a hrabstwo jej nie warte złamanego szeląga. Że, nim tu wyjechała z Królową,

była wykradzioną przez jakiegoś officera muszkietarów. ze później od niego uciekła, zostawiając mu małego robaczka, a tu w Polsce uchodzi za cud niewinności i cnoty. Obijało się to wszystkim o uszy i gryzło nas okrutnie. Bzowski przysiągł, że gdy złapie potwarcę, ktoby nim był, gardło dać musi, tymczasem szerzyło się to plugastwo, jak liszaj, jak świerzb i ucha użyczano mu chętnie.

Kipiało w nas i postanowiliśmy wszyscy, jak jeden mąż stanąć w obronie niewinności. i pokarbować dobrze łby téj królewiczowskiej psiarni — a okazała po temu nastreczyła się niebawem.

Co środa odbywaliśmy na Ujazdowie ćwiczenia rycerskie i konno z kopiją i pieszko na palcaty — tam tedy postanowiliśmy zagaić sprawę i położyć koniec niecnym językom.

Jakby umyślnie, zebrali się prawie wszyscy z przeciwnéj strony. przeczuwali, że się na coś zanosi, bo miny były gęste i zuchwałe. Gdy wszedł Bzowski, zaczęli się podśmiewać i stroić brzydkie grymasy.

— Mości panowie—rzecze on.—Od was to wyszła haniebna kalumnija, uwłaczająca mojej przyszléj małżonce. Tuszę, że wszyscy skomponowaliście ów szpetny paszkwil, ale jest jeden pomiędzy wami, co się nań odważył. Dopóki więc nie wymienicie mi tego nędznika, aby odebrał zasłużoną karę. jesteście wszyscy nikczemni i wszystkich, jak tu stoicie, wyzywam na Sąd boży. Bić się

będę z każdym na ostre, dopóki tchu w piersi. dopóki kropli krwi w żyłach stanie.

Zrobił się gwar, posypały przekleństwa i obelgi, ale żaden jakoś stanąć się nie pokwapił, bo znali Bzowskiego rękę.

— Dalejże! Czy tylko do obelg zuchwałych. do oszczerstw, do podłości zdolni jesteście? Mamże tu naplwać wam wszystkim w oczy, i otrąbić publicznie, że ani jeden nie znalazł się na dworze królewicza, coby nazwiska człeka był godzien?

— Hola bękarcie! nazwiska królewicza nie znieważaj,—porwał się na to Sulerzycki — bo ci dam pro memoria takie, żeć prababka Szafrąncowa się przyśni.

— Wychodź—że wywłoko! Dziękując za przypomnienie krwi Szafrąncowej we mnie. Wiesz pewnie, że Szafrąncy bili na śmierć.

— Tak, kradli i rozbijali—odrzekł Sulerzycki, dobywając szabli.—Bądźcież waszmoście świadkami, jakem salwował honor królewicza.

— Swoją naprzód oczyść oszczerco.

I starli się potężnie. Bzowski był gracz nie lada, ale i tamtemu nie brakło, tylko był gorączka i zapalczywy. Bzowski zasię całą uwagę i przytomność skupiał, a patrzył w przeciwnika tak, że go mieszać potrafił — tamtemu znów, jak najprędzej chciało się dobrać do skóry i już nań jechał okrutnym ciosem w głowę — ale kiedy to nie odparuje z dołu, kiedy nie płatnie — odciął mu trzy palce u ręki, jak brzytwą a szabla gdzieś odlecia-

ła o dziesięć kroków. Krew się połała strumieniem tak, że rychło omdlał. Potrwożyło to ptaszków wielce a Bzowski z flegmą:

— No czekam was więcej szczekacze.

Zebrało się w kupę bractwo i nuż radzić między sobą. Od czasu do czasu dolatywały nas takie słowa:

— Pokaleczy nas bestya!

— A mówiłem, że charakternik.

— Nie damy mu rady.

— Tfu! Niech by go wszyscy dyabli wzięli, żebyśmy z wstydem mieli wyjść ztąd, jak zmyci— wrzasnął Rokosowski, chłop rosły i pleczysty, wysuwając się z onęj czeredy.

— A no pójdź smyku, potańczym.

— Przecie,— odrzekł Bzowski — myślałem, że na tych lichych pazurach poprzestać trzeba będzie.

— Zapłacisz ty nam za nie. Jeżeli ci tego gładkiego liczka nie nakarbuje, tom nazwy szlachcica nie godzien.

Trochę nam się zrobiło markotno, na takie zakłęcie. Śnać człek był pewny siebie okrutnie a zabierał się do sprawy, jakby do półmiska zrazów z kaszą.

Stanęli, Bzowski znów zatopił w przeciwnika swoje błyszczące oczy, i świdrował go niemi na wylot. Szło, jak z płatką. Co który płatnie, to drugi mu jeszcze lepiej odpowie. Patrzyliśmy tak, że nam oddech zamarł w piersiach. Rokos-

sowski zaczął już trochę sapać, bo cielska miał na sobie dużo. Bzowski zaś po staremu machał, jak z nut — nareszcie widząc, że coraz więcej się męczy i pot mu prawie oczy zalewa, jak wytnie młyńca, jak go nie dojedzie po gębie, tylko się w tył przegibnął trochę, bo inaczej nie wiem na czem byłoby się skończyło. Wydobył chustkę, kazał sobie owiązać ranę i znów się darł do bicia. Leżało mu na sercu, że to się na infamią podał, gdy ma być zwyciężonym, ale go uspokojono, bo bił się po szlachecku prawdziwie, tylko przechwałki były niepotrzebne.

— Czekam na resztę waszmość panów — mówi Bzowski po swojemu, ale to tam tchórz ich oblaźł straszliwie i nie odezwał się już ani jeden, tylko Trzeciński mówi do swoich, ale tak głośno, żeśmy słyszeli:

— Czegoż będziem oszczędzać tego niecnotę. To braciszkuwie, niechże się między sobą rachują.

Potem odezwał się w głos do Bzowskiego:

— Za zniewagę, jakąś nam tu wyrządził, dopominać się będziem rachunku — a kalumnii na twoją narzeczoną nie my winni, bośmy tylko powtarzali to, co powiedział, ot ten — i wskazał na Konstantego, który się chyłkiem wynosił — chcia-no go przytrzymać, ale się wymknął i pognał, jak zając zaułkami.

— Ten? dobrze — rzekł Bzowski. Będzie mu to odmierzone. To, com tu wam wypowiedział, tego nie cofam, bo kto trzyma z potwarczą, jest

tak winny, jak i on... i gotówem dowieść tego zawsze i wszędzie.

Nikt się już więcej nie kwapił. My też postali, popatrzali na nich z pogardą i wyszli, jak trymfatorzy.

Sprawa urosła do potężnych rozmiarów, królewicz narobił hałasów, że Bzowski znieważył jego dwór i obciął mu dwóch najdzielniejszych sług. Królowa zażądała pomsty na Kostusiu, jako strasznym oszczercy i wydalenia go raz na zawsze ze dworu. Król kazał marszałkowi rozpatrzyć sprawę i ukarać winnych—ale marszałek znów tak ją prowadzić umiał, że zatarł, zamazał wszystko i że najczarniej wyszedł z niej, jak zwykle Bzowski, jako człowiek niespokojny, gwałtowny i burzyciel; znieawidzony przez królewicza i całą jego bandę.

Kostusia matka schowała i nie wypuściła z pod rąntucha, czekając dla niego lepszych czasów.

Zdołano nakłonić Króla, że postanowił wyjazd na Litwę z Królową, dworem całym i królewiczem. Uradowało nas to wszystkich, bośmy tym długiemi siedzeniem w smutku i tarapatach, zda się już zatęchli a spodziewaliśmy się, że ze zmianą miejsca i zdrowie pańskie i humor dobry powrócą.

Jeszcze daleko wcześniej wyjechał był kan-

clerz Ossoliński ze Stanisławem Lubomirskim, cześnikiem ciechanowskim na Ukrainę, bo już głuche wieści o buntach kozackich dochodziły.

Ślub Bzowskiego odłożono do powrotu a tymczasem, jak to zwykle bywa, by najpłonniejsza plotka, by najłżejsza skaza rzucona na niewieścią cnotę sprawia to, że choć się w nią nie wierzy, ale już jakoś inném okiem spogląda się na oną osobę i myśli sobie: prawda, nie prawda, aleć tam w tém coś być musi — i zaczyna się jakoby śledzić wszystkie jej czyny, zaczyna się podejrzewać, dlaczego to ona to zrobiła tak a nie tak — dlaczego powiedziała to i owo — dlaczego tam poszła — z tamtąd wyszła — coś w tém być musi.

Takie to myśli i podejrzenia szarpały Bzowskim, podczas gdyśmy się gotowali do wyjazdu. Chodził on struty strasznie i przybity — raz tém, że sprawa jego czysta, jak słońce, miasto go postawić w świetle, ściągnęła nań groźby i wyrzuty a powtóre, jad zazdrości i podejrzeń go palił. Odbywał warty przed drzwiami swój bogdanki, śledził prawie wszystkie jej kroki i życie całe z opowiadań Francuzic. Nie jadł, nie spał a czatował i śledził ustawicznie, aż też razu pewnego złapał to, za czem tak się uganiał.

Był w paziach królowej Rybiński, młode, ładne chłopię a bystre i dowcipne. Używano go do rozmaitych posełek, z których się zawsze graccko wywijał. Przeważały go Francuzki Postillion de l'amour. Tego tedy poczytliona złapał Bzo-

wski. jak wychodził ze drzwi panny de la Mari-
niere—i jak nim zaczął trząść. tak o mało jelit
nie wytrząsł — alec jelita zostały a wyleciała
z niego karteczka. Co? Zkąd? Od kogo? Do
kogo? Rendez-vous daje panna Eugenia. Komu?
Niema adresu. Powiesz—albo cię tu na haku po-
wieszę!

Królewiczowi. Bzowski odchodził od siebie—
ale my patrzący z boku a chłodno na to wszyst-
ko, co innego w tém zobaczyli. Chłopak z filu-
terną miną. chciał się już wykręcić i czmychnąć
—ale go złapał Żabicki.

— Ja tego pazia nie puszczę—rzecze.—To po-
dła mistyfikacya. Masz przy sobie listy panny
Eugonii?

— Mam.

— Porównamy.

I porównanie wypadło naturalnie na korzyść
Francuzki. Dawaj brać na pytki małego Rybiń-
skiego. Długo się hultaj trzymał, ale wypiewał
prawdę.

Widząc zazdrość i podejrzenia Bzowskiego, po-
stanowili Kazimierczyki urządzić mu kabałę—ja-
koż jęj dokonali dosyć zręcznie, ale dzięki Żabic-
kiemu w łeb wzięła. Obmyślił cały plan i urzą-
dził Sulerzycki.

— A toż chce całej łapy się pozbyć — zawołał
Bzowski i już się gotował ku niemu, aleśmy go
powstrzymali, dawszy mu przestrożę, że jak kto
złego szuka. to go wreszcie znaleźć musi.

Przestał swarów i podejrzeń a począł miłować coraz goręcej. Panna znów, zda się życie zań gotowa była poświęcić. aliści inaczej obróciło się wszystko.

Podróż nasza miała trwać długo — wybieraliśmy się z całym taborem przeróżnych rzeczy i tłomoków, osobliwie fraszek kobiecych była moc wielka. Każdaby chciała bodaj pokój swój zabrać cały—a co krętaniny, co hałasu—istna wieża Babel.

Jechało się do dzikich puszczy litewskich, o których Francuzki rozповідаły cuda, jakoby tam ludzie w skórach zwierzęcych chodzili i w lasach tylko żyli zołędziami.

Każda chciała mieć palladyna, coby ją bronił od tych zwierząt, więc też słodkie oczy do nas słały a myśmy nie gardzili i lgnęli do nich — jednak dziwnie markotni i jakby potrwożeni wyjeżdżaliśmy z Warszawy, choć śmiała nam się ta podróż bardzo. Niepokój nas trapił jakiś — spoglądaliśmy po kątach, czyśmy czegoś nie zostawili.

Król mając wsiadać do kolasy, potknął się na progu i stłukł sobie dobrze nogę, co za zły omen poczytano. Smutny był. Gdyśmy przejechali Wisłę, kazał się zatrzymać, popatrzał zdala na zamek i łez parę spadło mu po policzkach. Było to ostatnie pożegnanie synowi... wszystkiemu.

Zatrzymywaliśmy się wszędzie bardzo krótko, tyle aby konie zmienić i posiłek przyjąć. Choć

Królowa rada była wszędzie zabawić, bo to w każdym miejscu witano nas uroczyście i w processyach solennych. ale król nie miał do tego serca. Pędziliśmy też na łeb na szyję.

Kazimierczyki trzymali się zdala od nas, nauzeni nie mieli ochoty kłaść palca między drzwi.

Nimeśmy dojechali do Grodna. Królowi odjęło rękę prawą tak, że w Grodnie gdzieśmy się zatrzymali dni kilka, dla nawału spraw różnych lewą musiał podpisywać listy i dyplomata.

Do Wilna wjechaliśmy incognito, Król nie chciał żadnych ostentacyj. co królowę oburzyło okrutnie. Zaraz też zabrał się do spraw i sądów, a ona kazała się obwozić po kościołach.

I tak nam zeszedł wielki tydzień.

Po świętach dawaną była komedia w zamku, która się ledwo w tragedję nie zmieniła, bo oto naprzód pokłócili się na niej srodze o stołek, starosta mozyrski Chodkiewicz z Wołłowiczem pisarzem koronnym. Besztali się najobrzydliwszemi wyrazy w obec Króla i omal nie sięgnęli do szabel. Król wstał — rozruch się zrobił w sali a wtém królowa zasłała. I gdy jedni ratować królowę, drudzy godzić zwaśnionych i błagać króla spieszą, od drzwi rozlega się głos pełen trwogi i jakby rozpaczy: „do króla mnie prowadźcie, na miłosierdzie Boga, do króla!“

Istny sądny dzień się zrobił. Jedni krzyczą: królowa umarła! Drudzy: Ratujcie króla! Inni wołają: Rebelja! Panowie króla mordują. Ścisk,

wrzask! Tam duszą człowieka w ciżbie, ówdzie znowu słyhać krzyki niewieście. Jak żyję nie byłem nigdy w takim piekle.

Wtém podkanclerzy Sapiecha krzyknie potężnym głosem:

— Cicho! bo się tu podusim i potratujem chyba.

Przycichło.

— Kto tu do króla i z czém?

Wywleczono owego człowieka zduszonego, zmiętego, ledwie już mogącego mówić. Był to poseł księcia Janusza Radziwiłła Syciński, podstarości upitski.

Podano list królowi, po którego przeczytaniu zadrzał, potem go podał stojącemu przy sobie Albrechtowi Radziwiłłowi kanclerzowi litewskiemu, a nim z rąk do rąk poszedł, już wiadano w izbie od posła.

Chmielnicki złączony z tatarstwem, podniósł bunt. Wtargnął na Ukrainę i zadał nam klęskę pod Żółtymi wodami. Chłopstwo wszystko chwytają za broń. Zginęli Stefan Potocki, Chreptowicz, Chełmski, Bełchocki, Malicki, Dymitrowski, w niewoli Sapiecha, Czarniecki, Szomberg.

Struchleli. Cisza się zrobiła straszna. Wszyscy się zwrócili ku królowi, który stał oparty o krzesło, więćej do trupa podobny, niż do żyjącego człowieka.

Wydano rozkazy na jutro do wyjazdu.

Wracać mieliśmy do Warszawy, gdzie król zebrawszy wojsko, na Ukrainę miał ruszyć.

Jechali z nami podkanclerzy Sapiecha, obaj podkomorzowie, podskarbi litewski Tryzna i biskup chełmiński Pstrokoński.

Królowę trzęsła febra. Król zaniemógł okrutnie, tak, że w Mereczu trzeba się było za-trzymać.

Nie chciano zajechać do starostwa, a w zamku nie było miejsca. Króla ulokowano w rynku, w domu kupca Szymona, a królowa z królewiczem pojechała do Grodna.

Na drugi dzień zrobiło mu się lepiej. Kazał pisać listy do wojska.

Po obiedzie w odkrytym powozie. wybrał się z Niewiarowskim ku Niemorojcom.

Jechaliśmy za nim z Żabickim, Rylskim i Plattembergiem.

Dzień był piękny, ciepły, wiosenny.

Pragnął zapolować.

Niewiarowski, że to miał w pogotowiu swoich ludzi wszędzie, podbiegł ku Niemorojcom, inni rozbiegli się po lesie, ja zostałem przy nim.

Nie dobrze mi wróżyły te jego chęci. Patrzyłem się, jak na chorego w malignie.

Chodził po lesie, krzepił się, jak gdyby nie dając zawładnąć chorobie, która w nim nurtowała. Wreszcie zmęczony siadł na kłodzie drzewa...

Z owego siedzenia na wzgórkę rozpościerał się cudny widok na Niemen, płynący siną wstęgą.

Słońce miało się ku zachodowi — chłodny wiatr powiał. Podszedłem ku niemu, chcąc spytać, czy mu nie za chłodno, ale stanąłem, jak wryty.

Król płakał.

Wpatrzony w dal oświeconą tęp słońcem purpurowym, które jak gdyby go zegnało, słał myśli swoje gdzieś daleko na drugi brzeg szarej Wisły.

Chwili tej nigdy nie zapomnę.

Wziął mnie żal i smutek tak straszny, że padłem mu do nóg, oblewając je łzami.

— Panie Najmiłociwszy! nie dajcie żalości brać góry nad sobą. Ulitujcie się. Wróćmy lepiej do domu. Wieczór chłodny.

— Do domu? Dom mój z paru desek... I teraz maż ona przyjść...—teraz właśnie... kiedy wybiła godzina walki za cześć, za swobodę człowieka przeciw...

Nie dokończył, ale się porwał za piersi, jak gdyby w nich uczuł ból silny.

— Oh jeszcze, jeszcze mi pozwól Boże... niech nie umrę z przekleństwem... Niech zostanie po mnie pamięć sławna i pocziwa...

— Bóg miłosierny, da wam jeszcze dożyć dni blasku i potęgi.

A wtęp jak gdyby na urąganie moim słowom, padła strzała i przebiła płaszcz królewski.

Jak ona padła i kto ją wypuścił, to do dziś dnia nie wiadomo. Urosła z tego w przyszłości dziwna powieść.

Przybiegł Niewiarowski, na krzyk mój zleciało się wszystko.

Pytano, badano—nikt nie miał z sobą łuku.

Król siedział wciąż martwy prawie i bezprzytomny.

Słońce zaszło.

Powstał, wyprostował się i wskazał ręką w dal na widnokrąg.

— Patrz tam—widzisz ją?

— Kogo miłościwy panie?

— Tę postać niewieścią w krwawych szatach, widziałem ją raz już przed śmiercią Zygmunta.

Poprowadziliśmy go do powozu. wsiadł milczący. Potem kazał szybko jechać. Stangret bał się, bo droga była ciężka, najeżona korzeniami, pełna wybojów. Zrzucił go z kozła, jak piórko, sam porwał lejce i tak pędził bez upamiętania po onych wybojach, kamieniach, krzakach, zagonach.

Byliśmy w rozpacz, bo nic nasze prośby i błagania nie pomogły. Poodrzynaliśmy konie i powskakiwali na nie, pędząc za nim i przed nim. Nie widział nas — nie słyszał. Gnał, jak gdyby chciał uciec przed widmem śmierci, co go ścigało wszędzie.

Padły konie tuż przed domem a króla wynieśliśmy z powozu, zmienionym strasznie.

Po północy przyszła pleura — Kraft pojechał z królową, był tylko drugi królewski lekarz Litow. Ten zażądał antimonium, lecz go nie było

w aptece podróźnej królewskiej, dopiero go znalaziono w kramiku cerulika.

Po lekarstwie gorzej być poczęło, a doktor się tłumaczył, że było źle przyrządzone.

Na drugi dzień puszczo mu krew, po której dostał czkawki tak wielkiej, że niczém uhamować jej nie można było.

Zaczęto go ogrzewać—czkawka ustała, ale maligna sroga przysła.

Zrywał się i chciał biedz do syna. potem wołał:

— Krew!... krew!... co tu krwi!... któż ją zaszegna... kto uhamuje...

W chwili przytomności rzekł:

— Więc niema już nikogo, coby mi pomógł?

A na to Sapiecha.

— W Bogu miłościwy królu, otucha tylko.

Przyjął sakramenta, które mu udzielił ksiądz Szenhof jezuita.

Popatrzył po izbie... skinął na mnie, kazał otworzyć szkatułę podróźną... otworzyłem... wyjął z niej testament i oddał biskupowi Pstrokońskiemu.

Mówił coraz ciszej i słabiej.

Podano mu gromnicę—pochwyił ją silnie i zacisnął w rękach.

Drugie pianie koguta się odezwało.

Wzdrygnął się.

Kłęczałem przy wezglowiu, patrząc w tę twarz

ukochaną... położył rękę na mojej głowie i wyszeptał:

— Powiedz mu...

Ale nie dokończył... zaczęło się konanie. Kolor trupi powlekał twarz.

Ryknęliśmy wszyscy płaczem wielkim.

Król już nie żył.

A stało się to dnia 20 Maja 1648 r.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.



F

2840

1-2